

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/344

1976



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

ŻEGNAMY JOZEFA WITTLINA

K.A. JELEŃSKI :

TAJNY ŁADUNEK KORSARSKIEGO OKRĘTU

J. LEWANDOWSKI :

KRYTERIA PRZYNALEŻNOŚCI NARODOWEJ

L. KOŁAKOWSKI :

30-ta ROCZNICA NOWEGO ŁADU W EUROPIE

SPIS RZECZY

—	<i>Żegnamy Józefa Wittlina</i>	3
K. A. Jeleński:	<i>Tajny ładunek korsarskiego okrętu</i> ..	21
Czesław Miłosz:	<i>Czarodziejska góra</i>	33
Józef Lewandowski:	<i>Kryteria przynależności narodowej</i> ..	35
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Leszek Kołakowski:	<i>30-ta rocznica Nowego Ładu w Europie</i> ..	45
—	<i>Doktryna Sonnenfeldta</i>	48
Zbigniew Byrski:	<i>Anatomia kapitulacji</i>	50
—	<i>Meany o amerykańskiej polityce zagranicznej</i>	55
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Radio i amerykańska niewiadoma</i> ..	59
K R A J		
Adam Wojciechowski:	<i>Dwa listy do prof. dr. H. Jabłońskiego</i> ..	63
—	<i>Episkopat a zmiany Konstytucji</i>	69
Władysław Bieńkowski:	<i>Głos w dyskusji nad wytycznymi KC na VII Zjazd PZPR</i>	77
—	<i>Dalsze protesty</i>	79
—	<i>Represje na wyższych uczelniach</i>	81
◆		
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	84
SĄSIEDZI		
Bohdan Osadczyk:	<i>XXV Zjazd</i>	85
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	90
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i>	95
Wiktor Sukiennicki:	<i>Białoruskie połacie</i>	98
SPRAWY I TROSKI		
Grażyna Nowak:	<i>List z Londynu</i>	103
Bohdan Brodziński:	<i>W londyńskim Klubie „Kultury”</i>	111
KRONIKA KULTURALNA		
W. A. Zbyszewski:	<i>Prof. Kot i Ludowcy, których znałem</i> ..	117
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>O literaturze zwanej emigracyjną (4)</i> ..	126
Tadeusz Katelbach:	<i>Wspomnienie o Lechoni</i>	131
—	<i>Fundusz dla uczczenia pamięci Josepha Conrada</i>	136
—	<i>Stypendia Fundacji Guggenheima</i> ..	137
—	<i>Stypendia „Polonia Technica”</i>	137
—	<i>Nagroda im. Janiny ze Starzyckich Ławrukowej</i>	137
Stefan Zamoyski:	<i>Biblioteka Polska w Londynie</i>	138
KSIĄŻKI		
Michał Heller:	<i>Wyprawa po „szczęście o którym piszą w gazetach”</i>	140
M. Broński:	<i>Nieunikniona małość wydarzeń</i>	146
t.d.:	<i>„Krzyżacy” po francusku</i>	148
—	<i>Nadstanie nowości wydawnicze</i>	148
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	150
◆		
D. Morawski, J. Nittman,	<i>Listy do Redakcji</i>	158
W. Sukiennicki, W. Tar-	<i>Sprostowania</i>	159
nawski:		

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj - Mai 1976

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz trzydziesty	F. 127,00
K. A. Jeleński, Paryż — dla uczczenia pamięci Stanisława Kota i Józefa Wittlina	F. 200,00
Dr Franciszek Kałuża, Johannesburg, na pomoc Polakom uwięzionym w Rosji sowieckiej, po raz czwarty	F. 120,00
Bronisław Łokaj, Londyn, zwrócone honorarium	F. 300,00
Alina Małecka, Fairfield, N.S.W. (Australia)	F. 280,00
Józef Miętus, Yarrambat, Vic. (Australia), po raz trzeci	F. 56,00
Wiktor Moszczyński, Ipswich, Suffolk (Wielka Brytania), ku pamięci śp. Ojca Henryka Moszczyńskiego	F. 17,00
M. A. Perth (Australia)	F. 112,00
Ryszard Piątkowski, Mississauga, Ont. (Kanada), po raz trzeci	F. 470,00
Polonia Technica, Inc., New York, po raz dwunasty	F. 127,00
Bezimiennie z Castle Shannon, Pa. (USA)	F. 23,50
Bezimiennie z Paryża	F. 150,00
Bezimiennie z Toronto, Ont. (Kanada)	F. 57,00

DZIĘKUJEMY!

CHCESZ OTRZYMYWAĆ WCZEŚNIEJ « KULTURĘ » — PRENUMERUJ LOTNICZO!

Dopłata wynosi rocznie:

- w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Ameryce Południowej oraz w Afryce Środkowej i Południowej: \$ 9,50;
- w Australii i na Dalekim Wschodzie: \$ A. 10,00.

Żegnamy Józefa Wittlina

Żegnamy Józefa Wittlina, pisarza zawsze wiernego swojej wielkiej współczującej miłości, człowieka głębokiej wiary, mądrego i prawego obywatela, który przez połowę życia dzielił los wszystkich wyzutych z ojczyzny. Nie możemy w tej chwili lepiej uczcić jego pamięci niż podając wyjątki z jego pism.

Józef Wittlin zmarł 29 lutego 1976 r. w New Yorku. Ostatnie zapisane słowa, na krótko przed śmiercią:

Te drapacze chmur na które patrzę z mojego szpitalnego pokoju na siedemnastym piętrze, martwe w dzień, w nocy ożywia je oświetlenie — przywidują się mnie jak olbrzymie niebotyczne nagrobki. Beznadziejność tego krajobrazu ratuje świetlna reklama PAN-AM, jakby iskra nadziei — że jeszcze wyruszę stąd za ocean.

Z PROLOGU DO POWIEŚCI O CIERPLIWYM PIECHURZE „SÓL ZIEMI”

Prędzej, bez zbytnich czułości! Szwaczki, kończcie całować swych kawalerów, wpakujcie im do kieszeni pomięte fotografie i — do widzenia! Kucharki, otrzyście zatłuszczonym fartuchem oczy, i palcami, przesłanymi zapachem zaprażki, pogładźcie niezdarnie osmyzione do skóry łby swoich frajtrów! Każdy człowiek musi posiadać coś, z czym mógłby się rozstać. Żony posiadają mężów, matki synów. Dzieci rozstają się z ojcami, ogromnie rozbawione ich nowym wyglądem, a osobiście gwizd-

kiem i kompasem na niebieskim sznurku. Nareszcie pojęły ostatecznie, że rodzice — to też są dzieci, zwłaszcza gdy płaczą (Pewno od kogoś dostali, lub dopiero mają dostać w skórę). Są takie dzieci, które się cieszą, że ojciec idzie w „pole”. Już ich teraz nie będzie miał kto bić. Gdzie też jest to „pole”?

Wdowa po radcy sądowym śpieszy do magistratu oddać państwu jedyną pamiątkę: złotą obrączkę ślubną, i otrzymać w zamian — żelazną. Każdy wszak musi posiadać coś, z czym mógłby się rozstać.

Pachnąca hrabianka Lili obcina włosy i przybiera głowę w biały czepek. W białym płaszczku idzie do akademii sztuk pięknych, na której powiewa chorągiew z czerwonym krzyżem. Tam pragnie dziewczymi rękami wynosić rannym nocniki. Jeszcze dziewictwo tej wojny nienaruszone, jeszcze szpitale — puste.

Zadudniły mosty na rzekach. Już z dworców rukuje do koszar pospolite ruszenie. Czarne drewniane kuferki na plecach, kwiaty na kapeluszach. Zadymiły kociołki kuchni polowej — na podwórzach szkolnych. Młody jednoroczniak, słuchacz filozofii, pierwszy raz w życiu — łyżką je mięso. Stary pospolitak, agent towarzystwa ubezpieczeń na życie „Providentia”, pierwszy raz w życiu leży na gołej ziemi. Jeszcze nie rozdano im mundurów, jeszcze tkwią we własnej skórze. Monter zakładów Siemens'a jest niezadowolony. Wprawdzie wie, że dostanie się do oddziałów technicznych, ale to też jest wojsko. Na razie smakują mu papierosy, które dostał na dworcu od jakiejś ładnej panienki.

Zawrzało. Rozstają się nowozacieczni ze samym sobą. To najtrudniejsze rozstanie. Z pogardą i smutkiem wraz z cywilnym ubraniem zrzucają z siebie w kącie — dawnego człowieka, aby móc w godnym przyodziewku cesarskim rozstać się ze zdrowiem i życiem.

Już się przebrali w błękitne mundury poganiacze wołów znad Cisy, świniopasy z Puszczy, juhasy z Karpat. Przede wszystkim — do kantyny! Już się przemienili na jeden kolor rolnicy z Galicji, Moraw i Styrii. Bośniacy kładą fezy na głowy, ostrzyżone maszynką. Kurtuazja katolickiego rządu wobec islamu. Jednoroczniak, słuchacz filozofii, pierwszy raz w życiu widzi onuczki. Pociesza się tym, że podobno Napoleon też je nosił. Dragoni wdziewiają hełmy z błyszczącymi orłami, ale muszą je zakryć szaro-niebieskim pokrowcem, lub zalakierować, żeby z daleka nie lśniły się w słońcu i nie drażniły karabinów wroga. Z tego samego powodu szarże zakrywają chustką dystynkcje na kołnierzu. Tylko huzarzy nie wyrzekają się swych kitek, chociaż i oni muszą nakryć czaka szarą ceratą. Darmo byś szukał

dumnych, kogucich piór na kapeluszach jegrów. Jak zwyczajna infanteria pójda jegry w czapkach z matowym bączkiem! Ksiądz proboszcz przebrał się również. Rewerendę ma, ale został kapitanem i w oficerskiej czapce pokropi święconą wodą pułk, odchodzący w pole. Odda Bogu, co boskie, cesarzowi — co cesarskie. Będzie grzebał zabitych i rozgrzeszał ciężko rannych z śmiertelnego grzechu zabójstwa. Będzie rozdawał w lazaretach książki o treści pocieszającej.

Już się sformowały korpusy, dywizje, brygady i pułki. W pierwszej kompanii każdego pułku chorążowie niosą sztandary. Na komendę swoich wodzirejów czekają posłusznie olbrzymie orszaki maszkar w dziwacznych kostiumach. Tylko na twarzach brak im masek. Ale twarze i tak nie mają już żadnego znaczenia. Dzisiaj wartość mają tylko tułowie, kończyny oraz rodzaj naszytych na człowieku gwiazd i guzików. Guziki! Guziki przede wszystkim muszą być w porządku. A zresztą — przyjdzie jeszcze czas na maski. Gazowe.

Żołnierze cesarskiej i królewskiej armii, wedle starej tradycji, powtykali w czapki gałązki dębowych liści. W pantalonach każdego żołnierza, jak sklepowa kartka z numerem i ceną, gnieździ się dyskretnie blaszka rozpoznawcza, „kapsla śmiertelna”, którą po bitwie sanitariusze od trupów odetną. Wówczas transakcja ze zdobytą ziemią dokona się definitywnie.

Baczność! Już porucznicy, z polowymi lornetami i mapami na piersi, prowadzą kompanie. Kapitanowie konno jadą na czele batalionów. Za nimi — adiutanci i trębacze. Dowódcy pułków na koniach — salutują szablami publiczność, która wznosi patriotyczne okrzyki i rzuca kwiaty, deptane podkowiemi wierzchowców. Orkiestra pułkowa gra marsza Radetzky'ego. Pyski Czechów, dmuchających w potężne, mosiężne helikony i bombardony, ociekają potem. Mały dobosik, żołnierz-dziecko, wali z całej siły w skórę bębna cielecą. Duży bęben ciągnie mały osiołek.

Ruszyło. Śmignęły szable oficerów i chorążych. Ej, szable, już niedługo będziecie grały w blaskach słońca! Zniesie was wkrótce rozkaz Ekscelencji, pana ministra wojny, żeby nieprzyjacieli nie mógł odróżnić oficera od prostego żołnierza. Bagnet was zastąpi, zwykły, gemajny bagnet!

Ruszyło. Zagrali kompanijni trębacze, zabębnił pałeczkami dobosze. Ej, bębny, — już niedługo będziecie werblem takt podawały piechurom! Zniesie was wkrótce rozkaz Ekscelencji, pana ministra wojny!

Ruszyło. Ruszyli ludzie, ruszyły konie, osły, muły, bydło rzeźne. Ruszyło żelazo, mosiądz, drzewo i stal. Zaturkotały treny, zgrzytnęły ciężarowe samochody, z głuchym szczękiem zadudniły

jaszczyki, pełne granatów, szrapneli i bomb, poukładanych w skrzynie, jak flaszki mineralnej wody. Ciężkim stępem podąży się naprzód lawety moździerzy, armat i haubic. Szły, jechały, sapały żywe i nieżywe cyfry, cyfry, wykombinowane w głowach sztabowców. Pod sznur, szeregiem zrównany, maszerował łań głów w czapkach, w hełmach, kołysało się zboże ciał w bluzach niebieskich, szarych, zielonych. Armie guzików, gwizdków, rzemieni, płynęły na armiach ludzi, obutych żółtymi, nowymi, nie-szwarcowanymi butami. Kolebały się rytmicznie tornistry ze śniadymi menażkami na plecach polskich, niemieckich, czeskich, włoskich, madziarskich. Suną chlebaki, ładownice, bagnety, dźwigane pieszo, konno przez ludzi, przez konie, podwozy i auta. Wypełniają się wagony towarowe (40 Mann - 8 Pferde) masą człowieka, zwierząt, żelaza, drzewa, sukna, gurtów i cierpliwości. Groza nagromadzona w takich ilościach sama nie wie, co ma ze sobą począć. Na razie wyładowuje się w tupocie, w szczęku, w dudnieniu.

Zbratał się człowiek w tym pochodzie ze zwierzęciem, żelazem i drzewem. Już zamiast żony — karabin mu żoną, zamiast brata — chlebak mu przyjacielem, a manierka z wodą — najmiłszym dzieckiem. O dziecko, ucałuj spieczoną usta piechura w godzinie pragnienia!

Kiwają się pocziwe łbiska siwków, kasztanów, bułanych. Osły, objuczone składowymi częściami karabinów maszynowych, po raz ostatni na pomoście wagonu spojrzęły za siebie łagodnym, cichym spojrzeniem.

Ruszyło. Zapłakały dworce Wiednia, Pesztu, Pragi, zapłakały hale Lwowa, Krakowa. Płaczem odpowiedziały im dworce Belgradu, Petersburga, Moskwy. I Warszawy.

Spocone, zziębnięte, pijane cyfry głów, rąk, nóg i tułowiów ciągną ławą na wschód i na południe, ze wschodu na zachód, z południa na północ, na dogodzenie czyjejś ambicji, na pomnożenie czyjejś chwały. Zdrowe, mocne płuca, serca, żołądki, tysiącami, dziesiątkami tysięcy, setkami tysięcy wyprawiają się we wszystkie strony świata na turniej własnego cierpienia, głodu, gorączki.

Z wszystkich lotnisk, z wszystkich hangarów, jak z poczwarczych kokonów, wyfrunęły z bzykaniem śmigieł jednopłatowe i dwupłatowe motyle, ważki, tarantule.

Ruszyło na lądzie, na morzu, w powietrzu. Kanonierzy torpedowców i krążowników szykują lonty. Łodzie podwodne gotowe dać nura, peryskopy szybują po otchłani i tropią łup. Aparaty śpiewają hosannę na cześć swoich wynalazców. Chwała człowiekowi na wysokości, na ziemi i pod wodą!

DO PRZECIWNIKA

Janowi Sturowi

Jak ciężko sapie nasz dzień!
W zamęcie ludzi, rzeczy i spraw
Kujemy mordercze oręże.
Szczelnie przyłbicą zakrywamy twarz,
By groźniej tak spod niej wyglądać.

Kiedy heroldzi dadzą na surmach znak,
Że czas nacierać,
Wtedy z okropnym bojowym okrzykiem
Idziemy na siebie z dwóch przeciwnych stron
Jak na antycznych kamiennych reliefach,
Co przedstawiają rozognione bitwy
Zamętem prymitywnie wyrzeźbionych ciał,
Przebiegiem tułowiów, rąk i krótkich mieczów
I rozpaczliwym nastawieniem tarcz
I rozjuszeniem wykrzywionych twarzy —
Idziem na siebie straszni i zajadli
I prowadzimy niezliczone wojska
Niewolnych plemion.

Oto się zwały dwie olbrzymie armie
Jak na antycznych kamiennych reliefach,
Dźwięczą dziuryty, bijąc o szyszaki,
Jęczą rażeni od mieczowych ciosów,
Kurczą się kłęby posiekanych ciał
I chrzęści zbroja.

Na tarczach naszych błyszczą różne godła,
Co mają znaczyć różne uwielbienia
Ciskamy w siebie kamieniami obelg
I opluwamy jadowitą śliną.
W tej rozszałej walce upojeni
Zapachem mięsa i zapachem krwi
Nie widzimy zgoła swego przeciwnika
Bowiem przyłbicę zatrzaskał na twarz.

Cały dzień trupy wałęsa się dokoła,
Cały dzień trwa to nasze szamotanie,
Prychają konie, sapią tłumy ludzi,
W podrygach setki rozszarpanych ciał
Jak na kamiennym reliefie.

A skoro dzień nasz utrudzi się w boju
I noc nastanie —
Idziemy spocząć w zacisznych namiotach
I ja i mój przeciwnik niepołomny.

A idziem smutni, cisi, zadumani
Nad owej walki przeraźliwą sprawą,
Którą toczymy snąć przez całe życie
O jakąś świętą i szlachetną rzecz.

W takiej to chwili, gdy nas smutek chwyta,
A cisza gasi rozognione zmysły,
Nagle stajemy w drodze do namiotów
I ja i krwawy ten przeciwnik mój,
I położywszy ręce na wezbranym
Sercu —
Czujemy obaj nagle, równocześnie
Że to o jedną i tę samą rzecz
Walczymy z sobą tak przez całe życie,
O tę jedyną, nienazwaną, świętą
Rzecz.

I tak stoimy w drodze, osłupiali
Z ręką na sercu, wielcy, nieruchomi:
Ja w mojej stronie, a on w swojej stronie,
(Gdy reszta wojska posnęła znużona)
Stoimy obaj, jako z oczu Boga
Na świat z wysokich niebios wyplakane —
Dwie wielkie, czyste i niepokalane
I nic o sobie wzajem nie wiedzące
Żywe, gorące
Łzy.

1920

T R E N XX

Lipcowe słońce przez liście lipy przemycą promienie,
Jak wierne psisko liże mi ręce i głowę biedną.
Wszystkie słodczyce, wszystką pociechę oddam za jedno
Ocz twych spojrzenie.

Miałem do dzbanów słodkiej małmazji — kompanów wielu.
Słuchaczów trefnej mej pieśni któż dziś naliczy?
Gdzie jesteś, który chcesz ze mną spełnić ten kielich goryczy,
O przyjacielu?

Samotny siedzę i śmieszny bardzo w tym wielkim bólu.
Miał wyć z rozpacz — ja gładkie rymy składałam o Niobie!
Przecz mi nie wolno, jak prostym ludziom, płakać po tobie,
Moja Orszulo?

Najlichszy fernal, co w Czarnolesie ziemię mi orze,
Kiedy chce — może dziecinę swoją brać na kolana,
Wierę, szczęśliwszym go uczyniłeś od jego pana,
O mocny Boże!

On w każdy wieczór z wszystkimi dziećmi do stołu zasiada,
Ze wspólnej misy lipową łyżką je kluski z serwatką.
A ja pod lipą jak stary pajac siedzę — i gładko
Treny układam.

O wielkie Muzy, o Apollinie, o wy okrutni!
Pozwólcie mojej boleści zapomnieć o Niobie!
Ach, gdybym mógł na kamiennym Orszulki grobie
Strzaskać cię, moja lutni!

NA SĄDNY DZIEŃ ŻYDOWSKI
ROKU 1942 (5703)

Od tylu wieków się toczy gardłowa przeciw nam sprawa,
I bez Twojego wyroku odwieczna kaźń nasza trwa.
Powołaj świadków obrony, i niech się skończy ta krwawa
Parodia Sądnego Dnia.

Miał pieluch — już nam w kołyskach śmiertelne wkładają koszule
Od bicia, bicia się w piersi — na kamień stężała nam dłoń.
Jehowo! Zjaw się na Sądzie i wykryj błąd w protokóle,
Z nadobłocznego zejdz tronu i sam przed Sobą nas broń!

Już pierwsze gwiazdy zabłyśły na Twoich niebios powale,
Starcy zadęli w rogi, płomienie buchnęły im z bród...
Tyleśmy grzeszni, co inni — *in hac lacrimarum valle*
Wygnańcy, synowie Ewy, przeklęty Kaina płód.

1942

Z TOMU ESEJÓW
„ORFEUSZ W PIEKLE XX WIEKU”

PISMA POŚMIERTNE

Lat temu — co najmniej trzydzieści — w warszawskiej kawiarni Europejskiej autor tych słów siedział w złym towarzystwie. Siedział sam przy stoliku, a jako rzeczce Paul Valéry *un homme seul est toujours dans la mauvaise compagnie*. Niedaleko była ulica Mazowiecka i „Mała Ziemiańska” i ta atmosfera, która wydawała mi się zabójcza dla młodego, jakim podówczas byłem — pisarza. Uciekłem więc od tej atmosfery i siedziałem w Europejskiej — sam. Zbuntowałem się przeciw targowisku, gdzie ustalano ceny na produkty umysłu i wyobraźni i gdzie nadawano rangi pracownikom pióra. Nade wszystko obrzydła mi własna rola w mniej lub więcej znajomej społeczności, obmierzło mi uganianie się po wydawnictwach oraz nieuniknione współzawodnictwo z innymi pisarzami. Niesmakiem przejmowała mnie próżność, też będąca, zwłaszcza w młodych latach, bodźcem twórczości. Przypominały się słowa Nietzschego: „Kto zna czytelnika, ten dla niego nic robić nie będzie. Jeszcze jedno stulecie czytelników i duch nawet śmierdzieć zacznie”. („Tako rzeczce Zaratustra: O czytaniu i pisaniu”).

Obrzydły mi nawet słowa. Widziałem w nich jedynie apaturę kompromisu prawdy z fałszem. Żadne wszak słowo w żadnym z ludzkich języków nie jest narzędziem doskonałej szczerości. Dla samego siebie nie myślimy przy pomocy słów. Czysta myśl ludzka posługuje się innymi, nieokreślonymi dotąd instrumentami. Dopiero gdy naszą myśl pragniemy przekazać innym, sięgamy po słowa. Im bardziej zaś te słowa, zwłaszcza w poezji, są zrozumiałe, tym więcej ztraca się ich dziewicza czystość. Już komunałem stały się wersety: „Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie”. Ale z językiem, a więc ze słowami żaden pisarz zerwać nie może. Co najwyżej, gwoili szczerości i czystości, może je zdeformować.

I naraz, w przypływie zniechęcenia i goryczy, postanowiłem: nie ogłaszać więcej za życia swych utworów. Odtąd chciałem pisać wyłącznie dla tzw. potomności, której istnienie nie stało jeszcze w owych latach, tak jak dziś, pod znakiem zapytania. Wszyscy twórcy zarówno z powodzeniem, jak i bez powodzenia, liczyli na potomność. Pragnąłem więc uwolnić się od tego, co każe autorowi liczyć się z panującą modą, z przyjaciółmi i wrogami, i z wszystkim, co w owych latach zaczęto już w War-

szawie nazywać „zamówieniem społecznym”. Jak błogo będzie: nie czekać na poklask publiczności, ale i nie narażać się ani sferom rządzącym, ani opozycji, ani klerowi wszelkich wyznań, ani bardziej może nietolerancyjnym kapłanom tzw. „wolnej myśli”. Gwizdać na prasę wszelkich odcieni, na antysemitów i na Żydów, na wojsko i na pacyfistów, na finansjerę i na snobów antykapitalizmu! Nie być świadkiem swych sukcesów, ani porażek! W ogóle zrezygnować z obecności przy tym, jak nasze dzieło robi na kimś wrażenie.

I zacząłem w kawiarni Europejskiej rozważać korzyści płynące z usunięcia się z „pola ostrzału”. *Non veder, non sentir m'é gran ventura* móc powtórzyć za Michałaniową „Nocą”. Tak powstał we mnie zamiar produkowania samych pism pośmiertnych. Już w wyobraźni egzaltowałem czytelnika tych pism: nie był podobny do żadnego ze znajomych. Nie miał twarzy, nie miał głosu, stał się abstrakcją, przez co nabierał patetycznych, prawie monumentalnych wymiarów. O, dla takiego, nieurodzonego jeszcze czytelnika, warto męczyć się przy pisaniu, gdyż tylko on jest sędzią sprawiedliwym i nie ulega żadnym fascynacjom ani uprzedzeniom do naszej osoby. A jakże często ta osoba jedynie wpływa na stosunek publiczności do naszego dzieła. Z chwilą gdy ta osoba znika ze świata, zamiera również wszelka atrakcyjność tego co stworzyła. Niewiele chyba z piszących życzy sobie, żeby ich dzieła były tylko dodatkiem do ich osoby. Może nawet egzystencjaliści chcą być czytani po śmierci?

Autor „pism pośmiertnych” nie tylko nie zna domniemanego czytelnika, ale i rzadko potrafi przewidzieć okoliczności, tudzież historyczno-społeczne warunki, w jakich nastąpi odbiór tego, co stworzył. Rodzajem swej pracy może przeto zbliżyć się do tzw. absolutu. Czyściejszy, szlachetniejszy, bo nieskrępowany żadnymi względami oportunistów, autor „pism pośmiertnych” czerpie ze spotęgowanego życia, własnego i cudzego, nie musząc bojaźliwie przymykać oczu na zjawiska drażliwe. Może je kształtować naprawdę jak zapragnie jego dusza. Ale takich świadomych „pośmiertników” — o ile wiemy — nie zna dotąd literatura żadnego narodu.

Nazwą „pism pośmiertnych” obejmowaliśmy do tej pory przeważnie te dzieła, których autor nie mógł lub nie zdążył już za życia ogłosić. Może by je ogłosił, gdyby dłużej żył, lub gdyby ich ogłoszeniu sprzyjały zewnętrzne, od autora niezależne warunki. Mamy tu na myśli przede wszystkim Słowackiego i Norwida. Istnieli też tacy pisarze, co za życia nic albo prawie nic nie chcieli ogłaszać, a bogatą ich twórczość poznaliśmy wyłącznie z tzw. teki pośmiertnej. Wymienić tu należy chociażby fenomenalną poetkę amerykańską, Emily Dickinson. Inni pisa-

rze zastrzegają sobie wyraźną datę, kiedy po ich śmierci będzie można ogłosić utwory, których publikacji przed tą datą z różnych przyczyn sobie nie życzą. Rzadkim okazem, jeśli nie unikatem w dziejach piśmiennictwa jest Samuel Pepys, sekretarz Admiralicji brytyjskiej w czasie restauracji Stuartów. Jego słynny „Dziennik”, pisany w latach 1660-1669 ujrzał tzw. światło dzienne dopiero w roku 1825, i to po odcyfrowaniu i rozszyfrowaniu tekstów, spisanych nie tylko systemem „tachygraficznym” Sheltona, ale i przy pomocy szyfrów, znanych jedynie autorowi. Do innej już kategorii „pism pośmiertnych”, zaliczyć trzeba utwory, których autor nie tylko nie chciał ogłaszać, ale polecił je zniszczyć wykonawcom swej ostatniej woli. Jeśli dziś mimo to utwory te znamy, stało się to dzięki nielojalności owych wykonawców testamentu autora. Uważali oni za rzecz ważniejszą, żeby świat czytający dzieła te poznał, niż aby życzenie testatora zostało uszanowane. Nie trudno się domyśleć, o kim mówimy. Klasyczny, a tak dla nas cenny przykład zlekceważenia ostatniej woli Franza Kafki, jest dziełem jego przyjaciela, również niemieckiego pisarza z Pragi, Maxa Broda. To jemu polecił Kafka spalić całą swą rękopiśmienną spuściznę.

Kto zna pisma Kafki, a zwłaszcza kto je czytał w czasie ostatniej wojny, zdumieć się musiał, nie tylko ich tematyką, symboliką, obrazowaniem czy stylizacją, lecz nade wszystko ich straszliwie aktualną dzisiaj „filozofią”, tak proroczo wybiegającą naprzód czasom, kiedy żył i pisał autor „W kolonii karnej” i „Procesu”. Czytając dziś te dzieła, ale również i najbardziej osobiste zwierzenia Kafki w jego listach czy w „Dzienniku”, odczuwamy niemal dotykalnie patos wyrzeczenia się autora wszelkich przywilejów, będących udziałem modnych za jego życia pisarzy niemieckich i nie tylko niemieckich. Czujemy w tych utworach jakąś majestatyczną ponadczasowość, nie mówiąc już o zdumiewającym jasnowidzeniu spraw, które dopiero dzisiaj uświadamiamy sobie w pełni.

Różne mogą być przyczyny, dla których jasnowidzący gruzlik z Pragi żądał spalenia swych najważniejszych dzieł. Może ulitował się nad czytelnikami, z których niejeden zginął w „kolonii karnej”, lub spłonął w piecach krematoryjnych kacetów? Może chciał im Kafka oszczędzić świadomości tego co ich spotka? Od śmierci Dostojewskiego do śmierci Kafki upłynęły zaledwie czterdzieści trzy lata, a jednak wieki dzielą procesy, przedstawione w powieściach autora „Zbrodni i Kary” i „Braci Karamazow” od „Procesu” Kafki. Wieki, wypełnione kataklizmami. Ci, co wyszli z nich żywi, stali się innymi ludźmi. U Dostojewskiego sądzono i skazywano istotnych zbrodniarzy lub duchowych współuczestników zbrodni. W każdym razie ska-

zywano ludzi, których zarówno prawo Boskie, jak i ludzkie mogło o coś obwinić. Kafka, w swych niesamowicie spokojnych, harmonijnie skomponowanych wizjach tortur moralnych i fizycznych oraz w wizjach zagłady, antycypuje nadciągający koszmar *historycznej rzeczywistości*, kiedy to w Europie skazywano bez sądu i masowo uśmiercano ludzi niewinnych. Wydaje mi się, że tego rodzaju prorocstwa nie miały precedensu w beletrystyce. I kto wie, czy ostatni prorok żydowski ze złotej Pragi XX wieku, przez spalenie swych książek, w których z precyzją zegarmistrza obnażył mechanizm absurdu i grozy, — nie chciał złożyć ofiary milionom ludzi, spalonym przez ludzi — w niespełna dwadzieścia lat po swojej śmierci. Są to nasze prywatne przypuszczenia. Faktem wszakże pozostaje, że zarówno zawartość jak i forma „pism pośmiertnych” Kafki mogą służyć za ilustrację naszej tezy o czystości, niewinności i szlachetności utworów, nie przeznaczonych do druku za życia autora.



Mówiąc o Kafce i jego proroczych widzeniach, wkroczyliśmy w rewiry męczeństwa. Tak więc do omówionych tu rodzajów „pism pośmiertnych” przybywa nowy, który nam stworzyli męczennicy i bohaterowie ostatniej wojny. W przeciwieństwie do autorów, nie życzących sobie, aby ich pisma były ogłaszane i czytane po śmierci, pisarzom — więźniom kacetów, łagrów i gett, skazańcom, idącym na śmierć w komorach gazowych czy na placach egzekucji, bardzo zależało na tym, aby tzw. świat dowiedział się z ich pism, co przecierpeli, zanim ich zgładzono. Pisma męczenników i bohaterów, to już nie tylko „pisma pośmiertne”, ale dokumenty krzywdy, krzyki lub śpiewne lamentsy utrwalone wierszem lub prozą na skrawkach często przemysłowego papieru — w tzw. obliczu śmierci. Jakże było to „oblicze”, w które musieli spoglądać, o tym nie mogą dać należytego pojęcia nawet ich własne, najbardziej przejmujące, utwory. Grozę tego „oblicza” mógłby tylko Goya wyrazić i to Goya z ponurego okresu swej twórczości, utrwalonego w tzw. „czarnych obrazach”, wiszących w Prado. Polscy i żydowscy poeci z warszawskiego getta oraz z powstania 1944 roku spoglądali w „oblicze” śmierci męczeńskiej *świadomie*. Toteż ich „pisma pośmiertne”, nawet o tematyce dalekiej temu, co przeżywali w getcie czy na barykadach, oblewa i nobilituje nieziemskie światło. Młodzi poeci, którzy zginęli, walcząc w Powstaniu Warszawskim: Krzysztof Baczyński, Tadeusz Gaycy, Zdzisław Stroiński, — byliby zapewne wybitnymi poetami, nawet gdyby przeżyli powstanie i wojnę, ale niestety pozostały po nich jedynie

„pisma pośmiertne”, aż zadziwiająco spokojne, gdy zważymy, w jakich powstały warunkach.

Znamy jeszcze inną twórczość, może mniej dojrzałą artystycznie, ale nie mniej wstrząsającą, jako dokument. Znakomity historyk okupacji niemieckiej w Polsce, powstania warszawskiego i powstania w getcie, Władysław Bartoszewski, ogłosił niedawno w „Twórczości” artykuł pt. „Polskie judaica literackie w publikacjach konspiracyjnych lat 1939-1944”. Dowiadujemy się z tego artykułu, że w piśmie konspiracyjnym „Kultura Jutra” (nr 8/9 za sierpień-wrzesień 1943) ukazał się wiersz pt. „Rzeczy” — porzucony na ulicy przez młodą Żydówkę, prowadzoną przez Niemców z małego do dużego getta, w którym masakrowano wówczas ludność żydowską. „W ten sposób” — pisze Bartoszewski — „ogłoszono w polskim piśmie literackim jedyny bodaj utwór poety gettowego, który uzyskał tą drogą znaczny rozgłos. Autorem „Rzeczy” był bowiem faktycznie Władysław Szlengel, który zginął w getcie warszawskim podczas walk kwietniowych”.

Podobnych utworów, o nierównej wartości literackiej, znajdujemy więcej w cennej antologii wierszy o Żydach pod okupacją niemiecką, którą to antologię pieczętował i w roku 1947 wydał zasłużony badacz tego odcinka literatury, żołnierz polskiego podziemia, Michał M. Borwicz pt. „... Pieśń ujdzie cało”. Ten sam pisarz ogłosił w Paryżu, w roku 1955, po francusku, obszerne studium socjologiczne pt. „Ecrits des condamnés à mort sous l'occupation allemande (1939-1945)”, na podstawie którego uzyskał w Sorbonie doktorat.

Nie tylko Polska dostarczyła piśmiennictwu smutnego pokłosia z terenów, zżętych tzw. eksterminacjami. Nawet naród eksterminatorów może się poszczycić literackim pomnikiem, wystawionym własnym ofiarom hitlerowskiego terroru. Właśnie w krakowskim „Tygodniku Powszechnym” z 7 października 1962 przeczytaliśmy kilkanaście wierszy niemieckich pióra ofiar hitlerizmu. Wiersze te wybrał z antologii pt. „An den Wind geschrieben” („Pisane na wiatr”) i pięknie spolszczył Piotr Lachmann, Niemiec, piszący po polsku, a zamieszkały w Republice Federalnej. Oto, co oznajmia nam Lachmann na marginesie wstrząsającej książki: „Ta książka nie jest antologią liryki. Jest modlitewnikiem, powstałym w chwili pożaru świata. Poeci nie żyją... Ta antologia jest nagrobkiem”. A dalej „Euterpe nie potrafiła zgasić ognia pod paleniskami śmierci. Poezja okazała się niczym wobec śmierci, wobec ogromu przemocy”. Nie mogę oprzeć się przytoczeniu krótkiego utworu z antologii wierszy „Pisanych na wiatr”. Piotr Lachmann nie podaje nazwisk auto-

rów ani autorek, nie wiemy więc, kto w roku 1942 napisał wierszyk pt. „Módlmy się”:

„Jesteśmy zmarłymi
ponad światem
Nie mamy ostatniej woli,
tylko o jedno prosimy:
Módlcie się, módlcie
byśmy byli zbawieni”.

Módlmy się więc i za niemieckich poetów-męczenników.



Wróćmy jednak do „pokojowego” trybu życia i do śmierci „naturalnej”.

Podobnie jak miłość, może i śmierć, a raczej świadomość śmierci, stać się podniętą twórczości. Niejeden piękny utwór wyrósł na drożdżach śmierci. W młodych latach ulegamy przeważnie ziemskiemu pasjom, które nas zaślepiają, a niekiedy i zwężają widnokrąg. Życie wypełniają nam wtedy walki, marzenia i nadzieje. Dążymy do spełnienia marzeń i czasem nam się to udaje. Z tych marzeń, spełnionych lub niespełnionych, z fantastycznych iluzji i snów na jawie, powstają dzieła sztuki. Miłość zmysłowa ostrymi biczami smaga nasze ambicje i zmusza do szukania piękna, czasem kosztem prawdy, *nota-bene* o ile prawdziwe piękno też nie jest prawdą. Bez miłości czy też, jak to szpetnie dziś mówią, bez „sexu”, nie byłoby zapewne sonetów Szekspira, ani Petrarki ani Mickiewicza. Ale przychodzi chwila, gdy poetę przestają rozmarzać ziemskie rozkosze, i już nie spodziewa się on tzw. sercowych zwycięstw. Miłość przestaje zapładniać jego wyobraźnię, najwyżej staje się wspomnieniem. Wtedy zjawia się śmierć, jako najwyższy autorytet w zakresie twórczych ambicji, często nawet jako ich rywal. — I już do końca życia, choćby ono miało trwać jeszcze długo i być płodne, artysta tworzy w zimnym, krystalicznym blasku śmierci. Ogarnia go fascynacja śmierci, którą pragnie przezwyciężyć. Wszystkie sprawy życia rozpatruje on już z perspektywy przemijalności, ocenia je na podstawie tego, co z tych spraw może się ostać. Blask śmierci, wciąż dojrzewającej w nas i zawsze obecnej, niezależnie od tego, co sobie wyobrażamy po jej spełnieniu, obdarza artystę niezmąconym spojrzeniem na świat i na jego tajemnicze sprawy. Prawie każde dzieło literackie, noszące na sobie (nie zawsze dostrzegalne) ślady tego blasku, można zaliczyć do „pism pośmiertnych”. Obecność śmierci poleruje strofy

poezji lirycznej, wpływa na jej tonację i zabarwienie, nawet jeśli to jest poezja sielankowa. Istnieją poeci tak bardzo „życi” z śmiercią, iż z tej koegzystencji właśnie czerpią siły do walki z otaczającym ich chaosem. Jak gdyby tylko dzięki wzmoczonej świadomości śmierci mogli osiąść wiedzę o życiu. Rzeczy ostateczne, których kształtowanie zawsze nęciło artystów wszelkiego autoramentu, wpływają nawet na wybór środków wyrazu. Można pisać o uciechach życia, malować Arkadie i Cytery, a mimo to znajdować się pod ciśnieniem rzeczy ostatecznych, a więc śmierci i wszystkiego, co po niej ma lub nie ma nastąpić.

Znów musimy wspomnieć Kafkę. Maurice Blanchot w swej kapitalnej, ale nie dość znanej książce pt. „L'Espace littéraire” przytacza z dziennika Kafki takie, w grudniu 1914 roku zanotowane refleksje:

„Po powrocie do domu oznajmiłem Maxowi że jeśli bóle nie będą zbyt duże, będę na łożu śmierci bardzo zadowolony. Zapomniałem tylko nadmienić, a później rozmyślnie to pominąłem, że najlepsze rzeczy, jakie napisałem, powstały z tej właśnie zdolności umierania z zadowoleniem”. Znamienne to oświadczenie komentuje Blanchot w ten sposób: „Nie można pisać, jeśli nie jest się panem siebie w obliczu śmierci, jeśli nie ułożyło się stosunków z nią na zasadzie suwerenności”. (Podkr. moje). A dalej: „Kafka odczuwa tutaj głęboko, że sztuka to jest stosunek do śmierci. Dlaczego do śmierci? Ponieważ jest ona ostatecznością”. Następnie stwierdza Blanchot, iż „geniusz stawia czoło śmierci, jego dzieło zaś — to śmierć udaremniona, lub, jak powiada Proust — to śmierć mniej gorzka, mniej haniebna, a może nawet mniej prawdopodobna”.

Jakąż to śmierć nazywał Proust haniebną? Nie przeczuwał jak Kafka „kolonii karnych”. Miał chyba na myśli tchórzliwe umieranie. Ale wszyscy pisarze i artyści lepiej lub gorzej „życi” z śmiercią — przed nastaniem „czasów pogardy” — oczekiwali albo też bali się śmierci „normalnej”, w każdym razie czegoś, co można było sobie wyobrazić. Na śmierć „normalną” można było przygotowywać się latami, nawet wewnętrznie kostiumować się na jej przyjęcie. Śmierć, którą Kafka chciał przyjąć „z zadowoleniem” lub ta, która, pozwoliwszy mu łaskawie ukończyć jego wielkie dzieło, zabrała, przez długie lata męczącego się z nią Prousta, taka śmierć mogła być marzeniem niejednego poety w Polsce w latach 1939-1945.

Mieczysław Jastrun w swym pięknym „Micie Śródziemnomorskim” opisuje jak siedział „w alei kwitnących kasztanów na kolonii małych jednorodzinnych domków w niedalekiej stosunkowo odległości od muru, za którym płonęło getto warszawskie. Obok mały chłopiec śledził wesołymi oczami lot

bombowca, zrzucającego śmiercionośny ładunek na zamkniętą dzielnicę, gdzie bez żadnej nadziei umierali ludzie. Moje dawne odczucie obcości bytu, owa trwoga i nuda, które ogarniały mnie nagle wśród gwaru i jaskrawości przyrody, albo w miejscu, gdzie było dużo ludzi, wśród brzęczenia muzyki i zaduchu, teraz ukazywały swoje niespodziewane spełnienia, swoje sąsiedztwo gwałtownej śmierci, wobec której to, co nazywamy umieraniem było *krajem spokoju i nieomal pomyślności*”. (Podkr. moje).

Tak jest: pomyślności. O ile słowo: pomyślność oznacza to, co dzieje się *po myśli człowieka*. Nagła i gwałtowna śmierć nigdy nie była *po myśli człowieka*. Ale czasy, w których wypadło nam żyć i umierać odczyły nas zarówno życia jak i umierania *po naszej myśli*. A jeśli jesteśmy pisarzami, piszemy nieomal zawsze *in articulo mortis*. Pogodziliśmy się już z myślą, że w każdej chwili może nas owa *mors* zaskoczyć: nie tylko nas samych, ale wraz z nami miliony zdrowych ludzi. To ustawiczne śmiertelne pogotowie nie musi być źródłem chronicznej paniki. Przeciwnie: może nas zahartować moralnie, a u pisarza, godnego tej nazwy, może stać się źródłem nowej siły i godności. Wszystko, co ma do powiedzenia, może w tej sytuacji zyskać ciężar słów, powiedzianych na odchodnym. Na odchodnym — na zawsze. Niezależnie od świadomości czy nieświadomości, dokąd odchodzi. W takich warunkach każda poważna pieśń stać się może śpiewem łabędzim. A już święty Hieronim, którego malarze wszystkich czasów przedstawiają jako wielkiego starca, sławił słodycz łabędzich śpiewów:

Nescio quid cygneum et solito dulcius vicina morte cecinit
(Epistola 52, 3, ad Nepotianum)

Poblże śmierci może więc uintensywnić i uszlachetnić pieśń, napełniając ją transcendentalnym natężeniem i promieniowaniem. I choćbyśmy w poezji, jak Dante, ciskali inwektywy i przekleństwa, będą to inwektywy i przekleństwa nie tylko pod adresem współczesnych.

Piszmy więc, i już za życia ogłaszajmy nasze utwory „na zasadzie” pism pośmiertnych. Nawet siedząc w kawiarniach, „Europejskich”, czy „Ziemiańskich”, piszmy *in articulo mortis*. (Tym bardziej że te kawiarnie przedwojennej Warszawy należały już do świata umarłych). A jeśli dzieło literackie istotnie ukazuje twarz autora, niechże to będzie jego prawdziwa twarz, a nie gęba zniekształcona grymasem pychy, próżności lub samoubóstwienia.

Podobno tylko maska pośmiertna może ukazać prawdziwą twarz człowieka. Często maska ta bywa jedynym dowodem, iż człowiek ów miał własną twarz. Toteż każde uczciwe dzieło

literackie jest właściwie pośmiertną maską autora, zrobioną już za życia.

Nie przeceniajmy jednak wagi naszych pism, nawet pośmiertnych, wobec spraw ostatecznych. Piękną naukę dał nam w tej materii umierający Bernanos. Ksiądz Daniel Pezeril, obecny przy śmierci pisarza, tak opisuje jedną z ostatnich z nim rozmów: „Rozmawialiśmy o Bogu, który może już wkrótce przyjmie go do siebie. Kiedy wspomniałem Bernanosowi, że jego dzieło przyczyni się za nim u Stwórcy, Bernanos odparł: „Nie jestem odpowiedzialny za to co stworzyłem... *Virtus de illo exibat*... Jestem odpowiedzialny tylko za to, czym *nie* byłem”.



P.S. — Dobrze — powie łaskawy Czytelnik, — ale co się stało z twoim postanowieniem, powziętym w młodości, w kawiarni Europejskiej? Jak każdy „zawodowy” pisarz nadal ogłaszałeś swe utwory, w Polsce i za granicą, i normalnie, po ludzku, reagowałeś na ich przyjęcie u publiczności.

To prawda; nie wytrwałem w młodzieńczym, dziwacznym, jak dziś wydaje mi się, postanowieniu. Musiałem piórem zarabiać na życie. A z pism pośmiertnych trudno autorowi wyżyć. Ale coś z tego zostało we mnie na resztę życia. Zostały pewne, działające po dziś dzień, hamulce. Pod wpływem idei „pism pośmiertnych” wyhodowałem w ciągu tylu lat dość hardy imperatyw, nakazujący ostrożność w kształtowaniu opinii, nawet przy budowie zdań i komponowaniu obrazów. Tak, jakby te opinie, zdania i obrazy miały istnieć niezależnie od mego losu na ziemi i niezależnie od moich stosunków z ludźmi. Tak, jakby zaraz po napisaniu mych utworów, moje życie miało się skończyć.

1962

ELEGIA TŁUMACZA DO HOMERA

I

Tobie dziś gędzę, Homerze —
wydarty szkolnym wypisom,
Za Ciebie nigdy w karczerze
siedział i bluźnił Odysom!

Płynęły łzy.

O ślepy, biedny mój bardzie —
co nawet nie masz dowodu

Na to, żeś istniał — w pogardzie
grążyłem Ciebie za młodu!
W on czas, gdy Twe heksametry
w uszy wbijano mi klinem,
Tęsknie stawałem przed kinem,
łasy dramatów na metry!
Aż raz, w wojskowym szpitalu,
na jakiejś straszliwej wojnie
Mówiłeś do mnie spokojnie —
o tym, że miasta się palą.

Płynęła krew.

W to życie moje bydlęce
wtargnąłeś z królem Itaki:
On ręce podał mej męce —
(Myślałem: chyba poświęcę
Ostatnie moje szóstaki...)
Kupiłem Cię w antykwarni —
o długoletnie źródłisko
Mych snów, upojęń, męczarni,
tryumfu i pracy i zysku!
Płynęło wino.

II

O morze! O święta żeglugo!
W tęskliwych nawach ulicy
Płynąłem sam, bez kotwicy,
aż Tyś mię zrobił swym sługą!
I siedem lat na galerze
Twojej siedziałem przy wiośle —
Dziś już rozkuty, wyniośle
dzięki Ci składam, Homerze.
Ty nie urągaj mi, iżem
opił się krwią Twej cytary,
Ja, com nie godzien Twych cizem
czyścić, sterniku mój stary!
Hardo Ci patrzę w oblicze
ślepe, acz w strasznej jasności!
Z ręką na sercu wyliczę
upadki moje w tym locie!
O ślepy, biedny Ty bardzie,
co nawet nie masz dowodu,
Żeś był! W dziejowym hazardzie
dziś Ty mię chronisz od głodu!

Głody mej duszy i ciała
 Tobą spokoję, o maro!
 Cała Hellada zadrżała,
 kiedyś zabrząkał cytarą!
 Raz jeszcze dzisiaj, mój Arcy,
 — świeże uplotą Ci wieńce
 Upici Tobą młodzieńce
 I ukołysani starcy!

DO JĘZYKA POLSKIEGO *

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie
 Naszego śpiewu, gniewu i lamentu!
 Poszedłeś razem z nami na wygnanie,
 Ach, udziel nam ostatnich sakramentów.

Biały gołębiu cichego przymierza
 Tych, co są wolni z tymi, co są bici, —
 Sfrun na stalagi i w ustach żołnierza
 Żyj i niech tobą chociaż się nasyci!

Mlekiem i miodem spłyn w straszne rynsztoki
 Miast porażonych doczesną niewolą
 Najśłodszym z twoich słów pożegnaj zwłoki
 Zabitych w szczerym polu.

A gdy wrócimy na to krwawe łono,
 Z którego ty i myśmy się poczęli —
 Polskim milczeniem ziemią umęczoną
 Niech powitają anieli.

(1943)

* Wiersz z przygotowywanego i nieukończonego tomu „Pism” pt. „Kontrabanda”, uprawiana wierszem w latach 1919-1969. Tom był zadedykowany „Halinie i Elżbiecie”. Instytut Literacki otrzymał tylko część 1-szą (106 str.). Tom ten Józef Wittlin zamierzał dokończyć w bieżącym roku.

Tajny ładunek korsarskiego okrętu

(NA MARGINESIE TŁUMACZENIA
 „TRANS-ATLANTYKU”)

Od dawna jestem przekonany że jedyną doskonałą lekturą książki jest jej przetłumaczenie na obcy język. „Trans-Atlantyk” czytałem kilka razy, ale dopiero dwuletnia praca nad wreszcie zakończonym jego francuskim tłumaczeniem¹ naprowadziła mnie na tropy, których istnienia nie przypuszczałem.

Z Panem Tadeuszem w zawody

Dla co bardziej rozgarniętych pierwszych czytelników *Trans-Atlantyku* jasne było od razu, że wzorem tej powieści jest *Pan Tadeusz*. W sylwetce archaicznej Polski, którą magiczna latarnia Gombrowicza rzutuje na ekran Argentyny, rozpoznać można bez trudu kształt Mickiewiczowskiego arcydzieła: i tu i tam polowania z chartami na zające, wlokące się bez końca procesy i zwady, pojedynki które nie dochodzą do skutku. Oba utwory kończą się zajazdem (który spala na panewce) poprzedzającym finał narodowego balu — „zgody narodowej” u Mickiewicza, a który u Gombrowicza wybucha śmiechem „Buchbachu”.

Mniej oczywisty był zamiar Gombrowicza głębszy, niesłychanie ambitny, szaleńczy niemal, który teraz dopiero widzę „w całej ozdobie”. *Trans-Atlantyk* miał być nie tylko parodią

1. Witold Gombrowicz: *Trans-Atlantique*, traduit par Constantin Jeleński et Geneviève Serreau, préface de Constantin Jeleński, Ed. Les Lettres Nouvelles, Denoël, Paris, 1976.

Pana Tadeusza, zadaniem jego było poemat Mickiewicza przekreślić i zastąpić, odwracając koło historii. Jak spiskowiec chciał Gombrowicz przedrzeć się pod prąd utraconego czasu, ukraść dziecko Mickiewicza i podrzucić w zamian literaturze polskiej swojego cudaka. *Trans-Atlantyk* jest ni mniej, ni więcej jak arcydziełem, do którego — w przekonaniu Gombrowicza — dążył Sarmacki Barok, którym był ciężarny, a poronił go dlatego, że zamiast oczekiwanego potwora, mającego Polaków doprowadzić nareszcie do prawdy, do urody i do życia, narodził się *Pan Tadeusz* i omamił nas na nowo pięknem urody konwencjonalnej i „pocziwej”. *Trans-Atlantyk* miał odtworzyć to poronione dziecko Sarmackiego Baroku, miał stać się swoistym mesjaszem polskiej literatury, wyprodukowanym w dwudziestowiecznej próbówce.

Gombrowicz, tak mi się wydaje, miał po cichu nadzieję, że polscy czytelnicy sami odczytają ten zaszyfrowany, szaleńczy jego zamiar. Mimo że tak często pisał o *Trans-Atlantyku* w *Dzienniku*, mimo że tak zajadle bronił swego dzieła przed atakami emigracyjnego Ciemnogrodu, fakt że wzorem jego był *Pan Tadeusz* ujawnił sam dopiero w *Rozmowach*, po niemal dwudziestu latach.

„Jeszcze jedna konfidencja” — powiada tam Gombrowicz swemu rozmówcy. — „Już panu mówiłem, że pisząc *Ślub* zapatrzyłem się w *Hamleta* i w *Fausta*. Otóż *Trans-Atlantyk* rodził mi się poniekąd jak *Pan Tadeusz à rebours*. Ten poemat Mickiewicza, też na emigracji pisany sto lat temu z górą, arcydzieło naszej narodowej poezji, jest afirmacją polskości z tęsknoty poczętą. W *Trans-Atlantyku* pragnąłem przeciwstawić się Mickiewiczowi. Jak pan widzi, zawsze urządzam się tak, by tworzyć w dobrym towarzystwie”.

Klucz do genezy *Trans-Atlantyku* przemysłnie ukrył Gombrowicz w swym szkicu o Sienkiewiczu, wydrukowanym w *Kulturze* w roku 1953. Rozważania o „sekretnym romansie” Polaków z autorem *Trylogii* są tam pretekstem do analizy „sprawy drastycznej, a mianowicie problemu wytwarzania urody”. Piękność, twierdzi Gombrowicz, potrzebna jest nie tylko jednostce, ale również narodowi, które „zwracają się do swoich artystów, aby oni wydobyli z nich piękność i stąd w sztuce piękność francuska, angielska, polska lub rosyjska”. Nad wytworzoną w ten sposób „urodą polską” ciąży swoiste przekleństwo, gdyż literatura nasza od zarania „utożsamiała urodę z cnotą”. Jest to, dla Gombrowicza, pomyłka zasadnicza, „gdyż cnota, sama w sobie, jest nieciekawa i z góry wiadoma, cnota jest załatwieniem sprawy, to jest śmiercią; grzech jest życiem”. Dlatego, „kto od dzieciństwa był tylko cnotliwy” (a więc, uzupełnijmy,

literatura polska), ten „niewiele będzie wiedział o sobie”. Na wizję Gombrowicza polskiej literatury Odrodzenia i wczesnego Baroku składa się widocznie Skarga, Frycz Modrzewski, Orzechowski (motyw „Naprawy Rzeczypospolitej”) i heroiczne akcenty Potockiego czy Kochanowskiego. Mniejsza o to do jakiego stopnia pasuje do niej Rej, Kochanowski czy Andrzej Morsztyn. Kluczowy jest tu stosunek Gombrowicza do Baroku Sarmackiego, który utożsamia on mylnie (bo Pasek to przecież wiek XVII-ty) z epoką saską. Na skutek paru wieków sumienia, cnoty i pocziwości, powiada Gombrowicz, „typ Polaka, jaki proponowała literatura i sztuka, nie będąc dosyć nasycony grzechem, dość związany z życiem, musiał stać się oderwaną formułą... I stąd ta niesłychana przygoda nasza, jaką był wiek XVIII-ty, genialny nieomal kryzys piękności polskiej, który postawił nas oko w oko z Brzydotą, z Rozwiążnością naszą... Wiek sklerotycznego starczego zeszytnienia i zarazem tępego rozwyrzenia, kiedy to rozbrat pomiędzy formą a instynktem wytworzył przepaść... największą chyba, jaka kiedykolwiek objawiła się sielskiemu naszemu duchowi”.

Biorąc pod uwagę znaczenie jakie Gombrowicz zawsze przypisywał w swej twórczości i w życiu do sytuacji „kryzysowych”, nic dziwnego że widział w „potężnym idiotyzmie naszym z tego okresu” wyjątkową szansę wyjścia z impasu pocziwości i cnoty: „Jaka to szkoda niepowetowana że saska groteska nie została doprowadzona do swych ostatecznych konsekwencji! Gdyż to samoudręczenie w brzydocie, w głupocie zawiadłoby nas prawdopodobnie do wyższych postaci piękności i rozumu — ten dręczący konflikt z formą, która stała się nam wroga, mógłby znakomicie wydoskonalic naszą wrażliwość na formę — i, kto wie, może uzyskalibyśmy w ten sposób lepsze zrozumienie tego nieuleczalnego rozdźwięku, jaki istnieje między człowiekiem a jego formą, jego „stylem” — a ta myśl pozwoliłaby nam dostrzec na koniec istnienie Formy, jako takiej, sprawiłaby że nie tyle „styl polski”, ile stosunek nasz jako ludzi, do tego stylu, stałby się najważniejszą naszą troską. Tak, dokonilibyśmy, być może, ważnych odkryć, dotarlibyśmy, być może, do idei płodnych, nowych... gdyby nie Mickiewicz. Niestety, Mickiewicz złagodził nam bóle, nauczył nas nowej piękności”.

Ta nowa piękność Mickiewiczowska nie była — twierdzi Gombrowicz — „dobrą robotą”, gdyż „prawdziwej piękności nie osiąga się przemilczaniem brzydoty”. Następuje ostra, po Gombrowiczowski niesprawiedliwa krytyka Mickiewicza (jasne jest dla mnie, że Gombrowicz użył w tym szkicu Sienkiewicza jako dymnej zasłony uderzenia bardziej ryzykownego — w największego polskiego poetę): „Mickiewicz wolał nie rozbiierać do naga

a wszechobejmująca dobroć jego bała się zająrzeć prawdzie w oczy... dokonał tego na co go było stać, to jest zaopatrzył nas w taką piękność jaka w danej chwili odpowiadała naszym narodowym interesom... uczynił z Polski Chrystusa narodów, przeciwstawił naszą chrześcijańską cnotę nieprawości zaborców i wyśpiewywał piękno naszych krajobrazów”.

Wreszcie kluczowy ustęp: marzenie Gombrowicza o tym, co by się stało gdyby miejsce *Pana Tadeusza* zajęło arcydzieło innego, śmielszego, bardziej indywidualnego pokroju: „Jakże wyglądałby nasz rozwój, gdyby wówczas pojawiła się na naszym niebie, obok Mickiewiczowskiej, inna gwiazda: mąż równie znakomity i wzniosły, który by jednak nie oddał siebie na służbę narodu, ale, dumnie wzgardziwszy całą biedą naszą, wszystkimi koniecznościami niewoli, spróbował dotrzeć do Piękności jako człowiek wolny, swobodny duchowo. Ale żadna gwiazda taka — w rodzaju Goethego — nie ukazała się nam we właściwym czasie, a dziś już chyba za późno... gdyż problemy mają swoją chronologię i w chwili obecnej co innego ciąży nam na sercu”.

Za późno? Nie zapominajmy, że słowa te ukazały się w druku zaledwie rok po wydaniu *Trans-Atlantyku* przez *Kulturę*. Przemilczenie *Trans-Atlantyku* w tym szkicu, oczywiście nawiązującym do jego genezy, jest intencjonalne, myślę że Gombrowicz liczył jeszcze na to, że czytelnicy mu zaprzeczą, że mają żywo w pamięci autoportret jakże bliski tej „innej gwiazdy” antymickiewiczowskiej, z *Trans-Atlantyku* właśnie: „Bo przecie nie na to mnie Matka urodziła, nie na toż rozum mój, Wzniosłość, Twórczość moja i lot Natury mojej nieznównany, nie na to Wzrok przenikliwy, Czoło dumne, Myśl ostra, gwałtowna, abym ja w kościółku swojskim Gorszym, Mniejszym do Mszy ach chyba Gorszej, Tańszej, w Chórze tańszym, marniejszym, kadzidłem miernem, marnem się odurzał wraz tam z innemi swojskimi Swojakami swemi”. Wiedząc skądinąd, że Gombrowicz poczuwał się do bliskiego powinowactwa z Goethem, który był dla niego — na równi z Szekspirem — jedynym, niedościgłym wzorem, możemy dodać, że był on właśnie, w swym pojęciu, „gwiazdą w rodzaju Goethego”.

Jakie zaś arcydzieło mogło, powinno, *Pana Tadeusza* zastąpić, przezwyciężyć? Znamienne jest — pisze Gombrowicz — „że w poezji twórcy *Ody do młodości* uroda młodzieńcza wciąż jeszcze podporządkowana jest urodzie „dojrzałej” — rzecz można, że to wciąż literatura „ojców”, i Mickiewicza nie zachwyca młodzieniec — zachwyca go „mąż” albo młodzieniec mający zadatki na męża”. I dodaje, że „w całej sztuce polskiej... młodość jest zawsze tłumiona, tu nałożono wędzidło koniowi młodości”.

Wszystko jest chyba jasne. „Brakujące arcydzieło” polskie winno przemówić językiem sarmackiego baroku; winno doprowadzić do ostatecznych konsekwencji saską groteskę; winno być przyrządzone „na oleju Grzechów i Wstydu”. Celem zaś całej tej operacji jest zastąpienie Ojczyzny Sycyzyną. Należy wreszcie zdjąć wędzidło koniowi młodości: „niechże tera żrebak na kiel weźmie, niech Ojca swego poniesie gdzie oczy poniosą”.

Tu wskazówka sceniczna: surmy, bębny, trąby: Umarł *Pan Tadeusz*, niech żyje *Trans-Atlantyka*! Tra-tatetu! Tra-tataty! Nawet rytm tytułu: jedna sylaba trzy sylaby, nawet aliteracja (wokół liter *t* i *a*) należą do tego samego szyfru.

Tłumaczyłem *Trans-Atlantyka* z *Panem Tadeuszem* pod ręką i zanotowałem mnóstwo zbieżności pomiędzy wzorem i jego parodią. Nie będę ich tutaj rozwijał, gdyż poza powyższym wstępnym wywodem wszystkie moje „odkrycia” w tej dziedzinie — i szereg innych, które mnie uradowały — zostały z dokładnością, której mu zazdroszczę, zauważone przez Stefana Chwina w niezmiernie wnikliwym szkicu „*Trans-Atlantyka*” wobec „*Pana Tadeusza*” (*Pamiętnik Literacki*, 1975, z. 4), przesłanym mi przez Jerzego Giedroycia zaledwie dwa miesiące temu. Niech mi będzie wolno zacytować ze szkicu Chwina, który uważam za obowiązkową lekturę dla każdego miłośnika dzieł Gombrowicza, jeden charakterystyczny ustęp:

„Wewnątrz świata Mickiewiczowskiego daje się przeprowadzić linią rozgraniczenia, wyjaskrawiana w *Trans-Atlantyku*: klucznik i Dobrzyńscy to skupienie postaw, których ewolucja prowadzi do makabryzmu patriotycznego. To „kraśne” pierwowzory Kawalerów Ostrogi. Soplicowie natomiast sytuują się jako formacja wstępna ciągu, którego przedłużeniem będą postawy grupy poselskiej. Finał *Trans-Atlantyku* to „zajazd” Kawalerów na roztańczony dwór opanowany przez grupę reprezentującą optymistyczny wariant patriotyzmu”.

Gombrowicz byłby się ucieszył, że w trzydzieści lat po napisaniu *Trans-Atlantyku* Stefan Chwin w Warszawie, ja w Paryżu — rozpoznaliśmy, niezależnie od siebie, tajny ładunek jego korsarskiego okrętu. Chwin tak formułuje zamiar Gombrowicza: „Ja, Mojżesz, wyprowadzam, naród polski z kształtu wykutego przez świętego — przekłętę mistrza Adama”. Nasuwa mi się mimo woli pytanie: a może i wyprowadza?

We wstępie do *Historii* pisałem już o tym jak młoda krytyka polska używa Gombrowicza jako tarana do rozbijania murów, które nie pękają na dźwięk trąb romantycznego zrywu. Pewność niezachwiana, jaką miał Gombrowicz o swojej wielkości niejedną mi już zgotowała niespodziankę. Pamiętam, jak w roku 1956, kiedy wreszcie udało mi się doprowadzić do

francuskiego wydania *Ferdydurke*, Gombrowicz w jednej ze swych lakonicznych instrukcji, jakie pisywał do mnie niczym Napoleon do Murata, nakazywał abym nie tracąc ani chwili rozpoczął starania o uzyskanie dla niego nagrody Nobla. Napisałem mu, że zwariowałem, że to nic nie ma wspólnego z tym nieograniczonym dla niego podziwem, że Nobel nagradza tylko dzieła pewnego typu, że z Polaków może go dostać Dąbrowska albo Iwaszkiewicz, on nigdy... Na rok przed śmiercią był jednym z dwóch głównych kandydatów do nagrody Nobla (o którą się nikt nigdy dla niego nie starał)...

Od Ojczyzny do Sinczyzny

Przyznam że ja, który pierwszy bodaj wskazałem na to, że Gombrowicz rozdwa się w swych powieściach na dość realistycznego narratora i na inną postać będącą jego duchowym sobowtórem, któremu powierza reżyserię diabelskiej machinacji, o którą mu naprawdę chodzi, nie dostrzegłem od razu że do tych sobowtórów należy Gonzalo. Bo też niełatwo się rozróżnić w propozycjach Gombrowiczowskiego „ja”, które rozdziela on między narratora i „reżysera”, który z nich jest jego prawdziwym wcieleniem.

Gombrowicz-narrator jest wiernym odzwierciedleniem autora, ale to Gombrowicz „letni”, niezdecydowany, wrażliwy na opinię, przekazany w prawdzie egzystencjalnej nudy i męki, w gęstwinie chwil i przedmiotów, w kosmosie sprzecznych ze sobą znaków. „Reżyserem” jest zwykle — ale nie zawsze — nieodłączny jego towarzysz, nie odstępujący go jak cień (francuski *double*, niemiecki *Doppelgänger* raczej niż polski sobowtór). I tak *Doppelgänger*em i reżyserem zarazem jest w *Ferdydurke* Miętus, w *Pornografii* Fryderyk. W *Kosmosie* natomiast reżyserem jest nie towarzyszący narratorowi bezbarwny Fuks, a Leon to zdegradowana wersja szekspirowskiego Prospera z *Burzy*.

Jasne jest dzisiaj dla mnie, że Gonzalo nie tylko odpowiada obu warunkom (towarzysza i reżysera), ale że Gombrowicz sam na tę jego rolę wyraźnie w *Trans-Atlantyku* wskazuje. Dlaczego nie zauważyłem tego od razu? Może po części dlatego, że Gombrowicz nie przyznawał się jeszcze wówczas do swych homoseksualnych doświadczeń (za które wziął otwarcie odpowiedzialność dopiero w napisanej do poświęconego mu numeru *Herne* nocy biograficznej). Skądinąd nie ma cienia podobieństwa między Gombrowiczem a Gonzalem, który ma pozory rozlatanej, egzasperującej „cioty” (podczas gdy homoseksualna strona Gombrowicza miała wyraz zdecydowanie powściągliwy, ascetyczny).

Mimo pozorów emerytowanego ramola, Leon z *Kosmosu* jest przecież bliskim Gombrowiczowi mędrcem. Gonzalo natomiast ma zadanie ściśle ograniczone: podszeptania narratorowi pomysłu „Sinczyzny”. Tym niemniej z auto-ironią, właściwą wielkiej sztuce, jego tylko określa Gombrowicz wyraźnie jako swego *Doppelgänger’a*: „Z nim to ja wobec wszystkich Chodziłem, Chodziłem, jak w parze jakiej na zawsze sparzony”.

Ważny ustęp z *Dziennika* z 1955 roku wskazuje na to, jak bliski rzeczywistości bywa mechanizm transpozycji funkcjonujący w *Trans-Atlantyku*, gdyż opisuje tam Gombrowicz zdarzenie prawdziwe, które odtworzyć miał w krzywym zwierciadle swej powieści, dodając sobie na przyczepkę Gonzala.

W powieści spotyka Gombrowicz Gonzala na przyjęciu, gdzie mierzy się w słownym pojedynku z wielkim argentyńskim pisarzem „Inteligencji nadzwyczaj subtelnej, którą wciąż w sobie subtylizował, destylował” i w którym łatwo rozpoznać Jorge-Luisa Borgesa. Upokorzony przez maestra, który wygrywa pojedynek kulami cytatów, wykazując polskiemu pisarzowi, że „co jego nie Jego, podobnież kradzione”, Gombrowicz ucieka wraz z „puto” Gonzalem aż do parku Retiro.

A teraz prawdziwa wersja tego epizodu z *Dziennika*. Gombrowicz wspomina tam wieczór spędzony u siostry Wiktorii Ocampo, Silviny, zameżnej za Adolfem Bioy Casares (przyjacielem Borgesa, autorem ciekawej powieści *Wynalazek Morela*, która miała niebawem wywrzeć wielki wpływ na francuski *nouveau roman*): „... na tej kolacji był także Borges, najbardziej chyba utalentowany argentyński pisarz, o inteligencji wyostrożonej na osobistym cierpieniu — ja zaś, słusznie czy niesłusznie, uważałem że inteligencja jest moim paszportem, czymś co zapewnia moim symplicyzmom prawo przebywania w świecie cywilizowanym. Ale pomijając trudności techniczne, moją oporną hiszpańszczyznę tudzież wady wymowy Borgesa — który mówił prędko i niezrozumiale — pomijając moją niecierpliwość, dumę, złość będące następstwem bolesnego egzotyizmu i spętania w obcości, jakież były możliwości porozumienia pomiędzy mną a tą Argentiną intelektualną, estetyzującą, filozofującą? Mnie fascynował w tym kraju dół, a to była góra. Mnie urzekła ciemność Retiro, ich — światła Paryża...”

... Wpędce opuściłem zebranie i w argentyńską noc granatową, nieruchomą, udałem się na Retiro, które znacie już z *Trans-Atlantyku*: „Tam więc wzgórze ku rzece opada a miasto do portu zstępuje i cichy wody wiew jak śpiew jaki wśród placu drzew... Tam wielu było młodych Marynarzy”.

Tu, na Retiro... doznawałem kwitnienia rodzaju ludzkiego w formie najostrejszej, najbardziej radykalnej i — wobec tego,

że była napiętnowana beznadziejnością — demonicznej. To ścigało mnie w dół, w najniższą sferę, w krainę poniżenia, tu młodość, raz już poniżona jako młodość, poddana była jeszcze wtórnemu poniżeniu, jako młodość gminna, proletariacka... I ja, Ferdurke, powtarzałem trzecią część mojej książki, historii Miętusa, usiłującego „bratać się” z parobkiem!

Tak, tak! W to mnie popchnął splot tendencji, którym podlegałem w chwilach gdy w dawnej ojczyźnie mojej poniżenie osiągnęło swoje dno i pozostawało już tylko parcie do góry... to była nowa ojczyzna, którą zastępowałem powoli tamtą”.

„Ojczyzna” i „Syncyzna” są zatem hasłami odpowiadającymi rzeczywistej sytuacji egzystencjalnej Gombrowicza w tych latach. Warto zanotować, że umowny, powieściowy czas akcji *Trans-Atlantyku* obejmuje niespełna miesiąc. Zaczyna się 21 sierpnia 1939, kiedy Gombrowicz ląduje w Buenos Aires, na dzień przed inwazją Polski przez hitlerowskie wojska, kończy się zaraz po 17 września, kiedy na skutek paktu Ribbentrop-Mołotow armia sowiecka ze swej strony gwałci wschodnie granice Polski i rozbraja ostatnie oddziały wycofujące się przed piorunującym „Feldzugiem”. Ale Gombrowicz zaczyna pisać *Trans-Atlantyk* dopiero w roku 1947 i w miesiącu umownego czasu powieści kondensuje osiem pierwszych lat swego argentyńskiego wygnania.

Rozważania te naprowadziły mnie na trop misternej konstrukcji formalnej *Trans-Atlantyku*, podobnej (co mnie zresztą nie dziwi, wiedząc jak Gombrowicz kochał i znał muzykę) do konstrukcji koncertu na fortepian. Przez pierwszą część powieści (mniej więcej do połowy książki) przewija się uparcie ten sam motyw, dowodzący (mimo „Przekleństwa” rzuconego na odpływającego z portu „Chrobrego”) o sile więzów łączących Gombrowicza z „Matką Ojczyzną”. Motyw wyrażony zawsze tymi samymi słowami: „tam, za wodą, krew...” — „tam, za wodą, kule huczą...” — „tam, na polu, za lasem, za Gumnem... za Stawem, za Lasem... za Borem, za wodą”. Ale ten głuchy wyrzut sumienia zwrócony jest wyraźnie w przeszłość. Teraz, tutaj, na nowej ziemi argentyńskiej, dokąd dążyć?

Na przyjęciu literackim, na którym ściera się z Borgesem, Gombrowicz uderza w „Chód”, który coraz potężniej będzie rozbrzmiewał w *Trans-Atlantyku*. Odtąd Gombrowicz „Chodzi i Chodzi”, ale celu w tym chodzeniu nie ma jeszcze żadnego. Stąd wspaniały ustęp jak absurdalnym celem głównych postaci powieści staje się pojedynek Tomasza z Gonzalem: „trudna rada, cóż robić, gdy nic innego do roboty nie ma a tylko ten pojedynek przed nami, jako jedyny cel wszelkiego działania naszego”.

Tu jednak następuje przełomowy moment powieści, którym jest nocna wizyta narratora w poselstwie.

„Grzeszność zamierzeń moich, spraw moich, niepewność uczucia mojego to sprawiał, że z trwogą na ten dom Ojczyzny mojej św. ach Przekłętej chyba spoglądałem; gdy jednak cień Pośła osoby na białej firance rozeznał, nie mogłem powstrzymać dręczącej ciekawości mojej: a to wiedzieć chciałem, to mnie wiedzieć trzeba było, jak tam, co tam, jaka jest Prawda i jakże my na Berlin idziemy, gdy na przedmieściu Warszawskim się biją”. Nie jest może przypadkiem — dodajmy — że temu przełomowemu momentowi — w samym środku powieści — odpowiada wkroczenie Niemców do rodzinnego miasta autora, w samym środku kraju. Gombrowicz zaczyna tedy rozmowę z pośłem, która na pozór niczym się nie różni od poprzednich. Ale nagle napuszone ogólniki pośła wydają mu się niezwykle: „Dopieroż myślę: a po cóż ja tak Myślę, że on krzyczy, siada, lub powstaje, odkądże to mnie krzyk jego, siadanie, wstawanie dziwnymi się stały? A i bardzo Dziwne; do tego zaś Puste jakieś, jak pusta butelka, lub Bania... Dopierożem zrozumiał, że już wszystko Diabli wzięli, że już się skończyło i Przegrana Wojna”.

Od tego stwierdzenia „zgonu Ojczyzny” motyw tego co się dzieje „za wodą, za Lasem, za Gumnem” już nie powróci. Miejsce jego zajmuje motyw Pustki, Suszy i Pragnienia. Zamiast konwencjonalnej, zbiorowej troski — nagła dusząca świadomość nieznosnej osobistej alienacji. Jednocześnie zaś (jak w ustępie z *Dziennika* w którym noc Retiro staje się jego nową ojczyzną w miejsce tej, która przepadła), na horyzoncie pojawia się nowy cel: jest nim Syn (rzekomo ukochany przez Gonzala), który w powieści pełni rolę zastępczą „gminnej proletariackiej młodości”, wszystkich marynarzy z Retiro...

Tejże już nocy, po wyjściu z poselstwa pisze Gombrowicz: „gdy zaś idę bez celu żadnego, sam Chód w stronę Syna mnie kieruje; i tak, ni stąd ni zowąd, ja do Syna idę... Syn, Syn, do Syna, do Syna!”. Pokoik syna w obcym pensjonacie znajduje Gombrowicz „bez trudności” i tam widzi: „goły na łożku leży, i tak Pierś, tak Barki, tak głowa i nogi, że szelma, szelma, o szelma Gonzalo!”. Na widok Syna próbuje jeszcze Gombrowicz wytłumaczyć sobie, że przyszedł tutaj „z niespokojności o przyszłość Narodu naszego, który od Wrogów pokonany, że nam nic i nic więcej, tylko Dzieci nasze pozostały”. Daremne to jednak wysiłki: „Tak mówię, ale tyż zaraz Strach mnie zdjął, po co ja to mówię i dlaczego mówię... A tu Pusto! Nagle tak Pusto! Nagle tak Pusto jakoś jakby Nic... jakby niczego nie było... a tylko on tu Leży, leży, leży... Pusto we mnie i pusto przede mną. Krzyknąłem: — Wszelki duch Pana Boga chwali!”.

„Daremne wszakże Boga Ojca imię, gdy Syn przede mną, gdy tylko Syn i nic oprócz Syna! Syn, Syn! Niech zdycha Ojciec! Syn bez Ojca. Syn Samopas, Syn Rozpętany, to mi dopiero, to rozumiem!”.

Autobiograficzny odpowiednik tej przełomowej chwili znajdujemy w *Rozmowach*.

„Wojna zdruzgotała mi rodzinę, pozycję społeczną, przyszłość, niczego nie miałem, niczym nie byłem... A jednak. A jednak Argentyna... Jaki wypoczynek! Jakie wyzwolenie! O pierwszych moich, najcięższych, latach w Argentynie mógłbym powiedzieć za Mickiewiczem:

*Urodzony w niewoli, okuty w powiciu
Ja tylko jedną miałem taką wiosnę w życiu!*

... Wiedziałem dobrze — wyjaśnia dalej Gombrowicz — to była sposobność, którą mnie los obdarował, abym mógł na koniec zbliżyć się do największych moich świętości, do tego co określam czasem jako „niższość”, lub jako „dół”, albo „nieodrośniętość”, lub „ciemny, nienazwany żywioł” — te nazwy nie wyrażają ani w przybliżeniu natury owego sekretu, tej mety niejasnej, której moje książki nie potrafiły dobrze odkryć i wyrazić. W każdym razie byłem o krok od głównego ołtarza tego mojego nieosiągalnego kościoła i skoczyłem w odmęt, jak ktoś komu pić się chce!”.

Główny motyw drugiej części *Trans-Atlantyku*, to właśnie motyw pragnienia, wywołanego uczuciem pustki i suszy:

„... Sucho i pusto, jak wióry, jak pieprz lub pusta Beczka...”.

„... Wszelka Myśl, wszelkie postanowienie jak rżysko, jak Słoma, jak Badyl wiatrem przewiany w Rozłogach suchych...”.

„... Jak pieprz, jak badyl, suche, puste wszystko...”.

„... I otóż to Pustka! Puste wszystko, jak pusta Butelka, jak Badyl, jak Beczka, skorupa”.

Czterokroć, kiedy to poczucie pustki, suszy i pragnienia staje się nieznośne, kieruje się Gombrowicz do pokoju Syna (usprawiedliwiając za każdym razem swój zamiar nowym, absurdalnym rozumowaniem) i niezmiennie kontempluje go nagiego i uśpionego na swym łóżku:

„Syn, Syn, Syn! Do Syna bieć, uciekać chciałem. W Synu wytchnienie, ukojenie moje!... jakżeby wypoczął, wytchnął w Gaju jego i nad Rzeką...”.

„... Na całym Świecie Bożym, ach Chyba Diabelskim, nie miałem ja innej Ostoi, innego źródła, w Pustce, suszy mojej, jak tylko ów Syn, który soków pełny...”.

Trzeba będzie narratorowi przejść przez korytarz Perwersji („tam zaś ciemno, Kurytarz, szelma, długi”), trzeba mu będzie pokonać „nad Strach okropniejszą Niemoc Strachu... Lęk z przyczyny właśnie braku Lęku”, zanim nie opowie się on ostatecznie nad łóżkiem Syna za „Synczyzną Stającą się Nieznaną Synczyzną”:

„I tak ja przed nim po ciemku w Nocy stojąc (bo zapalka zgasła) Nocy, Ciemności i Stwarzania się wzywałem, tak ja jego z rodzicielskiego domu na Noc, na pole wyganiałem. O Noc, Noc, Noc!”.

Takie — w moim przekonaniu — jest prawdziwe zakończenie *Trans-Atlantyku*. Epizod końcowego balu konieczny był do konsekwentnie symetrycznego przeciwstawienia się Panu *Tadeuszowi*. W *Rozmowach* twierdzi wprawdzie Gombrowicz, że finał powieści wybuchem powszechnego śmiechu przewycięża dylemat wyboru między „Ojczyzną” i „Synczyzną”. Myślę jednak, że stara się on tu właśnie zatrzeć dokonany już przez siebie wybór, aby nieco uspokoić i tak dobrze już wstrząśniętego polskiego czytelnika sprzed trzydziestu lat. „Buchbach” z *Trans-Atlantyku* odpowiada „Kupie” z *Ferdynurke*, która jest podobnie żartobliwym wykretem z postawionego w powieści dylematu. Nie nadszedł jeszcze wówczas czas noża, który zabłyśnie na końcu *Pornografii*, stryczka z ostatniego rozdziału *Kosmosu*.

W tych notatkach na marginesie zakończonego tłumaczenia *Trans-Atlantyku* ograniczyłem się do dwóch (komplementarnych zresztą) aspektów powieści. Ale słusznie zwracał uwagę Gombrowicz w swej przedmowie do warszawskiego wydania *Trans-Atlantyku*, że ładunek jego korsarskiego okrętu jest różnorodny.

Sam egzystencjalny dramat Gombrowicza przekazany jest w *Trans-Atlantyku* w zadziwiająco nowoczesnym ujęciu, zapowiadającym Normana Browna czy Deleuze’a. Ale w tej powieści stylizowanej na staroświecką gawędę, ileż przeczuć zjawisk, które przed trzydziestu laty dalekie były przeniknięcia do zbiorowej świadomości. Czyż przechodnie gapiący się na sklepowe wystawy ulicy Florida nie są najcelniejszą karykaturą owego „społeczeństwa konsumpcyjnego”, o którym nikt jeszcze wówczas nie wspominał? Czyż pałac w którym Gonzalo gromadzi swe różnorodne skarby „aby mu trochę Potaniały”, jego biblioteka, w której arcydzieła „Gryzą się Gryzą i chyba jak Psy zagryzą” nie są zapowiedzią owej krytyki sztuki i kultury w naszym społeczeństwie, która dopiero w latach sześćdziesiątych dojdzie do głosu? Czyż „pojedynek” Gombrowicza z Borgesem nie jest odpowiednikiem owej prowokacji, którą metodycznie zastosuje nowa lewica w dwadzieścia lat później? Czyż dążenie Kawalerów Ostrogi do

Czynu, który by „samej gołej Straszności, okropności służył” nie odpowiada mentalności dzisiejszych band terrorystycznych?

Przebrany za karykaturalną wersję samego siebie, Gombrowicz wprowadza w życie w tej najradzykalniejszej ze wszystkich swych powieści paradoks, który lubił wypowiadać pod koniec swego życia: „nie widzę dlaczego polski szlachcic w miarę konserwatywny nie miałby być najnowocześniejszym człowiekiem świata... jeśli potraktuje siebie w sposób naprawdę nowoczesny”.

K. A. JELEŃSKI

Nowość

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 265 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY SZÓSTY

(maj 1976)

Zawiera m.in. następujące prace: Barbara Truchan: „Burza” pod Wilnem; Historyczne wywiady sprzed 40-tu laty (St. Grabski, Al. Ładoś); Tadeusz Katelbach: Moja misja kowieńska; Bogusław Miedziński: Moje wspomnienia (4); W. M. Marcinkowski: Jeszcze o Narodowych Siłach Zbrojnych; Kajetan Bieniecki: „Burza” w Krakowskim; Józef Lewandowski: Obrona „pomylek”; obszerny dział RECENZJI oraz LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 25,00 (dol. 6,75).

Czesław MIŁOSZ

CZARODZIEJSKA GÓRA

Nie pamiętam dokładnie kiedy umarł Budberg, albo dwa albo trzy lata temu.

Ani kiedy Chen. Rok temu czy dawniej.

Wkrótce po naszym przyjeździe, Budberg, melancholijnie łagodny,

Powiedział, że z początku trudno się przyzwyczaić
Bo nie ma tutaj ni wiosny i lata, ni jesieni i zimy.

„— Śnił mi się ciągle śnieg i brzozowe lasy.
Gdzie prawie nie ma pór roku, ani spostrzec jak upływa czas.
To jest, zobaczysz Pan, czarodziejska góra”.

Budberg: w dzieciństwie domowe nazwisko.

Dużo znaczyła w kiejdańskim powiecie

Ta rosyjska rodzina, z bałtyckich Niemców.

Nie czytałem żadnej z jego prac, zanadto specjalne.

A Chen był podobno znakomitym poetą.

Muszę to przyjąć na wiarę, bo pisał tylko po chińsku.

Upalny październik, chłodny lipiec, w lutym kwitną drzewa.

Godowe loty kolibrów nie zwiastują wiosny.

Tylko wierny klon zrzucał co roku liście bez potrzeby

Bo tak nauczyl się jego przodkowie.

Czułem, że Budberg ma rację i buntowałem się.
 Więc nie dostanę potęgi, nie uratuję świata?
 I sława mnie ominie, ni tiary ani korony?
 Czyż na to ćwiczyłem siebie, Jedynego,
 Żeby układać strofy dla mew i mgieł od morza,
 Słuchać, jak bucza tam nisko okrętowe syreny?

Aż minęło. Co minęło? Życie.
 Teraz nie wstydzę się mojej przegranej.
 Jedna pochmurna wyspa ze szczekaniem fok
 Albo sprazona pustynia, i tego nam dosyć
 Żeby powiedzieć *yes, tak, si*.
 „Nawet śpiąc pracujemy nad stawaniem się świata”.
 Tylko z wytrwałości bierze się wytrwałość.
 Gestami stwarzałem niewidzialny sznur.
 I wspinałem się po nim i trzymał mnie.

Jaka procesja! *Quels délices!*
 Jakie birety i z wyłogami togi!
 Mnogouważajemyj Professor Budberg,
Most Distinguished Professor Chen,
 Ciemno Wielmożny Profesor Miłosz
 Który pisywał wiersze w bliżej nieznanym języku.
 Kto ich tam zresztą policzy. A tu słońce.
 Tak że bieleje płomień ich wysokich świec
 I ileż pokoleń kolibrów im towarzyszy
 Kiedy tak posuwają się. Po czarodziejskiej górze.
 I zimna mgła od morza znaczy że znów lipiec.

Czesław MIŁOSZ

Kryteria przynależności narodowej

W styczniowym numerze *Kultury* umieściłem glosę do artykułu Henryka Grynberga o sanatorium dziecięcym im. Włodzimierza Medema w Miedzeszynie pod Warszawą. Różnica zdań dotyczyła narodowości Medema, przez autora artykułu określonego jako Rosjanina. Zdawało mi się, że Medem został kompletnie zapomniany wraz z zanikiem świata, do którego należał. Artykuł Grynberga był nie tylko pierwszą pozycją, ale wręcz pierwszą wzmianką o Medemie, jaką po wojnie przeczytałem. Pamięć o nim jednak ocalała i w marcowym numerze *Kultury* aż trzech korespondentów zajęli się oświeceniem przedmiotu sporu.

W toku dyskusji przedmiot sporu zniwelował się i skorygowane stanowisko Henryka Grynberga oraz zbliżone do niego stanowisko p. Leona Lenemana trafnie akcentują w swych konkluzjach przynależność Medema do dwóch zespołów etnicznych, żydowskiego i rosyjskiego. Mimo to nie uważam dyskusji za zakończoną. Zaskoczyła mnie swoistość wysuwanych przez polemistów argumentów oraz brak tych kryteriów, które moim zdaniem, przesądzają przynależność narodową. Chodzi już nie o samego Medema, w zgodnym odczuciu nas wszystkich, „człowieka prawdziwie szlachetnego”, lecz o problem o dużym znaczeniu w kulturze wielkiej części Europy, leżącej na wschód od Łaby oraz na południe od Karpat. Chodzi o to, w jaki sposób, w oparciu o jakie kryteria można i należy określać przynależność narodową w przypadkach spornych. Co więcej, chodzi również o to, jakie czynniki wpływają, że spośród rozmaitych kryteriów ludzie wybierają jedno z uszczerbkiem innych.

Przypadek Medema pochodzi z pogranicza narodowego rosyjsko-żydowskiego. Co prawda „bez Żydów trudno wyobrazić sobie historię rosyjskiej cywilizacji ostatnich lat sześćdziesięciu” —

stwierdził wybitny pisarz rosyjskiej emigracji, Wiktor Frank¹, ale nie mimo to, ale właśnie dlatego problemy pogranicza rosyjsko-żydowskiego są szczególnie skomplikowane tak jak w ogóle problemy pogranicza żydowskiego. Pogranicze żydowskie jest problemem uniwersalnym i dlatego najbardziej dostrzegalnym, ale nie łudźmy się, kłopoty narodowościowe są ciągle nieprzemijającym atrybutem omawianego regionu geograficznego. Wiemy z własnego, czasem bolesnego doświadczenia, że istnieje pogranicze (geograficzne, etnograficzne, kulturalne, społeczne) polsko-ukraińskie i wiemy, jak drastycznie nieraz miały się drogi ludzi z tej samej wsi, parafii i nawet rodziny. Dlaczego Wacław Lipiński został bojownikiem o niepodległość Polski a jego kuzyn o tym samym nazwisku, również rzymski katolik, poświęcił życie sprawie ukraińskiej? Dlaczego trzydziestoletni Stanisław Stempowski pisał, że u progu naszego stulecia nie bardzo wiedział, czy jest raczej Polakiem czy też Ukraińcem? A ile tragedii, znanych i nieznanych, na styku polskości i niemieckości? Już nie mówmy o tragediach ale o sprawach bardziej powszednich. Duża część uczestników niemiecko-polskich spotkań w Lindensfelcie to ludzie wyrosli na styku polsko-niemieckim, którzy często w wieku dojrzałym, nie bez wpływu sytuacji, określili się jako Niemcy, ale którzy w wielu wypadkach przy innych okolicznościach zostaliby Polakami. A splot polsko-rosyjski? Przeświadczenie, że nie istniało przemieszanie polsko-rosyjskie jest oparte o frazesy głoszone przez powierzchownych lub wręcz nieuczciwych publicystów i pamiętnikarzy. Rzeczywistość przeczy tym frazesom, ale zbyt obszerna to sprawa, by można ją było wtłoczyć w ramy tego artykułu.

Co pewien czas wyłania się na powierzchnię i czyni zamieszanie problem styku narodowego polsko-żydowskiego. Żydów w Polsce nie ma, ale pogranicze narodowe nadal istnieje i chyba długo jeszcze będzie istniało. Miarę skomplikowania tego zagadnienia może najlepiej odzwierciedla kursujący po Warszawie u schyłku lat pięćdziesiątych dowcip. Mianowicie pytano wówczas, jaka jest różnica między dwoma Rubinsteinami. Jeden z nich, były dygnitarz MBP, później wiceminister przemysłu ciężkiego, drugi — Artur, wielki pianista. Prawidłowa odpowiedź brzmiała, że pierwszy jest wstrętnym Żydem, drugi zaś wielkim synem narodu polskiego. Ale poza sferą dowcipu, polscy publicyści emigracyjni na pewno niejednokrotnie zastanawiali się, jak określić ludzi emigrujących z Polski w latach 68/69. Emigrujący byli obiektem antysemickiej dyskryminacji. Ale czy byli oni Żydami (pod względem narodowym), żydami (wyznawcami religii), czy Polakami żydowskiego pochodzenia? Każde określenie pasowało do kogoś, lecz nie przystawało do kogoś innego. A zdarzali się i Żydzi polskiego pochodzenia. Wreszcie utarł się termin będący raczej unikiem niż określeniem, termin *nowa emigracja*.

1. Frank W., *Izbrannyje statii*, Londyn, 1974, str. 48.

Nie chcę robić wykładu o komplikacjach narodowościowych naszego regionu geograficznego, myślę jednak, że czytelnicy uwierzą mi, iż jakby nie były skomplikowane i drastyczne polskie kłopoty, to węzeł sprzeczności i nieokreśloności na Bałkanach wcale nie jest prostszy.

A więc, kto jest Polakiem, Rosjaninem, Żydem, Litwinem, Serbem, Bułgarem, Macedończykiem? W wielu wypadkach odpowiedź nie nasuwa żadnych trudności, gdyż wszelkie znane i stosowane kryteria udzielają zgodnej odpowiedzi. Jeśli ktoś ma polskich rodziców, jest wyznania rzymsko-katolickiego, mieszka w Polsce i jest obywatelem PRL, do polskości się poczuwa i za Polaka jest przez swe otoczenie uważany, to sprawa jest prosta. Ale jeśli kryteria są niezgodne? A jakiej narodowości jest syn Altenberzanki ze Lwowa i przywódcy ukraińskich socjal-demokratów? Stosując chwyt kolegi Brukselczyka zapytam: Państwo nie wiecie? A szkoda, bo nawet dla endeków przed wojną nie ulegało wątpliwości, że osoba o której mowa, jest bojownikiem o polską niepodległość i wielkim polskim uczonym. Przepraszam głęboko przeze mnie szanowanego Profesora iż używam przykładu z jego życia, ale jest to przykład wręcz klasyczny w swej metodologicznej czystości i dlatego niejednokrotnie stosowany przez historyków i socjologów jako wprowadzenie w seminaryjne dyskusje metodologiczne.

Przy niejednoznaczności kryteriów określenie przynależności wprowadza szczególny element wyboru metodologii. Pewnemu kryterium przyznaje się znaczenie większe, innym — mniejsze. Czasami uznaje się jedno jedyne kryterium, zupełnie negując znaczenie innych. Nie trudno dostrzec, że wybór kryterium wiodącego posiada — przynajmniej w dwudziestym wieku — wyraźne zabarwienie uczuciowe i światopoglądowe. Kryterium wiodące zależy od tego, jaki pogląd ma wybierająca osoba na własny naród i jaki jest jej stosunek do innych narodów. Współzależności są tu bardzo ściśle i co więcej, zwrotne. Znając światopogląd p. X. możemy wnioskować i to z niewielkim ryzykiem błędu, jakie on stosuje kryteria przynależności narodowej i odwrotnie, znając te kryteria, możemy określić jego światopogląd i przekonania polityczne. Oczywiście, istnieją przypadki szczególne, ale nie dają się one wytłumaczyć logicznie.

Od ogólnych stwierdzeń przejdźmy jednak do rozpatrzenia poszczególnych kryteriów.

1. Na Zachodzie, po Rewolucji Angielskiej w XVII wieku i po Wielkiej Rewolucji Francuskiej rozpowszechniło się kryterium prawne. Obywatel francuski jest Francuzem itd. Pomijam sporną sprawę, na ile stanowisko to reguluje odczucie społeczne, ale wypełniając kartę meldunkową we francuskim hotelu w rubryce *narodowość* nie ujawniamy naszych przekonań lecz stan prawny. Nie jest to tylko formalność. To kryterium prawdopodobnie spowodowało, że „Artur Miller i Saul Bellow są Amerykanami

a nie Żydami..." (Grynberg). Dotyczy to nie tylko jednostek ale i wielkich grup społecznych. W montowanym przed II-gą wojną Światowym Związku Polaków nie była reprezentowana amerykańska Polonia — jej rzecznicy interesowali się sprawami kraju pochodzenia, lecz nie uważali się za Polaków, tylko za Amerykanów polskiego pochodzenia. Czasami były to złudzenia: Żydzi niemieccy uważali się za Niemców, ale państwo niemieckie po dojściu Hitlera do władzy zmieniło kryteria.

W naszym regionie geograficznym kryterium prawne nie znalazło szerokiego zastosowania, wyjąwszy Czechosłowację i Węgry. Ale i tu prawo odróżnia obiektywne pojęcie obywatelstwa od subiektywnego, fakultatywnego poczucia narodowego, co ujawniają nie tylko statystyki ale i dowody tożsamości.

2. Najczęściej w omawianym regionie stosowane kryterium wiąże narodowość z pochodzeniem. Jest to kryterium bardzo stare, pochodzące z czasów struktury plemiennej i dlatego utrwalone w stereotypach myślowych tak zwanego zdrowego rozsądku. Spośród moich polemistów, zdaje się, że Aleksander Litwin, jeśli dobrze zrozumiałem jego myśl, skłonny jest przyznać temu kryterium walor rozstrzygający („Włodzimierz Medem był niewątpliwie Rosjaninem z pochodzenia”). Ale Medem był z pochodzenia Rosjaninem, choć jego rodzice byli z pochodzenia Żydami. To zdanie tylko na pozór zakrawa na drwinę. Chodzi o to, że wartość kryterium pochodzenia nie jest oczywista, wiedzieli o tym już zarówno Mickiewicz jak i Słowacki.

Kryterium pochodzenia może mieć formę liberalną, może jednak przybrać formę skrajną, rasistowską i totalitarną, przekształcając się w zasadę krwi i mistycznego ciała narodowego, przechodzącego tylko poprzez biologiczne dziedziczenie. W Leninigradzie opowiadano mi pikantną historyjkę, rękąc za jej autentyczność: Kandydat na studia nie wypełnił w ankiecie rubryki *narodowość*. Na uwagę komisji egzaminacyjnej petent wyjaśnił, że nie wie co napisać. Ojciec był Żydem, ale umarł tak dawno, że petent prawie go nie pamięta, natomiast matka jest Rosjanką. Komisja udaje się na krótką naradę, po czym promienny przewodniczący wraca z odpowiedzią: „Rozstrzygnęliśmy sprawę na korzyść pana” — w myśl sowieckiego prawa zwyczajowego Rosjaninem jest ten, kto ma rosyjskich rodziców. Przewodniczący danej komisji zasłużył, by określić go jako liberała.

Nie zamierzam polemizować z moralnymi aspektami kryterium pochodzenia, co nie oznacza, bym je lekceważył. Stosowanie kryterium pochodzenia w ostatecznym rachunku prowadzi do zamiany pojęcia przynależności narodowej przez pojęcie przynależności innych osób. A ojcowie i dzieci mogą się różnić w swym poczuciu i mają do tego prawo. Nacjonalista polski uznający za swych rodaków tylko tych, którzy są nimi z racji pochodzenia, w ostatecznym rachunku pozbawiłby swój naród całej kresowej szlachty z jej wkładem politycznym i kultural-

nym. Ciekawe, że nacjonalista taki (piszę o pewnej konstrukcji sztucznej, w „przyrodzie” tacy nie istnieją) działałby po myśli nacjonalistów litewskich ciągle tak czy inaczej kwestionujących polskość redaktora *Kultury* z racji roli Giedroyciów w historii Litwy.

3. Kryterium religijne. Przyznam się, że byłem nieco zaskoczony znaczeniem, jakie zarówno Grynberg jak i Leneman przywiązują do determinującej roli ochrzczenia Medema w wieku — zauważmy — niemowlęcym. Zauważmy jeszcze jedno, mianowicie to, że w życiu dorosłego Medema pierwiastek religijny nie odgrywał dostrzegalnej roli. Partia na czele której stał, była co najmniej laicka, jeśli nie wręcz wroga wobec religii.

Kryterium religijne jest używane dość często i lekceważyć się go nie godzi. Linia rozgraniczenia polsko-ukraińskiego w Galicji Wschodniej w *ogólnych zarysach* pokrywała się z podziałem na katolików w obrządku rzymskim i greckim. Podobnie dzieliło wyznanie Polaków od Rosjan, dlatego korzystałem z rosyjskiej statystyki wyznaniowej dla korygowania niesumiennej rosyjskiej statystyki narodowościowej (w spisach ludności 1897 i 1907 r.). Podobny zabieg stosowałem dla weryfikacji też niedobrego polskiego spisu ludności 1921 roku, pomniejszającego ilość Ukraińców. To, co jest słusznym zabiegiem naukowo-technicznym w skali wielkich liczb, nie może być stosowane w skali mniejszej. Unici Chełmszczyzny w lwiej części są nie Ukraińcami lecz Polakami. Polak Włodzimierz Spasowicz był prawosławny, a wyżej wspomniany Wacław Łypynskij pozostawał rzymskim katolikiem. Włodzimierz Sołowiow przyjął katolicyzm ale jest myślicielem rosyjskim.

Przenosząc problem w sferę logiki: Irlandczyków różni od Anglików przede wszystkim wyznanie, ale nikt nie zamierza zakwalifikować mieszkających w Londynie katolików jako Irlandczyków.

Chyba nigdzie wyznanie w tak pełny sposób nie wyrażało narodowości jak u Żydów. Na przestrzeni wieków pojęcia Żyda — członka grupy etnicznej i żyda — członka gminy wyznaniowej — członka grupy etnicznej i żyda — członka gminy wyznaniowej — całkowicie się ze sobą pokrywały. Nietolerancja religijna i narodowa gmin żydowskich sprawiała, że rozluźnienie jednej więzi powodowało wyłączenie ze społeczności żydowskiej w ogóle. Proces emancypacji Żydów w dużej mierze sprowadzał się do oddzielenia poczucia narodowego od religijnego. W tych czasach, w których żyli rodzice Medema, żydowskie poczucie narodowe już się godziło z religijną obojętnością, ale rzadko — z wyznaniem innej religii, choć właśnie w Rosji problem ten już istniał, chociażby ze względu na kantonistów.

Kryterium — nawet nie religijne, lecz wręcz chrztu — jest chybione i przez szacunek dla dyskutantów powstrzymuję się od jego szczegółowej analizy, nie chcę bowiem imputować im poglądów, których nie wypowiedzieli. Ale połączenie kryterium narodowego z religijnym zawsze wprowadza jakiś pierwiastek

totalitaryzmu, coś, co zespół *Kontinientu* słusznie nazwał w swej deklaracji programowej totalitaryzmem religijnym².

4. Kryterium nacjonalistyczne godzi się wymienić gwoździem do wykładu. W myśl tego kryterium członkiem narodu X jest ten i tylko ten, kogo ta zbiorowość za swego członka uznaje. W stanowisku tym tkwi jedna niezaprzeczalna prawda i jedno równie zdecydowane kłamstwo. Prawdą jest to, że przynależność do wszelkiej trwałej grupy społecznej uwarunkowana jest jej aprobatą. Wanda Wasilewska była niewątpliwie z pochodzenia Polką i pisała po polsku, ale jej polskość była wątpliwa nawet dla działaczy PZPR, którzy w tej sprawie nie różnili się w odczuciach od reszty narodu³.

Ponieważ naród nie ma możliwości wypowiedzenia się w sprawie przynależności poszczególnych osób, przeto niektóre ugrupowania polityczne — w zasadzie skrajne — uzurpują sobie prawo wyłączania z narodu osób lub grup. Jak wiadomo w podobny sposób postępują również rządy, wyłącznie jednak totalitarne. Wiele pisano, jak nacjonalizm godzi w obcych. Mniej wie się, jakie spustoszenia uczuciowe i intelektualne nacjonalizm powoduje we własnym narodzie. Może najpełniej wyraził to Józef Piłsudski w lapidarnym zdaniu o „narodowo-demokratycznych pomniejszych ciociach polskości”.

To są pewne ogólne prawidłowości wschodnio-europejskiego nacjonalizmu: wiemy, że władze sowieckie dążą do zacieśnienia kultury rosyjskiej między innymi poprzez deportację wielu twórców. Ale również samizdatowskie (choć znajdujące do czasu wspólną platformę z władzami) pismo nacjonalistów „Wiecze” usuwa poza nawias rosyjskości zarówno Mandelsztama jak i Borysa Pasternaka⁴.

Nacjonalizm w tej części Europy, o której mowa, jedną ze swych głównych pożywek znajdował w występującym tu szeroko zjawisku dwunarodowości. Korczak był Polakiem, ale nie wyrzekał się swej żydowskości. Tadeusz Szturm de Sztrem opowiadał mi wiele o swym duchowym nauczycielu, Włodzimierzu Wakarze, który odgrywał wielką rolę w polskim życiu politycznym i nau-

2. Niestety, w tym samym piśmie (*Kontinient*, 1975, nr 6) Dominik Morawski opublikował niedawno artykuł w którym utożsamia pojęcie narodu słowackiego z pojęciem słowackiego katolicyzmu. W ten sposób z narodu słowackiego została usunięta jego część ewangelicka. Nie mówiąc o tym, że ewangelicy stanowią ok. 1/4 a według niektórych obliczeń 1/3 narodu słowackiego, to odegrawszy czołową rolę w ukształtowaniu się słowackiego narodu, wypełniają oni nadal, nawet z racji ilościowych, wielką rolę w słowackiej kulturze. Artykuł Morawskiego zawiera jednocześnie pochwałę totalitarnych tradycji politycznego katolicyzmu słowackiego.

3. Gdy Bierut wyrażał zgodę na powrót St. J. Leca do Polski z Izraela miał ponoć powiedzieć, że „trzeba to trzymać w tajemnicy przed Wasilewską, bo też gotowa wrócić”. Zdanie to tylko do pewnego stopnia było żartem.

4. *Wiecze* Nr 5, 25. 5. 1972. Cyt. według: *Wolnoje Słowo*, 1973, zesz. 9-10, str. 178.

kowym, był z pochodzenia całkowicie Rosjaninem. Dwunarodowość — dowodził Kotarbiński dziesięć lat temu, w polemice z tępo-służebnym artykułem Chałasińskiego — wnosi bardzo dużo w życie narodu. Nieszczęsny to naród, który sam odcina się od tego, co może mu dać skrzyżowanie z inną kulturą. Ksenofobia bardziej niż przeciwko „obcym” walczy przeciwko dwunarodowości. Endecy żądali od Ukraińców by się spolszczyli, od Żydów by się wyrzekli polskości. Nacjonaści żydowscy żądają od osiedlających się w Izraelu, by się wyrzekli polskości, rosyjskości, niemieckości. Pod tym względem wszystkie ksenofobie mają zbliżone stanowisko i tu tkwi przyczyna, dla której wielu przybyszów nie wytrzymuje atmosfery Izraela, mimo przywiązania do swej żydowskiej narodowości.

Grynberg ma rację przypisując — w replice — Medemowi podwójną narodowość, nie ma racji, twierdząc, że „... określenie narodowości nie jest wcale rzeczą prostą...”. Jest ono łatwe, jeśli przyjmujemy zasadę, że określenie narodowości nie musi — wbrew naciskowi nacjonalizmu — oznaczać odcięcia się od reszty uczuć narodowych. Nie nowy to postulat. *Gente Ruthenus — natione Polonus*, mówił o sobie senator Rzeczypospolitej. A czymże była koncepcja asymilacji państwowej mniejszości narodowych, wyśuwana przez zarówno lewą jak i konserwatywną część obozu belwederskiego? (Hołówko, Skwarczyński, Strug, Handelsman, cała zresztą grupa *Drogi* oraz grupa *Buntu Młodych — Polityki*). Ponieważ — obawiam się — o koncepcji tej mało kto słyszał i mało kto pamięta, przeto pozwolę sobie dodać słów kilka: Była to koncepcja stworzenia takiego klimatu, takiego układu stosunków, by Ukrainiec, Białorusin, Żyd, nie wyrzekając się swej narodowości mógł być i stopniowo stawał się patriotą polskiej państwowości. Była to, innymi słowy, koncepcja wielonarodowego polskiego narodu politycznego. Wiele by trzeba pisać, dlaczego niewiele z tego wyszło, ale w skrócie można stwierdzić, że na przeszkodzie stanęły nacjonalizmy i sąsiedzi. A przecież i myśl i działalność niezupełnie poszły na marne, coś zakiełkowało i coś się w świadomości, przynajmniej świata intelektualnego, utrzymało. Bo Grynberg ma znowu rację gdy w sprzeczności z metodologią pierwszej części swego listu stwierdza, że: „... jestem wyraźnie Polakiem, choć mam najczystsze żydowskie pochodzenie i bardzo żydowską świadomość”. Moim zdaniem nie tylko poprzez zestawienie z Philipem Rothem, nie poprzez porównanie. Wkład Grynberga w kulturę polską jest wyraźny nie mimo jego żydowskości, lecz właśnie dzięki niej. Tak samo jak Conrad wzbogacił kulturę angielską, Dedecius — niemiecką, Masaryk — czeską. Przykładów można mnożyć i nie dajmy się zwieść nacjonalistom wszelkiej maści oraz Pragierowi i jego niemądrej „Zółtej Łacie”.

5. Najdalej jednak posunięta aprobata dwunarodowości nie uchyla pytania, jakiej przede wszystkim narodowości był Medem. Rzeczywiście, gdyby wymieniony składał jakieś wyznanie wiary,

to należałoby się liczyć z określeniem żydowsko-rosyjskim. Ale jakie określenie postawiłby na pierwszym miejscu?

Otóż istnieje zasada stosowana przez wszystkie ruchy demokratyczne, w tych państwach, gdzie obywatelstwo nie określa narodowości. Zasada ta głosi, że o narodowości konkretnego człowieka decyduje nie pochodzenie, nie mistyczna substancja narodowa i „krew”, w żadnym wypadku religia lecz sam zainteresowany i to wyłącznie on sam. Stanowisko to przeszło do wszystkich demokratycznych ustawodawstw w tej liczbie i do ustawodawstwa Polski Niepodległej. Naruszanie tej zasady było na kreślących samowolą niższych i wyższych urzędników, wyznających zasady niedemokratyczne. Ustawodawstwo PRL zasadę tę częściowo przejęło ale tylko fakultatywnie.

Nie wytaczałbym przeciwko moim polemistom ciężkiej artylerii usystematyzowanych argumentów, gdyby nie to, że jak jeden mąż, stosując rozmaite kryteria jedynie to jedno — demokrację, przeoczyli. Nie należy szukać ankiety personalnej ani dociekać roli chrztu. Medem swą narodowość określił w sposób bardzo wyraźny przez to, że stanął na czele żydowskiej partii socjaldemokratycznej Bund. Było to określenie o wiele wyraźniejsze, niż wszelkie inne. Aleksander Litwin pisze, że „Medem przyłączył się do żydowskiego ruchu socjalistycznego ze względów ideowych”. Być może, że Litwin miał zamiar w stwierdzenie to włożyć jakąś treść, ale niestety, zdanie to nic nie znaczy, jest tautologiczne. Bowiem ze względów ideowych mógł przystąpić również do innych partii. Julij Cederbaum-Martow był również człowiekiem ideowym — nie lubiący lewicy Sołżenicyn pisze o Martowie z głęboką czcią, co uszło uwadze recenzentów⁵. Martow był Żydem z pochodzenia i swej żydowskości wcale się nie wyrzekał, ale wstąpił do socjaldemokracji rosyjskiej, dokonując w ten sposób wyboru. Medem dokonał innego wyboru.

W państwie wielonarodowym (Rosja przed bolszewickim przewrotem, Polska w okresie międzywojennym itd.) na porządku dziennym było uczestnictwo jednostek, należących do mniejszości narodowych, a nawet całych grup, w partiach ogólnopństwowych bez wyrzeczenia się wniesionego poczucia narodowego. Działaczem rosyjskiej partii konstytucyjnych demokratów był, dla przykładu, Polak Aleksander Lednicki i Żyd, M. M. Winawer. Działaczami P.P.S. byli Hersz Rogow, Józef Kwiatek, Michał Szulman, Feliks Perl, Herman Lieberman, godzący swe uczucia polskie i żydowskie, podobnie było w I-szej Brygadzie i w P.O.W. Oczywiście w wielu wypadkach przystąpienie do Legionów lub wstąpienie do P.P.S. było konsekwencją zmiany poczucia narodowego lub taką zmianę powodowało. To są ciekawe problemy, z punktu widzenia jednak przedmiotu sporu potrzebne tylko dla wyjaśnienia niemożliwości zjawiska przeciwnego. Działacz partii mniejszościowej (w Rosji, w Polsce) należał z natury lub

5. Sołżenicyn A., *Lenin w Ciuriche*. Paryż 1975, str. 233.

z wyboru do mniejszości narodowej. Metropolita Szeptycki był z pochodzenia Polakiem, ale stanąwszy na czele Kościoła greckokatolickiego określił się jako Ukrainiec i muszę stwierdzić, że nie napotkałem dotychczas śladu, by jakkolwiek Ukrainiec kwestionował jego przynależność narodową z powodu pochodzenia, chrztu, ani nawet z tego powodu, że jego rodzony brat był wybitnym polskim generałem.

Józef LEWANDOWSKI

“POLONIA”

KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwiariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej **KULTURY** i **ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH**.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

7970 SUMMERDALE AVE., PHILADELPHIA, Pa. 19111, USA.
Tel.: (215) RA 5-9723.

Posiada na składzie książki w języku polskim, m.in. wydawnictwa Instytutu Literackiego w Paryżu. Przyjmuje prenumeraty *Kultury* i *Zeszytów Historycznych*. Prowadzi antykwiariat. Kupuje stare polskie książki, obrazy, monety i wszelkie polonica. Katalogi, informacje, — bezpłatnie

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 257 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1958-1973)
„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1962-1973)
DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1959-1973)

Dawno zapowiadana *Bibliografia* zawartości treści
„KULTURY” i „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH” oraz
DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA DO ROKU 1973 łącznie.

Str. 432.

Cena F. 75.

Przypominamy Czytelnikom, że Bibliografia za okres 1947-1957
opracowana przez Jana KOWALIKA ukazała się w roku 1959.
Posiadamy ją jeszcze na składzie. Cena egz. F. 15.

TOM 260 — ANDRIEJ SACHAROW

MÓJ KRAJ I ŚWIAT

Przełożył z rosyjskiego
MICHAŁ KANIEWSKI

POSŁOWIE LESZKA KOŁAKOWSKIEGO

Str. 92.

Cena F. 22,00.

TOM 261 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY PIĄTY

Zawiera m.in. prace: P. Wandycz: *MSZ w okresie międzywojennym*;
B. Łokaj: *Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych 1945-1946*; J. Garliński:
W poszukiwaniu niemieckich tajnych broni; B. Miedziński:
Moje wspomnienia (3); J. Jaklicz: *Zołnierz 2-giej Rzeczypospolitej*;
R. A. Woytak: *Wywiad z litewskim Wodzem Naczelnym, gen. Sta-*
sys'em Raštikis'em wraz z Uwagami K. Okulicza; D. Desanti: Pol-
ska... początek wszystkiego oraz Działy RECENZJE, LISTY DO
REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 25)\$ USA 6,75).

Archiwum polityczne

30-ta rocznica Nowego Ładu w Europie - zwycięstwo zdrowego rozsądku!

Mija dzisiaj dokładnie 30 lat od chwili gdy armia nazistowska, po pokonaniu Rosji i Wielkiej Brytanii, ostatecznie ustanowiła Nowy Ład Prawdziwej Wolności w Europie. Dobra okazja do chwili refleksji. Po ostatnim przyjaznym spotkaniu prezydenta Geralda Forda z Wielkim Kanclerzem Trzeciej Rzeszy Józefem Goebbelsem (który, mimo swojego wieku, jest w zadziwiająco dobrej formie i tryska humorem) oraz po kilku spotkaniach Sekretarza Stanu Henryka Kissingera z ministrem spraw zagranicznych Rzeszy Baldurem von Schirach, widzimy jasno, jak oto nowa twórcza atmosfera *détente* przeważa w końcu nad ubolewania godnymi pozostałościami zimnej wojny.

Przypomnijmy krótko, o co chodzi. Kiedy pan Adolf Hitler, twórca i pierwszy Wielki Kanclerz Nowego Ładu Prawdziwej Wolności zmarł w 1953 roku, niemal natychmiast rozpoczęła się nowa epoka tak zwanej de-hitleryzacji nazizmu. Jednakże przez długi czas zarówno politycy jak uczeni amerykańscy nie potrafili uchwycić rzeczywistego, głębokiego sensu przemian. Dopiero ostatnio, po latach omyłek, udało się amerykańskim mężom stanu i historykom wyzbyć wielu przestarzałych, wulgarnych komunałów anty-nazistowskich, które najzwyczajniej utożsamiały nazizm z hitleryzmem i nie pozwoliły nam zrozumieć ani złożoności dziejów nazizmu ani historycznego sensu Nowego Ładu Prawdziwej Wolności.

Nowe badania, prowadzone przez trzeźwych uczonych, wolnych od prostackich uprzedzeń poprzedniego pokolenia, dały nam całkiem odmienny i — jak sądzimy — znacznie bardziej

* *New York Times*, artykuł wstępny z 8 maja 1975: „30-ta rocznica Nowego Ładu w Europie — zwycięstwo zdrowego rozsądku!”

autentyczny obraz ostatnich dziesięcioleci europejskiej historii. Przypomnijmy tylko parę punktów tej od dawna potrzebnej rewizji.

Przede wszystkim, nikt nie zaprzecza, że w polityce nieżyjącego pana Hitlera były pewne elementy godne pożałowania a nawet — wolno nam to powiedzieć w wolnym kraju — pewne czyny, które bez wielkiej przesady można wręcz nazwać zbrodnictwami. Fakt, że w Europie żaden Żyd nie dostał zezwolenia na kontynuację życia, że połowa ludności Polski, Ukrainy i Czechosłowacji oraz trzecia część ludności Rosji itd. nie spotkały się z zachętą do pozostania przy życiu, fakt ten musiał rzucić cień na Nowy Ład w oczach wielu ludzi. Ponadto ostatnie badania ekonomistów amerykańskich udowodniły niezbicie, że wysoka koncentracja przemysłu europejskiego na budowie komór gazowych i krematoriów odciągnęła zasoby metalurgiczne od zadań ważniejszych i opóźniła powojenną odbudowę gospodarczą.

Jednakże „co było, to było”, jak wnikliwie zauważył pan Himmler, honorowy Przewodniczący Towarzystwa Przyjaźni Amerykańsko-Europejskiej podczas bankietu wydanego w Berlinie na cześć Kissingera. Istotnie, co było, to było, ale okoliczność ta nie powinna przeszkadzać nam w tym, byśmy od czasu do czasu zajrzeli w zawiłe i często błędnie rozumiane sekrety przeszłości.

Nie wolno nam zapominać, że w wyniku głębokiego dialektycznego ruchu historii ta sama polityka — choćby pod pewnymi względami była nieprzyjemna — nie tylko miała swoje jaśniejsze i bardziej pozytywne strony, ale wybitnie przyczyniła się w minionych latach do dynamicznego i imponującego postępu, i to zarówno w ekonomii, jak w kulturze. Nie ma już Żydów w Europie, ale też, w wyniku, antysemityzm praktycznie znikł z Europy, czego niestety nie można powiedzieć — przynajmniej szczerze — o Stanach Zjednoczonych. Ludność Europy zyskała niezmiernie na mobilności: i tak, na przykład, cała ludność Holandii zajęta jest wyrębem drzew w północno-wschodniej Szwecji, przy czym przeludnione rejony Bawarii przeniosły się na jej miejsce; Czesi trudnią się pracą w przemyśle wydobywczym byłej Rosji północnej, a Niemcy w rolnictwie zostali zastąpieni przez robotników z Polski i Ukrainy. A któż odważy się zaprzeczyć temu, że mobilność demograficzna jest jednym z najlepiej sprawdzonych przejawów postępu społecznego? Spójrzmy także na statystyki przemysłu: produkcja stali w Belgii potroiła się od 1939 roku, a przemysł drzewny Finlandii — w znacznym stopniu dzięki robotnikom włoskim — uczynił potężny skok aż do 600 % w zestawieniu z produkcją sprzed wojny. „Co oczywiste, to oczywiste” — jak przyznał prezydent Ford w czasie swego obiadu z ministrem Ribbentropem po podpisaniu historycznego Traktatu Namiętnej Miłości Wzajemnej przez oba państwa.

Rzecz w tym, że wielu propagandystów zimnej wojny nie tylko absurdalnie utożsamiało ekscesy hitleryzmu z nazizmem, ale, co gorsza, nieustannie robiło niezdarne porównania nazizmu

ze zbrodniczym, morderczym reżymem Stalina, który na szczęście został obalony przez armię nazistowską w maju 1945 roku. Aby usprawiedliwić to fantastyczne równanie wynaleźli oni nawet słowo „totalitarny”, które miało im dostarczyć wygodnego narzędzia w celu sprzedawania swych anty-naukowych pomysłów publiczności amerykańskiej. Nowsze badania w sposób całkowity i ostateczny rozprawiły się z tym nonsensownym pojęciem. Obaliły one także naiwny pogląd — do niedawna wyznawany przez niektórych uczonych — że jakoby nazizm od samego początku miał wbudowane tendencje, które miały następnie objawić się w dziwacznej polityce ostatnich lat p. Hitlera. Wiemy teraz, że nie było żadnej tego rodzaju pre-determinacji. Weźmy pod uwagę problem żydowski. Wczesny program p. Hitlera był z pewnością anty-żydowski, ale nie ma w nim ani słowa o potrzebie wybicia wszystkich Żydów w komorach gazowych; najbardziej skrupulatne studia nie znalazły tego pomysłu w żadnych wczesnych pismach nazistów! Później, w wyniku ustaw norymberskich, Żydom po prostu nie zezwolono na małżeństwa z aryjczykami w celu utrzymania czystości rasowej. Wolno nam krytykować to prawodawstwo (choć przyznać należy, że wprowadziło ono jasny i wyraźny porządek prawny po okresie niepewności i chaosu), ale — znowu — nie miało ono nic wspólnego z komorami gazowymi. Żydzi zostali pozbawieni niektórych uprawnień — i to również wolno nam krytykować, chociaż od czasu wielkiego Nietzschego wiemy już, jak niewiele znaczy owo sławetne prawo głosowania. W 1940 roku z kolei Żydom po prostu kazano mieszkac w gettach; i znowu badania historyczne wykazały, że nie było w tym czasie żadnego pomysłu komór gazowych. Dopiero w parę lat później pojawiła się ta godna ubolewania decyzja. Byłoby rzeczą naiwną i całkowicie nie-historyczną prowadzić ideę komór gazowych wstecz aż do *Mein Kampf* p. Hitlera, gdzie idea ta jest w ogóle nieobecna. Kto tak czyni, projektuje terazniejszość w przeszłość w przekonaniu, że wszystko było niejako z góry wyznaczone. W rzeczywistości polityka nazistów względem Żydów przechodziła różne fazy i w każdej fazie różne możliwości były otwarte, a nic nie było z góry określone przez jakieś tajemnicze siły ideologii, rzekomo działające już u kolebki ruchu nazistowskiego.

W świetle tych badań samo pojęcie „hitleryzmu” staje się coraz bardziej bezużyteczne. Mamy do czynienia z wieloma latami złożonego procesu historycznego, przy czym każdy rok różni się od poprzedniego i następnego. Czymże jest, w rzeczy samej, „hitleryzm”? I jak można by go zdefiniować? A co się tyczy samego Pana Hitlera — jakże uproszczony obraz tego człowieka pozostawiły nam lata propagandy zimno-wojennej! Zapominamy często o tym, że był on inicjatorem niektórych filmów, które, choćbyśmy nie zgadzali się z ich treścią, były doskonałe pod względem artystycznym. Kazał publikować dzieła Goethego i Schillera. Budował drogi i imponujące budynki publiczne, dyskutując wnikliwie wiele projektów z architektami (niektórzy

z nich byli jego przyjaciółmi); zniósł bezrobocie w Niemczech, a następnie w całej Europie, podczas gdy my teraz mamy w Stanach Zjednoczonych siedem milionów ludzi bez pracy! Bądźmy skromniejsi i bardziej ufajmy zdrowemu rozsądkowi, który szczęściem teraz zwycięża.

Leszek KOŁAKOWSKI

(Tłumaczenie autora z angielskiego, „Survey”, Nr 4, 1975)

Doktryna Sonnenfeldta

Pod takim tytułem Rowland Evans i Robert Novak ogłosili w *Herald Tribune* z 22 marca artykuł, w którym tajna narada ambasadorów amerykańskich w Londynie w grudniu ubiegłego roku omówiona jest znacznie szerzej, niż to zrobił *Time* (na artykuł w *Time* powołuje się Herling-Grudziński w drukowanym poniżej sprawozdaniu z wizyty w Monachium *Radio i amerykańska niewiadoma*).

Doktrynę Departamentu Stanu wyłożył w Londynie ambasadorom amerykańskim Helmut Sonnenfeldt, prawa ręka Kissingera. Główna zasada doktryny brzmi następująco: „Stała, organiczna więź między Związkiem Sowieckim i Wschodnią Europą jest konieczna dla zapobieżenia wybuchowi trzeciej wojny światowej”. Czytamy: „Nieorganiczne, nienaturalne stosunki między Moskwą i Wschodnią Europą, oparte na sowieckiej sile wojskowej, zagrażają pokojowi światowemu. Naszą polityką (zakonkludował Sonnenfeldt) musi więc być dążenie do ewolucji, która związek między Wschodnią Europą i ZSSR uczyni organicznym”.

Kiedy tekst lekcji Sonnenfeldta dotarł do Waszyngtonu, niektórzy urzędnicy administracji uznali ją za podzyrowanie sowieckiego panowania we Wschodniej Europie. Doktryna tego rodzaju (zdaniem oburzonych krytyków) nie była nigdy polityką Stanów Zjednoczonych i z pewnością nie powinna nią być obecnie.

Na londyńskiej naradzie obecny był również sam Kissinger. Obaj, Kissinger i Sonnenfeldt, podkreślili konieczność „ułożenia się ze Związkiem Sowieckim, wyłanianym się supermocarstwem”. To jest racją bytu *détente*. Zaniepokojony o los NATO wobec wzrostu wpływów komunistycznych w Zachodniej Europie, Kissinger oświadczył: „Dominacja partii komunistycznych na Zachodzie jest nie do przyjęcia”. Ten pogląd nie budzi zastrzeżeń w łonie administracji, w całkowitym przeciwieństwie do doktryny Sonnenfeldta.

Nie posiadając zalet dawnych imperiów (instruował swych uczniów Sonnenfeldt), Kreml „polega wyłącznie na sowieckiej

potędze militarnej dla zjednoczenia Wschodniej Europy”. Ponieważ brak tam „bardziej zdolnej do życia, organicznej struktury”, w krajach wschodnio-europejskich wzmogło się „pragnienie wydobycia się z sowieckiego kaftana bezpieczeństwa”. Zachód nie ma powodu cieszyć się z tego: „Niezdolność Związku Sowieckiego do wdrożenia lojalności we Wschodniej Europie jest niefortunnym fiaskiem historycznym, gdy Wschodnia Europa znajduje się w zasięgu jego naturalnych interesów. Jest podwójnie tragiczne że na tym obszarze naturalnych interesów i rozstrzygającego znaczenia okazało się niemożliwe dla Związku Sowieckiego zapuścić korzenie, które wyszłyby poza nagą siłę”. Opisawszy *détente* jako środek oddziaływania na użycie sowieckiej siły, Sonnenfeldt ostrzegł, że „obecny nienaturalny związek Wschodniej Europy z ZSSR może prędzej czy później doprowadzić do wybuchu, powodując trzecią wojnę światową; ten nieorganiczny, nienaturalny związek stanowi większą groźbę dla pokoju światowego, niż konflikt między Wschodem i Zachodem”.

Sonnenfeldt ostrzegł również, że „jakikolwiek nadmiar gorliwości z naszej strony” mógłby odwrócić „pożądany proces” organicznego zjednoczenia sowiecko-wschodnio-europejskiego. Polityka amerykańska winna pozytywnie reagować na „jasno widoczne we Wschodniej Europie aspiracje do bardziej autonomicznej egzystencji w kontekście silnego sowieckiego wpływu geopolitycznego; ten schemat zdał egzamin w Polsce; Polacy potrafili przezwyciężyć swoje romantyczne skłonności polityczne, które były przyczyną ich klęsk w przeszłości”.

Powrót Jugosławii do orbity sowieckiej po śmierci Tity byłby oczywiście „poważnym ciosem strategicznym”, ale (według Sonnenfeldta) Jugosławianie „powinni być mniej niezdolni w stosunku do Moskwy”; i należy im odebrać złudzenia, że mogą sobie na wszystko pozwolić w warunkach niepodległości zagwarantowanej przez Stany Zjednoczone.

Autorzy artykułu w *Herald Tribune* określają doktrynę Sonnenfeldta jako amerykańskie opowiedzenie się za „stabilizacją imperium sowieckiego we Wschodniej Europie dla zachowania pokoju światowego”.

W *Herald Tribune* z 27-28 marca Dusko Doder, belgradzki korespondent dziennika, opisuje wrażenie jakie doktryna Sonnenfeldta zrobiła we Wschodniej Europie. Wrażenie przygnębiające, szczególnie w Belgradzie i w Bukareszcie. Podkreśla się że po *débâcle* w Anglii jest to jeszcze jeden dowód, jak mało można ufać prywatnym zapewnieniom i zobowiązaniom amerykańskim. „Ameryka jest daleko, a Związek Sowiecki tak blisko”. Niektórzy rozmówcy korespondenta wyrazili podejrzenie, że odsłonięcie rąbka tajnej narady londyńskiej było celowe: Ford, zmuszony w okresie przedwyborczym do akcentowania „twardszej” linii wobec ZSSR, posuwający się na użytek wewnętrzny aż do zakazu używania słowa *détente*, chciał równocześnie uspokoić Moskwę że nie uległa zmianie „istota porozumienia dwóch supermocarstw w sprawie podziału stref wpływów”, ze zgodą Ameryki na „so-

wieką dominację w Europie Wschodniej". Zdaniem korespondenta, także w innych stolicach wschodnio-europejskich zapanała niepokoju: mówi się tam o „echach Jałty”.

W artykule *Awantura z Sonnenfeldtem* Evans i Novak donoszą o skutkach wybuchu „bomby” w Waszyngtonie (*Herald Tribune* z 29 marca). Kissinger został zaproszony na śniadanie przez Komitet Studiów Kongresu, grupę konserwatywnych posłów republikańskich. Usiłował zbagatelizować doktrynę Sonnenfeldta i zakwestionować transkrypcję z tajnej narady londyńskiej, która stanowiła podstawę pierwszego artykułu Evansa i Novaka. Nikogo nie przekonał. Według jednego z uczestników śniadania „cokolwiek powiedział w Londynie Sonnenfeldt, było całkowicie zsynchronizowane z Kissingerem; zawsze jest, a zresztą Kissinger był obecny na naradzie londyńskiej”. Na śniadaniu wystąpił ostro Edward Derwiński, kongresman z Illinois, „jeden z najważniejszych konserwatywnych popleczników Forda, narodowy przywódca polsko-amerykańskiej wspólnoty”; oświadczył że doktryna Sonnenfeldta jest teraz, „po uznaniu przez Amerykę w Helsinkach sowieckiej kontroli nad państwami bałtyckimi”, przysłowiową kropłą przepełniającą czarę. Autorzy artykułu piszą: „Derwiński wyrażał gniew rosnący wśród narodowych grup etnicznych, gniew który może się odbić nie tylko na pojedynku Forda z Reaganem, ale w ogóle na listopadowych wyborach prezydenckich. Derwiński powiedział Kissingerowi, że sprawa musi być wyjaśniona jak najszybciej”. I dalej: „Jest więcej niż nieprawdopodobne by tłumaczenia Kissingera przemówiły do Derwińskiego, który żąda niedwuznacznego wyparcia się doktryny Sonnenfeldta. Jeśli zajdzie potrzeba, Derwiński uda się do Białego Domu i zażąda tego od Forda. Jeśli to zrobi, uraduje tych urzędników administracji, którzy od początku byli oburzeni na doktrynę akceptującą sowieckie panowanie nad Wschodnią Europą”.

W związku z zaprzeczeniami Kissingera warto przytoczyć poufną informację, która nigdy nie przedostała się do prasy. Kiedy Nixon wracał ze swojego ostatniego spotkania z Breżniewem w Moskwie, towarzyszący mu Kissinger zatrzymał się na dzień w Rzymie. Na urządzonym dla niego przyjęciu, trochę podochocony winem, wyznał na stronie pewnemu dyplomacie włoskiemu: „Odpisaliśmy Jugosławię i Rumunię”.

Anatomia kapitulacji

„Żaden zdobywca, powracający ze zwycięskiego pola walki, nie nosił wspanialszych laurów od tych, które przyozdabiały premiera Chamberlaina, gdy wczoraj powrócił z Monachium”.

Są to słowa z londyńskiego *Times'a* sprzed 37 lat. Brzmia one obecnie niesłychanie zabawnie — jeśli ktoś ma nadmierne poczucie humoru. Ale nie martwmy się. Prawdopodobnie humor przetrwa wszelkie dziejowe burze i za lat 50 myśli o *détente* i strategii obłaskawiania Sowietów będą odczytywane z podobnymi uczuciami. Czy w ogóle za 50 lat będzie ktoś miał głowę do myślenia? — zapytają sceptycy. Na pewno tak. Cokolwiek bowiem stanie się z Zachodem, nie wysterylizuje to ludzkich mózgów ze zdolności retrospektywnej oceny motywów postępowania twórców obecnej polityki zachodniego *establishment*. Oczywiście warunkiem musi być fizyczne przetrwanie. Na tej właśnie trosce, żeby za wszelką cenę uratować świat zachodni przed materialną zagładą, bazuje cała polityka kapitulacji i naiwnej wiary w obłaskawienie Sowietów. Nie wierzą w nią tylko Chińczycy, znający dobrze swych zachodnich sąsiadów. — Dlaczego mamy nie dowierać rosyjskim komunistom, oferującym nam pokój, a wierzyć chińskim — ukazującym nam perspektywę wojny? — zapytał w programie telewizyjnym jeden z doprowadzonych do ekranu przedstawicieli amerykańskiej publiczności. Indagujący szarego obywatela reporter zamyślił się głęboko albo udawał zamyślenia. A przecież odpowiedź nie była zbyt skomplikowana. Po pierwsze, zawsze chętniej się wierzy w rzeczy przyjemne niż nieprzyjemne. Ale nie to było najważniejsze. Podobnie jak liderzy KPZS, chińscy przywódcy mają, delikatnie mówiąc, nie mniej „pragmatyczny” stosunek do prawdy niż Rosjanie. W tym wypadku chodzi jednak o coś innego. Jeśli Chińczycy zaklinają Amerykę, by nie wierzyła w *détente*, żeby utrzymywała flotę na wodach Pacyfiku i nie wycofywała wojsk z Europy — czynią to nie z miłości do Ameryki, w imię bezinteresownej troski o zachowanie jej potęgi, ale ze strachu przed Moskwą. Z tego powodu niepodobna im nie wierzyć, bo znają Moskwę tysiąc razy lepiej od głupekowych amerykańskich czy zachodnio-europejskich komentatorów. Zagrożeni ekspansjonizmem sowieckim i wiedząc o nim, szukają rozpaczliwie alianta, którym mogą być tylko Stany, również zagrożone przez sowiecką ekspansję. Tyle tylko, że te ostatnie, żyjąc w świecie mitów i pobożnych życzeń, wierząc w swoją materialną potęgę, nie dopuszczają do siebie myśli, by ekspansja sowiecka mogła im bezpośrednio zagrozić. Nie dlatego, że cierpią na brak wyobraźni. Przeciwnie — starają się tę wyobraźnię przytłumić, odpychając z przerażeniem wszelką myśl o konfrontacji. I nie należy się temu zbyt dziwić. Jak może Ameryka i cały świat zachodni mierzyć się z systemem, który, nawet w czasach gdy korzystał z dobrodziejstw pokoju, potrafił wymordować 30 do 40 milionów własnych obywateli? Na myśl o konfrontacji z takim przeciwnikiem ciarki przechodzą zachodnich intelektualistów i polityków. Na tym tle można zrozumieć całą złożoną anatomie kapitulacji i mechanizm samooszukiwania się, przy pomocy którego amerykańskie *mass media* pragną odrealnić wiszące nad Zachodnim światem niebezpieczeństwo. Również z tej samej przyczyny lękają się sojuszu z Chi-

nami, choć stanowi on chyba jedyną i ostatnią szansę Ameryki, bo sama nie potrafi się już przed Sowietami obronić. W pamięci wielu ludzi tkwi oświadczenie Czu En-lai'a sprzed kilkunastu lat, gdy potęga nuklearna Stanów górowała jeszcze nad światem. Czu En-lai oświadczył wówczas, że gdyby nawet w wojnie atomowej miało zginąć 300 milionów Chińczyków — reszta przetrwa. Myślał wówczas o groźbie inwazji amerykańskiej. Teraz czasy się zmieniły. W amerykańskim „agresorze” chciałaby Chiny widzieć alianta, ale ten potencjalny amerykański sojusznik myśli z równym przerażeniem o swym adwersarzu — Sowietach, mordującym bez rachunku własnych obywateli jak i o ewentualnym chińskim sprzymierzeńcu, gotowym poświęcić w swojej obronie połowę ludności. Partnerzy się zmienili jak w kontredansie, ale gotowość do ponoszenia ofiar u Chińczyków jest chyba taka sama jak ta, która kiedyś — 36 lat temu — towarzyszyła Japończykom. Tylko, że wtenczas inni byli Amerykanie i inni — Japończycy.

— Chiny bardziej potrzebują nas niż my Chin, wobec tego sojusz z nimi nie jest dla nas żadnym interesem — powiedział inny gość amerykańskiej telewizji. Pan ten patrzył na sprawę jak prawdziwy finansista, który liczy aktywa firmy, proponując mu spółkę i z którą nie warto mu się łączyć. Niestety, jeśli ktoś chce uniknąć katastrofy, to kalkulacje takie zawodzą. Z chwilą bowiem, gdy okaże się, że Stany bardziej będą potrzebować Chin niż Chiny — Stanów, na wspólny ratunek może być za późno. Chińczycy, bez względu na to czy kochają Przewodniczącego Mao, nie zamierzają przetrwać za wszelką cenę — czyli mówiąc po prostu — za cenę sowieckiego poddaństwa. Już teraz zapewne po długich i bezskutecznych perswazjach o idiotyzmie *détente*, tracą z wolna wiarę w Amerykę. I jakże mogą nie tracić, skoro mają do czynienia z narodem, który nawet bez wojny i widma nuklearnej katastrofy, wychowywany jest w ustawicznej obawie przed wszelkim ryzykiem — ryzykiem, które w ujęciu *mass media*, troszczących się o życie i zdrowie współobywateli, urasta do granic nonsensu. Amerykanów uczy się codziennie jak unikać ryzyka. Ryzykowne jest budowanie elektrowni atomowych, bo przecieki mogą zradioaktywizować powietrze. Ryzykowne jest budowanie zbiorników ze skroplonym gazem naturalnym, bo zbiorniki mogą wybuchnąć. Niebezpieczne jest używanie środków owadobójczych, bo można się nimi zatruci. Niebezpieczne jest ubieranie dzieci w piżamy, które nie są ogniotrwałe, bo piżamy mogą się zapalić. Mężczyznom po pięćdziesiątce, a kobietom w dowolnym wieku — radzi się w wypadku prób ulicznego rabunku oddać bez oporu portfele i torebki — bo tak jest najbezpieczniej. Że stanowi to jawne zaproszenie dla młodocianych rzezimieszków, którzy w tych warunkach niczego nie ryzykują — o to telewizyjni wychowawcy narodu nie dbają. Drugim ulubionym tematem jest skażenie powietrza i niebezpieczeństwo raka. Niepodobna jest lekceważyć tych dwóch niebezpieczeństw — z których pierwsze jest następstwem supercywilizacji, a drugie — klęską samej natury. Ale uporczywe wła-

czanie do głów słuchaczy radia i telewizji tych dwóch grózb — a zwłaszcza niebezpieczeństwa raka, przed którym nikt nie wie jak się uchronić, doprowadza publiczność amerykańską do hysterii¹.

Nikt otwarcie nie odważy się zadeklarować kapitulacji jako najlepszej i najprostszej drogi do rozładowania ekspansjonizmu sowieckiego, który — jak już wielu ludzi dostrzega — jest o wiele niebezpieczniejszy od agresji Hitlera. Historycy i ludzie starszego pokolenia wiedzą lub pamiętają jak zawiedziony był Hitler, gdy zajął Pragę bez wystrzału. W pewnym momencie gdy wszystko szło mu za łatwo Führer nie tylko życzył sobie by świat stał mu się u nóg. Pragnął wojny. Może niezbyt krwawej, ale takiej która dałaby mu szansę wkroczenia do podbitych krajów na czele pancernych dywizji przed pierzchającym przeciwnikiem. Po prostu marzył mu się rydwan zwycięzcy. Historia nie odmówiła mu tej kosztownej przyjemności, choć później wszystko potoczyło się inaczej. O ile trzeźwiejsi i dojrzalsi byli pod tym względem od niego przywódcy sowieccy! Są cierpliwi i gotowi czekać; nie popędzać z nadto konia historii, jak to czynił Hitler. Atutem Kremla wobec Zachodu jest nie tylko niska stawka jaką Sowiety szacują życie ludzkie, nie czyniąc zresztą wielkiej różnicy między „swoimi” a obcymi. Chcą uniknąć zbędnych ciosów i pragną zdobyć bezkrwawych. Dlatego czynią wszystko aby uspić czujność Zachodu! Żeby opętać wytartym i tysiąc razy skompromitowanym frazesem o pokoju całą ludzkość. *Ta niewiarygodna mistyfikacja nie miałaby szans powodzenia, gdyby u przeciwnej strony nie narastało pragnienie kapitulacji jako jedynego wyjścia, które pozwoli wybrnąć światu z wiszącej katastrofy.*

Odpowiedzialność za tę pracowicie kamuflowaną filozofię kapitulacji i politykę samooszukiwania siebie i swych współobywateli ponosi elita umysłowa Zachodu; wolna prasa, wolne radio, wolna telewizja którym wolno jest wszystko napisać i powiedzieć, ale którym jest również wolno nie napisać i nie powiedzieć tego, czego nie chce. Ci na górze nie są prostaczkami, którzy o wielu sprawach na świecie mogą naprawdę nie wiedzieć. Owi „inżynierowie dusz”, których głos przemawia z ekranów telewizyjnych wiedzą więcej niż potrzeba. Wiedzą że uznana przez nich za zdyskredytowaną „teoria domina” działa — i że działa z zastosowaniem nowej strategii, która pozwala Sowietom zamiast dodania najbliższej „kostki” — Turcji lub Bałkanów — dokonać wielkiego skoku przez kontynent afrykański. Ten nie-

1. Troszcząc się tak niebywale o zdrowie obywateli, wszystko-wiedzący amerykańscy dziennikarze nie potrafili jakoś wywęszyć ukrywanych od szeregu lat przez Departament Stanu ponurych praktyk sowieckich specjalistów od elektroniki podsłuchowej, której ofiarą padł szereg pracowników ambasady USA w Moskwie. Nad sprawą tą tak długo zawieszano kurtynę milczenia w obawie o naruszenie dobrych stosunków z Sowietami, aż wreszcie zdesperowany ambasador Stoessel podał całą sprawę do wiadomości publicznej.

bywały sukces sowiecki jest skrętnie przeinaczany przez luminarzy amerykańskiej prasy. Licząc na bezprzykładną naiwność słuchaczy i czytelników, powiadają że „Sowiety mogą popaść w takie same kłopoty w Angoli jak kiedyś Ameryka angażując się w odległy teatr wojenny w Południowo-Wschodniej Azji”. Czy naprawdę wierzą w to, że w Sowietach powstanie ruch protestacyjny, że poborowi — którym sumienie nie pozwala — będą zwolnieni ze służby w wojsku, a kubańskie legiony w służbie sowieckiej zbuntują się jak niegdyś carscy marynarze floty czarnomorskiej? Publiczność amerykańska straszona jest przez nich ustawicznie choć przy użyciu wielu nieraz subtelnych środków. Cel propagandy jest jeden: *détente* — czyli kapitulacja, lub katastrofa atomowa i zniszczenie miast amerykańskich.

A przecież ci, którzy ukazują tę wzbudzającą dreszcz grozy alternatywę wiedzą że spragnieni władzy nad światem przywódcy KPZS potrzebują żywych — nie martwych i z tego powodu lękają się zamienienia świata w atomowy cmentarz. A więc na równi, choć z innych przyczyn niż Amerykanie i Europa Zachodnia, obawiają się wojny atomowej z wszystkimi jej katastrofalnymi następstwami.

Niezbyt dawno wybitny specjalista od spraw nuklearnych, w artykule opublikowanym w *New York Times*’ie wykazał w sposób wykluczający wszelką wątpliwość, że gdyby przy obecnym inwentarzu nuklearnym obydwu stron, jednej z nich udało się zadać przeciwnikowi taki cios, który by uniemożliwił odwet, to napastnik ryzykujący „pierwsze uderzenie” musiałby użyć tak gigantycznej siły niszczycielskiej, że radioaktywne skutki zmasowanych wybuchów nuklearnych zatrułyby całą atmosferę ziemską, skazując na śmierć nawet „zwycięzców”, którym udało się pozbyć przeciwnika możliwości zadania „drugiego ciosu”².

Anatomia kapitulacji nie jest zbyt trudna do zrozumienia, bo często powtarza się w postawach poszczególnych indywidualności i całych narodów. Zawsze wymaga jakiegoś „uzasadnienia” czyli małego lub wielkiego samooszustwa w zależności od kalibru sprawy. Tym uzasadnieniem jest zwykle przemożna niechęć do rozstania się ze złudzeniami. Zamiast tego występuje nadzieja. Ta nadzieja towarzyszyła długo Żydom w warszawskim getcie. Choć położenie stłoczonych, bezbronnych i zamkniętych niemal hermetycznie w murach getta polskich Żydów jest nieporównywalne z położeniem potężnej Ameryki i Zachodniej Europy, porażające analogie powracają. Żydzi również liczyli na obsłakowanie swych katów. Liczyli — bo długo nie chcieli dopuścić straszliwej prawdy. Wierzyli w rozliczne legendy, które również podsycali ich przyszli mordercy. Dopiero wtedy gdy uznali, że nie mają szans ratunku, niewielka grupa najbardziej zdecydowanych chwyciła za broń. Nie po to żeby się ratować, ale aby umrzeć z honorem. To było już wówczas najważniejsze. Pisał

2. Zgodnie z wizją Nevila Shute’a przedstawioną w powieści „Na plaży”.

o tym w jednym z numerów wrocławskiej *Odry* przebywający w Polsce dr Marek Edelman, obecnie wybitny lekarz i naukowiec, 33 lata temu 19-letni chłopiec, jeden z przywódców Żydowskiej Organizacji Bojowej. Artykuł nosił tytuł: „Sposób umierania”. „...Ludzie uznali — pisał w swych wspomnieniach Marek Edelman — że godniej jest umierać z bronią w ręku niż jak owca prowadzona na rzeź. Dlatego chcieliśmy wybrać naszą śmierć, a nie tę którą chcieli nam narzucić hitlerowcy”.

Narodom mieszkającym w krajach Zachodu nie grozi śmierć. Grozi im tylko poddaństwo i dziesiątki lat „ciemności które pokrywają ziemię”. Ludzie odkryli już zresztą bardzo dawno prawdę, nieco inną ale zbliżoną do tej, którą cytuje Marek Edelman. Że chwalebniej jest walczyć z bronią w ręku niż dać sobie bez oporu nałożyć obrozę, którą przecież w końcu też wszyscy będą chcieli zrzucić. Tylko, że wówczas wypadnie zapłacić wielokrotnie wyższą cenę niż teraz, gdy nie jest jeszcze za późno. Wszystko to brzmi w uszach wielu współczesnych ludzi nudnie i niemożliwie. Historia jest w ogóle dosyć nudna, bo się w kółko powtarza. Moda, ze swymi cyklicznymi nawrotami, też się powtarza, ale czasami okazuje się niezwykle atrakcyjna. Wróćmy więc do dawnych modeli. Wszystko zależy od nas.

Meany o amerykańskiej polityce zagranicznej

George Meany, przewodniczący potężnej amerykańskiej centrali związków zawodowych AFL-CIO, wygłosił w Senacie 8 grudnia ubiegłego roku przemówienie w ramach serii spotkań poświęconych „wyborom polityki zagranicznej na lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte”. Choć od wystąpienia (czy, jak to nazywa biuletyn AFL-CIO *Free Trade Union News*, „świadcstwa”) Meany minęło pół roku, zachowało ono w pełni dramatyczną aktualność; może nawet więcej, nabrało dziś ostrzejszej jeszcze wymowy.

„Wszystko co nastąpiło w ostatnim roku wzmocniło nasze

3. Nie gwarantuję wierności cytaty, ponieważ przytaczam ją z pamięci, ale taka była najważniejsza i jakże trafna myśl zawarta w artykule Edelmana.

przekonanie, że polityka zagraniczna naszego rządu stała się niezrozumiała dla przeciętnego obywatela. I nie sądzę, by winę za to ponosił przeciętny obywatel. Nie przypominam sobie innego okresu w moim życiu, który wywoływałby w naszym narodzie taką masę konfuzji, osłupienia i niepewności jak obecny. Pewną część tej niepewności przypisać oczywiście należy ciężkim warunkom gospodarczym, jakie powstały dla wielu amerykańskich rodzin. Ale duża jej część pochodzi także z głębokiego niepokoju o sytuację międzynarodową, zwłaszcza o rolę Ameryki w świecie. Konfuzję Amerykanów wzbudza nie ten czy ów specyficzny problem taktyczny. Chodzi o rosnące poczucie że nasz wielki naród żegluguje bez steru, zdany jest na łaskę fal, że nie posiadamy już jasnych celów, że nie posuwamy się naprzód. Ogarnia nas złowieszcze uczucie, że przeżywamy okres przejściowy w historii ludzkości — mam na myśli przejście od świata w którym dominują niedoskonałe demokracje do świata opanowanego przez totalitaryzmy. Gdyby Stany Zjednoczone nie były demokracją, choćby niedoskonałą, nie musielibyśmy martwić się zbyt o to co ludzie czują. Nie martwią się o to Breżniew czy Mao, nie spędza im snu z powiek pytanie czy przeciętny obywatel chiński lub sowiecki jest zadowolony z polityki swego rządu. Ale my musimy się martwić. Nie mamy powodu przeprowadzać plebiscytu na temat każdego ważniejszego zagadnienia polityki zagranicznej, lecz istnieje granica tego jak daleko wolno nam się posunąć w polityce ogólnej, która nie cieszy się poparciem opinii publicznej. Wydaje mi się, że doszliśmy do tej granicy. Myślę, że przekroczyliśmy ją. Myślę, że ludzie odpowiedzialni za formułowanie amerykańskiej polityki zagranicznej odizolowali się od woli społeczeństwa, od myślenia narodu amerykańskiego.

„Kiedy mówię o amerykańskiej polityce zagranicznej, nie grzeszę nadmiarem ścisłości. Bo sęk w tym, że nie posiadamy w ogóle polityki zagranicznej. To znaczy: mamy politykę w stosunku do tego czy innego kraju, politykę na ten czy inny tydzień. I z pewnością nie możemy się uskarżać na brak retoryki, na niedobór słów w rodzaju *détente*, współzależności, nowych struktur pokoju, nowej ery rokowań, wzajemnej powściągliwości, elastyczności, policentryzmu itd., itd. Ale nie mamy polityki zagranicznej ząbionej o jasne dla wszystkich cele, polityki wokół której można zmobilizować miliony ludzi, wcale nie samych Amerykanów. To jednak połowa tylko naszego problemu: że nie wiemy do czego na świecie zdążamy. Druga połowa polega na tym, że nasz wróg — przepraszam, nasz „potencjalny adwersarz” — wie. W rezultacie nasz przeciwnik stwarza fakty, my zaś reagujemy...

„Ach tak, od czasu do czasu nasz Sekretarz Stanu wyskakuje z „błyskotliwą inicjatywą” lub z „konceptyjnym przełomem” — zdaje się, że takimi określeniami posługują się środki masowego przekazu. Gdy się jednak zajrzy pod powierzchnię, nawet te dyplomatyczne sztuczki magiczne są reakcją na kryzysy spowodowane i kształtowane przez przeciwną stronę. Znajdujemy się

więc w stanie fundamentalnej nierównowagi, Związek Sowiecki ma cel — jest nim narzucenie sowieckiego systemu politycznego, społecznego i gospodarczego reszcie świata. I nie robi z niego sekretu. My natomiast nie mamy celu, chyba że będzie nim zachowanie *status quo*. Szczerze mówiąc, nie wierzę byśmy się trzymali nawet tego ograniczonego, nie pociągającego celu. Zdarza mi się czytać w prasie, że doktor Kissinger ocenia pesymistycznie przyszłość cywilizacji zachodniej, i zastanawiam się czy u podstaw jego polityki nie tkwi samospełniające się proroctwo. Zastanawiam się czy nie porzuciliśmy nawet *status quo* na rzecz służalczego przystosowania się do rosnącego wciąż totalitarnego imperializmu, który zmienia oblicze świata...

„W okresie powojennym byliśmy świadkami rozpadu starych imperiów kolonialnych Europy, widząc jednocześnie jak rośnie imperium sowieckie. I daliśmy jasno do zrozumienia, że nie zamierzamy uwolnić narodów i terytoriów opanowanych przez Związek Sowiecki, podczas gdy Związek Sowiecki podsyca i wspomaga narodowe wojny wyzwolenicze na Zachodzie. Czy używamy naszych rezerw materialnych by uwolnić zniewolone narody Łotwy, Litwy, Estonii, Czechosłowacji, Polski, Węgier, Wschodnich Niemiec i całej reszty? Przeciwnie, podpisaliśmy układ uprawomocniający ich zniewolenie. Czy jesteśmy zdolni skłonić w drodze układu ZSSR i Kuby, by wstrzymały próby „uwolnienia” — jakże to słowo zostało wypaczone! — Angoli, że wymienię jeden tylko kraj?

„Do pewnego stopnia ta równowaga jest nieunikniona. Państwo które chce podbić świat ma zawsze jaśniejsze poczucie celu, niż państwo które chce wyłącznie utrzymać swój stan posiadania. Nowy i niebezpieczny jest jednak dodatek do ideologicznej nierównowagi: przesunięcie w równowadze sił. Dopóki kandydaci na zdobywców są powstrzymywani przez siłę od wprowadzenia w czyn swych planów, można się zanadto nie przejmować tym, że ich wizja jest jaśniejsza od naszej. Dopiero kiedy wiedzą dokąd zmierzają, wzbogacając równocześnie z dnia na dzień arsenał nieodzownych po temu środków, musimy zmienić nasz sposób myślenia. Musimy zrewidować przesłanki naszej polityki zagranicznej. Musimy przywrócić zarówno naszą siłę, jak nasze poczucie celu. Komuniści głoszą otwarcie — Breżniew powiedział to wiele razy — że *détente* nie oznacza końca wojny ideologicznej; przeciwnie, oznacza jej nasilenie. Ale jakże możemy współzawodniczyć z ZSSR ideologicznie, jeżeli zarzuciliśmy nasze cele i nasze tradycyjne wartości jako szkodliwe dla *détente*? Jest tylko jedna wartość podstawowa, jedna idea podstawowa, która może się stać fundamentem naszej amerykańskiej strategii w sprawach światowych. Jest tylko jedna wartość podstawowa, jedna idea podstawowa, która może stworzyć grunt dla amerykańskiego apelu do wszystkich innych narodów świata. Ta idea podstawowa to obrona wolności i rozprzestrzenienie demokracji. Nie zachowanie demokracji, lecz jej rozprzestrzenienie. Nigdy nie przeciagniemy narodów świata na naszą stronę

sloganem „Zostawcie mnie w spokoju!“. Nie powinniśmy się obawiać podważenia *status quo*. Nie powinniśmy się obawiać nowego porządku światowego — porządku światowego, w którym demokracja i przyzwoitość są w ofensywie. Sądzę że przyjęcie nowego spojrzenia na świat, opartego na obronie wolności i rozprzestrzenieniu demokracji, przyczyni się waleń do przywrócenia poczucia celu moralnego, które wyparowało z naszej polityki zagranicznej. Jest oczywiste że porzucenie naszego celu moralnego za granicą podcina nasz cel moralny w kraju, że ideał demokratyczny słabnie u nas ilekroć odwracamy się od niego plecami u innych”.

W dalszym ciągu swego przemówienia Meany zajął się konkretnymi przykładami amerykańskiej degrengolady. Zaczął od drobnego na pozór, lecz znamienne epizodu: od przytoczenia pisemnej „rekomendacji” Kissingera, w której urzędnikom Białego Domu odradza się udział w bankiecie wydanym przez AFL-CIO na cześć Sołżenicyna, a Fordowi zaproszenie pisarza rosyjskiego do siedziby prezydenckiej. Przeszedł następnie do *détente*, podkreślając z naciskiem że nie jest ona wynalazkiem Nixona czy Kissingera, lecz Lenina i jego następców. *Détente* jest i była zawsze, z przerwami i nawrotami, „strategią sprzyjającą sowieckim celom poprzez przystosowanie się Zachodu do wzrostu potęgi sowieckiej”. Gospodarka sowiecka kuleje. „Zdawałoby się że w tych okolicznościach przywódcy sowieccy poczuć się zmuszeni albo do reformy swego systemu ekonomicznego, albo do przesunięcia części rezerw z odcinka wojskowego na cywilny. Ale nie, *détente* wydobywa ich z tarapatów. Sprzedamy im amerykańskie zboże. Damy im amerykańską technologię. *Détente* jest bardzo dobrą polityką — z sowieckiego punktu widzenia”. Meany zaatakował również konferencję w Helsinkach, pokaz „trudnej do przełknięcia hipokryzji”. „Jeśli chodzi o Związek Sowiecki, jedyną wiążącą rzeczą układu w Helsinkach jest uznanie sowieckiego podboju Wschodniej Europy”. I dalej: „My w AFL-CIO znamy się trochę na umowach zbiorowych. I mogę was zapewnić, że gdyby jakikolwiek przewodniczący związku zawodowego zaprezentował taki układ jak ten który Ford podpisał w Helsinkach, przepadłby w najbliższych wyborach związkowych”. Dostało się wreszcie Organizacji Narodów Zjednoczonych, nazwanej „kiepskim żartem”. I amerykańskim kapitalistom, popierającym gorąco linię Nixon-Ford-Kissinger: „Byli wściekłymi antykomunistami tak długo, jak długo widzieli w komunizmie zagrożenie dla swoich interesów — nie z miłości do demokracji i wolności. Teraz, kiedy widzą że można wcale nieźle zarobić na handlu z komisarzami, zmienili melodię. Są naraz przeciwni naszemu wtrącaniu się do spraw wewnętrznych innych krajów”.

Meany tak zakończył swoje przemówienie: „Oto jaki musi być ostateczny cel naszej polityki zagranicznej: nie przystosować się do ich wartości totalitarnych, lecz uczynić świat bezpiecznym dla naszych”.

Radio i amerykańska niewiadoma

Gościowi zwiedzającemu *Radio Swoboda* (albo *Radio Liberty*) wręcza się najpierw, dla ogólnej orientacji, kilka broszurek i druczków informacyjnych. Dostałem je i ja natychmiast po przyjeździe do Monachium. *Radio Liberty* egzystuje od dwudziestu trzech lat, nadając programy po rosyjsku i w językach pozostałych narodów ZSSR. Przed rokiem włączono doń trzy sekcje bałtyckie, co liczbę programów podniosło do dziewiętnastu. Najdłuższy jest program rosyjski: nadaje go się całą dobę, powtarzając wielokrotnie 3-4 godzinny „blok” oryginalny; zatrudnia 57 % ogółu pracowników i pochłania 63 % budżetu. Z pozostałych programów najdłuższy jest ukraiński: od 75 do 105 minut, powtarzanych parę razy. Średnią reszty byłyby chyba półgodzinny program, również parokrotnie powtarzany. W radiostacji pracuje obecnie 360 osób. Zestawienie obecności w eterze RL z innymi stacjami nadającymi do ZSSR wygląda tak: RL 674 godziny na tydzień, *Voice of America* 147 godzin, BBC 30 godzin, *Deutsche Welle* 18 godzin. Ilość słuchaczy RL w ZSSR szacuje się na pięć milionów dziennie. Zagłuszanie jest intensywne, słyszalność bez porównania lepsza na prowincji niż w wielkich miastach (zwłaszcza w Moskwie). Wiadomości dziennika radiowego zajmują w programie rosyjskim 31 %, w programach pozostałych narodów — 57 %. Sprawy „wewnętrzne” i „zewnętrzne” ustawione są w programie rosyjskim w proporcji pół na pół, w programach pozostałych narodów poświęca się tematyce danej republiki 37 % przydzielonego czasu transmisji. Specjalny druczek przynosi opinie o RL wybitnych reprezentantów nowej emigracji (Sołżenicyn, Niekrasow, Maksimow, Litwinow, Lewitin-Krasnow, Galicz, Gołomsztok), z okresu gdy byli jego mniej lub więcej dorywczyimi słuchaczami w kraju: są w sumie pozytywne, zdają się nawet wskazywać że RL stało się w jakiejś mierze dla obywateli ZSSR synonimem radia śmiałego, prawdopodobnego i względnie nieskrępowanego. Od niedawna połączono RL z Wolną Europą w ramach BIB (*Board for International Broadcasting*). Formalnie w gestii Kongresu amerykańskiego, BIB jest w praktyce (jak wolno podejrzewać) sterowany zdalnie przez Departament Stanu.

Słyszałem pełny trzygodzinny „blok” rosyjski. Jeśli uważać go za coś w rodzaju przekroju, to poziom rozgłośni jest dobry. O otwartym charakterze programu rosyjskiego świadczą dwie audycje. Rozpoczęto właśnie codzienne czytanie trzeciego tomu *Archipelagu* i trafiłem na odcinek, w którym Sołżenicyn bardzo

pięknie opisuje swoje spotkania w łagrach z „nacionalistami” ukraińskimi, biorąc w obronę ich patriotyzm i aspiracje do niepodległego bytu. Z Paryża nadano obszernie omówienie najświeższej edycji *Lettres de Russie* de Custine’a; ton omówienia niewiele się różnił od prezentacji Brońskiego w ostatnim numerze *Kultury*.

W RL obowiązują dwie zasady. Pierwsza nazywa się *niepredreszencjestwo* i polega na tym, że nie można „predeterminować” postulatów oderwania się od Moskwy narodów ZSSR aż do dnia plebiscytarnej wypowiedzi zainteresowanych. Druga nakazuje pilnować, by w programach dziesiętnastu sekcji nie dochodziło do głosu gwałtowne animozje narodowe, typowe dla imperium kolonialnego, co wiąże się też pośrednio z amerykańskim kamieniem filozoficznym dla całego BIB: nie wolno do niczego „nawoływać”. Że przestrzeganie by nikt do niczego nie „nawoływał” daje do rąk amerykańskiemu kierownictwu dość rozciągliwy i „odprężeniowy” instrument cenzury, widać lepiej na bliższym nam przykładzie RWE. W odniesieniu do RL wystarczy powiedzieć, że wymienione kanony pozostawiają jednak sekcjom narodowym znaczny margines swobody i autonomii. Łatwo to stwierdzić w sekcji ukraińskiej. Ukraińcy przypominają często w swych audycjach konstytucyjne *prawo wychoda*, dopomagają sobie obficie cytami ze swojej prasy, zarówno emigracyjnej jak nielegalnej w kraju, (warto tu nadmienić, że cytowanie z podaniem źródła cieszy się w ogóle w RL i RWE większą licencją niż *straight talk*), ilustrują pieczołowicie tradycje i przejawy odrębności swojej kultury. Skoro nie ma przeszkód w nadawaniu artykułów z kijowskiego *Wisnyka* i głośnego obecnie wśród Ukraińców eseju profesora Paracha *Czy będzie katastrofą dla Rosji rozpad jej imperium?* (odpowiedź Szafarewiczowi w miesięczniku *Suczasnist’*), sytuacja nie przedstawia się najgorzej. Osobny rozdział stanowią trzy sekcje bałtyckie, choćby przez sam fakt że włączono je do RL a nie do RWE, mimo nieuznawania przez Stany Zjednoczone inkorporacji Litwy, Łotwy i Estonii do ZSSR. Ale o tym będzie mowa dalej, w hipotezach dotyczących przyszłości amerykańskich działań radiowych.

Uderzającym i niepojętym błędem RL jest lekceważenie zjawiska tak bezspornego, jak wciąż powszechniejszy renesans religijności na całym terytorium ZSSR (a niekiedy jej narodziny w rudymen tarnej formie sekt). Schemat tematyczny RL wyznacza „sprawom religijnym” 1%, przeważnie w obrębie programów kulturalnych lub pogadań opartych na materiałach religijnego *samizdatu*. Państwo totalitarne, w którym nabożeństwa różnych wyznań i obrządków spotykają się z szykanami lub rozbijają o nieprzezwyciężalne trudności, zasługuje ze strony radia zagranicznego na więcej i przede wszystkim — inaczej.

Nawet bez dokładnego obrazu RL w dawnych latach, czyli podstawy do porównania, nie przesadzi się z pewnością przypuszczając, że zawdzięcza ono nowy wigor zastrzykowi świeżych emigrantów i dysydentów w ZSSR. Pierwsi bądź pracują stale

w Monachium, bądź współpracują z rozgłośnią za pośrednictwem jej biur i przedstawicielstw (zaopatrzonych w aparaturę do nagrywania) w innych miastach Zachodu. Drudzy są ciągle obecni w radiostacji poprzez najbogatszą bodaj na świecie, i codziennie wzbogacaną, kolekcję *samizdatu* z całego obszaru ZSSR; oczywiście do dyspozycji wszystkich redaktorów we wszystkich sekcjach. Prawdopodobnie nigdy przedtem RL nie miało tak żywego kontaktu z krajami imperium, tak bezpośredniego „dotknięcia” rzeczywistości sowieckiej. Wśród biur zagranicznych szczególną rolę odgrywa Paryż, gdzie przebywają i wciąż przybywają promineneci intelektualni nowej fali emigracyjnej. W studio paryskim zjawiają się Siniawskij, Maksimow, Niekrasow. W tych dniach nową audycję objęła Natalia Gorbaniewskaja, poetka rosyjska i inicjatorka *Kroniki bieżących wydarzeń*. Cotygodniowa audycja nazywa się *Wschodnioeuropejskie świadectwa i spotkania*, a ponieważ Gorbaniewskaja zna język polski i literaturę polską, nasz wkład do jej programu radiowego może być spory.

Dominującym wrażeniem w RL jest ekspansja, rozbudowa.



To wrażenie stwarza jaskrawy kontrast z atmosferą kryzysu, ograniczeń, przyciszenia w RWE (moim punktem obserwacyjnym była, rzecz jasna, sekcja polska). Nasuwa się hipoteza w ostrożnej postaci pytańnika: czy aby Amerykanie nie planują stopniowej redukcji RWE, do rozmiarów pozwalających na komasację z VOA, przy równoczesnym wzmacnianiu RL, użytecznego mimo wszystko w żegludze na mętnych i zdradliwych wodach *détente*? Kto tę hipotezę bierze w rachubę, podpira ją dwoma wskaźnikami: włączenie sekcji bałtyckich do RL, zamiast do RWE; ostre starcie między nowomianowanym dyrektorem RWE, który do dotychczasowej linii stacji i jej „zbyt emigranckiego” charakteru odnosi się równie krytycznie jak ambasadory amerykańskie w kadeelach (w imię „nie przeszkadzania dalszej poprawie stosunków z rządami”), i zastępcą dyrektora nawykłym w ciągu lat do nieco odmiennego rozumowania. Ale kłóci się trochę z tą hipotezą powzięta już podobno decyzja przeniesienia obu rozgłośni z Monachium do Stanów Zjednoczonych, podyktowana jakoby względami finansowo-administracyjnymi. Byłby to początek końca, wstęp do likwidacji radia w takim formacie w jakim istnieje dotąd. Odległość, bez większego znaczenia dla sprawności technicznej transmisji, odgrywa ogromną rolę z punktu widzenia psychologicznego; poczucia łączności z krajami, do których nadają RL i RWE, nie zdołałoby utrzymać rozszerzone nawet biuro paryskie. No i jest co najmniej wątpliwe, czy znalazłoby się wielu pracowników obu rozgłośni (mam na myśli emigrantów), gotowych wyruszać za ocean.

Prawdy należy się zapewne doszukiwać nie w hipotezach na temat „żelaznych” planów (których nie ma), lecz w zamęcie ścierających się i sprzecznych tendencji, w gonitwie improwizacji

i projektów to lansowanych to wycofywanych lub chwilowo zamrożonych. Pod tym względem radio jest wiernym odbiciem całej amerykańskiej *détente*, zwłaszcza w roku przedwyborczym. Pisano ostatnio o „paradoksach Kissingera”. Raymond Aron wskazał jeden: „Grając komedię prawie-przyjaźni ze Związkiem Sowieckim, Sekretarz Stanu przejawia zdecydowaną wrogość wobec rządów skłonnych ześliznąć się w kierunku komunizmu i sprzeciwia się brutalnie próbom, czasem niefortunnym, autonomii dyplomatycznej Europejczyków”. O innym dowiedzieliśmy się z *Time*: na grudniowej naradzie ambasadorów amerykańskich w Londynie bliski współpracownik Kissingera przestrzegł przed „nadmierem gorliwości” w odciąganiu od Moskwy krajów komunistycznych Europy Wschodniej, gdyż „ferment pluralistyczny w stylu Dubczeka mógłby nadać większą szacowność komunistom na Zachodzie”. Nazywanie tego „paradoksami” wydaje się daleko posuniętym eufemizmem.

Radio jest małą pochodną wielkiej amerykańskiej konfuzji (na dzisiaj) i niewiadomej (na jutro).



W każdym razie, tak jak rzeczy mają się obecnie, w sekcji polskiej panuje klimat niepewności i dezorientacji. Dołącza się do niej stan prowizorium: po dymisji poprzedniego kierownika, Jana Nowaka, jego następcą Zygmunt Michałowski zgodził się przyjąć jedynie stanowisko „pełniącego obowiązki”. Wzmogła się i zinstytucjonalizowała kontrola amerykańska: co dawniej było przedmiotem dyskusji z „doradcami politycznymi”, jest teraz ogólnym nadzorem bez twarzy. Węsenie w tekstach elementów „nawoływania” („czy mogłoby to być zinterpretowane jako nawoływanie?”) dochodzi niekiedy do absurdu. W sprawach bardziej delikatnych trzeba się wspinać na szczudła cytatów z prasy emigracyjnej, rezygnując z przemawiania wprost. Wielu pracowników znajduje się w wieku przedemerytalnym i nie wiadomo czy, a raczej w jakim stopniu, będą zastąpieni przez nowy narybek.

W ciągu ostatniego roku zdarzyło mi się rozmawiać z kilkoma przyjezdnymi z kraju, dość regularnymi słuchaczami RWE. Ich sąd był niemal jednobrzmiący: „Wciąż jeszcze najpopularniejsza radiostacja polska w kraju, ale to już nie to”. Nadszedł, być może, moment energicznej próby obrony przez SOLIDARNY zespół polski zagrożonych celów, dla których powołano rozgłośnie do życia blisko ćwierć wieku temu.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

18 marca 1976

Kraj

Dwa listy do prof. H. Jabłońskiego

Katowice, 10. III. 1976.

Adam Wojciechowski
Mariacka 14 m. 4

Przewodniczący
Ogólnopolskiego Komitetu
Frontu Jedności Narodu
Prof. Henryk Jabłoński
Warszawa

Panie Przewodniczący.

Zbliżają się wybory do Sejmu i Rad Narodowych. Przypadają one na dzień 21 marca br., a więc już za 11 dni.

Powodowany troską obywatelską i troską o interes wyborców pragnę poinformować Pana o stanie kampanii wyborczej na Śląsku.

Niedawno najwyższe oświadczenie państwowe, a Pan między nimi, oficjalnie oznajmiły cele i zasady kampanii wyborczej.

Należy je tutaj przypomnieć.

Podczas III Plenum KC PZPR p. Gierek powiedział:

„Przedwyborcze tygodnie, to wielka rozmowa ze wszystkimi ludźmi pracy, z całym narodem o najważniejszych sprawach teraźniejszości i przyszłości”.

A oto słowa p. Babiucha:

„Podstawową formą pracy po plenarnym posiedzeniu Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu będą spotkania przedwyborcze z kandydatami na posłów i radnych”.

Wreszcie Pan, podczas sesji OK F.J.N. w zakończeniu obrad rzucił te słowa:

„Pójdźmy do wyborców przedstawiając im cele i warunki od których zależy powodzenie realizacji naszych ambitnych zamierzeń”.

Z przykrością zawiadamiam Pana, że kampania wyborcza na Śląsku drepcze w miejscu. Nikt do wyborców nie spieszy i z niczym. Jak wiadomo, nowa ordynacja wyborcza skróciła czas trwania kampanii do 20 dni. Zgodnie z kalendarzem wyborczym ogłoszenie danych o kandydatach miało nastąpić najpóźniej do dnia 1 marca, tj. na 20 dni przed dniem wyborów. Jakoż ogłoszono je tuż przed upływem terminu. Na Śląsku, dane o kandydatach na posłów opublikowała *Trybuna Robotnicza* w sobotnim wydaniu z dn. 28. II. br.

Należało przypuszczać, że wobec skrócenia kampanii wyborczej, spotkania wyborców z kandydatami rozpoczną się niezwłocznie, poczynając od poniedziałku — 1 marca. Tak się jednak nie stało.

Okazało się, nawet po tej dacie, że wyborcy nie mogli się zapoznać z kalendarzykiem spotkań przedwyborczych i nadal mają trudności.

Oto szczegóły moich zabiegów w tej sprawie.

Jeszcze 27 lutego poszedłem do Wojewódzkiego Komitetu F.J.N. w Katowicach po informacje na temat spotkań z kandydatami na posłów i radnych. Poinformowano mnie, że moje zabiegi są przedwczesne i że po ogłoszeniu list kandydatów prasa codzienna poinformuje czytelników o terminach spotkań przedwyborczych. Uzyskałem też zapewnienie, że kalendarz spotkań jest już zatwierdzony i że w następnym tygodniu będę mógł otrzymać wyczerpujące dane od sekretarza komitetu. Trzeba stwierdzić, że prasa codzienna na Śląsku do dzisiaj nie podała ani jednej informacji o spotkaniach przedwyborczych, chociaż wcześniej nie brakło miejsca do publikowania wezwań przypominających wyborcom o potrzebie sprawdzania spisów wyborców.

Następne spotkanie z urzędnikiem Wojewódzkiego Komitetu wypadło 8 marca. Dowiedziałem się wtedy, że najbliższe spotkanie z kandydatami na posłów w okręgu katowickim wypadła 10 marca w Hucie „Baildon”. Udzielono mi rady, bym odtąd o szczegóły pytał w Miejskim Komitecie F.J.N., gdzie sekretarz Żwirek i przewodniczący Wojda udzielił mi wszystkich potrzebnych informacji. Dano mi do zrozumienia, że jestem natrętem i że Komitet Wojewódzki ma pilniejsze sprawy na tapecie niż informowanie wyborców.

Następnego dnia, po pracy, poszedłem do Miejskiego Komitetu, ale okazało się, że dyżurujący po godzinach pracy urzędnik był niepokieszony, nie mogąc mi udzielić żądanych wyjaśnień. Powiedział, że informacje na temat kalendarza spotkań z kandydatami mogą udzielać wyłącznie p.p. Żwirki i Wojda i że trzeba się do nich zgłosić w godzinach pracy. Zwolniwszy się z pracy, następnego dnia zastałem p.p. Żwirka i Wojdę w siedzibie komitetu. Oznajmiono mi, że Komitet Miejski nie dysponuje żadnymi informacjami na temat kalendarza spotkań z kandydatami na posłów. Nie udostępniono mi nawet kalendarzyka spotkań z kandydatami na radnych, a jedynie poinformowano, że najbliższe z tych spotkań wypadła 15 marca o godz. 15-ej.

Tak więc mam szansę spotkania się z kandydatami na radnych na pięć dni przed wyborami i to w godzinach pracy. W tej sytuacji wątpię czy będę mógł być obecny na spotkaniu.

Jeszcze tego samego dnia — 10 marca — wróciłem do do Komitetu Wojewódzkiego i zażądałem widzenia się z sekretarzem. Sekretarz, owszem, wyszedł z gabinetu, ale był niepokieszony, że nie może poświęcić mi nawet minuty swojego drogiego czasu. Zapewnił mnie jednak, że wszelkie informacje uzyskam od urzędnika, z którym widziałem się dwukrotnie. Ale i w tym przypadku czekał mnie zawód. Urzędnik nie wiedział nic pewnego o spotkaniach w okręgu katowickim, poinformował mnie natomiast że planowane na 10 marca spotkania z kandydatami na posłów w Hucie „Baildon” nie odbędzie się. Wyjaśnił też trudności na jakie napotyka organizacja spotkań w tym okręgu. Otóż, znajdujący się na pierwszym miejscu listy wyborczej p. Grudzień jest nadto zaabsorbowany niecierpiącymi zwłoki obowiązkami.

Trzeba jednak przyznać, że mogłem uzyskać informacje o spotkaniach w okręgach sąsiednich np. Tychy, Chorzów. I tym razem wyznaczono spotkanie na godz. 15-tą, tak że tylko niektórzy z wyborców będą mieli okazję do wzięcia udziału w „wielkiej rozmowie z ludźmi pracy”. Ponieważ sam jestem człowiekiem pracy, wypadnie mi chyba prosić o urlop, bym mógł wziąć udział w spotkaniu wyborczym i to z kandydatami nie w moim okręgu.

Tyle faktów a oto wnioski.

Stwierdzam kategorycznie, że na Śląsku, wyborcom, zwłaszcza pracującym, komitety F.J.N. nie ułatwiają udziału w kampanii wyborczej. Przeciwnie, wyborca napotyka na trudności w uzyskaniu informacji na temat kalendarza spotkań przedwyborczych.

Odpowiednie ogłoszenia powinny być wywieszone w siedzibach komitetów F.J.N.

Prasa codzienna powinna szeroko informować o terminach spotkań i kandydatach, którzy biorą w nich udział, tak jak to robiła przypominając o terminach sprawdzania list wyborców. Jeżeli bowiem — jak się oficjalnie głosi — głosowanie jest obowiązkiem obywatela, to obowiązkiem kandydatów jest możliwie szeroki udział w spotkaniach przedwyborczych. Jest niedopuszczalne by dyżurujący członkowie komitetów F.J.N. nie mogli informować wyborców o spotkaniach przedwyborczych, a wiadomości te były zastrzeżone wyłącznie kompetencji sekretarzy i przewodniczących, zwłaszcza że niektórzy z nich nie mają czasu dla wyborcy. Jest to niezrozumiałe zwyczaj, że są to pracownicy etatowi opłacani z kieszeni wyborcy. Jest to jeszcze tym bardziej niezrozumiałe, że sami organizują kampanię wyborczą pod hasłami walki z przejawami pracy niesumiennej i nieefektywnej. Nie można żądać od wyborcy by pracował wydajniej jeżeli opłacani przez niego pracownicy etatowi komitetów F.J.N. dają najgorszy przykład pracy niesumiennej.

Godziny spotkań przedwyborczych powinny być ustalone w dogodnych dla wyborcy godzinach, tak by miał on czas jeszcze przed spotkaniem posilić się i wypocząć.

Odnoszę wrażenie, że gremium wyborców to jedna wielka tabakiera, a zależni od jego woli kandydaci i cały aparat wyborczy to jeszcze większy nos. Powinno być odwrotnie.

Twierdzę, że wadliwie zorganizowana kampania wyborcza ogranicza prawa wyborców do poznania kandydatów i ich programu wyborczego. Wybory nie mogą być powszechne i równe jeżeli tylko niektórzy z wyborców, zwłaszcza wyborcy niepracujący, mają szansę spotkania ze swoim kandydatem. W rezultacie wielu innych, zwłaszcza pracujących będzie głosowało w ciemno jeżeli nie zmieni się organizacji spotkań. Czyż to nie leży w interesie rządzącej partii, która wysuwa na pierwszych miejscach list wyborczych dostateczną liczbę kandydatów, by mieć zapewnioną większość kwalifikowaną w nadchodzącym Sejmie?

Uważam, że jest jeszcze czas na to, by wydać stosowne zarządzenia. Mam nadzieję, że zechce mi Pan poinformować — już chociażby z tego tytułu że jest Pan kandydatem na posła a ja wyborcą — jakie zarządzenia będą wydane w sprawie organizacji spotkań z wyborców z kandydatami na posłów i radnych na Śląsku.

Do wiadomości: Komitet Centralny PZPR. Warszawa.

Adam Wojciechowski
Mariacka 14 m. 4
40-014 Katowice

Katowice, 13. III. 1976.

List otwarty do Pana Profesora Henryka Jabłońskiego
Przewodniczącego Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu.

Kampanię spotkań wyborców z kandydatami na posłów i radnych rozpoczęło spotkanie z p. Edwardem Gierkiem wyborców okręgu sosnowieckiego

w dniu 9. III. br. w Sosnowcu, a więc zaledwie na 11 dni przed dniem wyborów.

Od tej chwili, prasa codzienna na Śląsku przynosi lawinę informacji na temat spotkań przedwyborczych, pomijając całkowitym acz niezrozumiałym milczeniem tematykę przyszłych spotkań przedwyborczych. Czytelnicy nie są informowani o terminach przyszłych spotkań i nie wiedzą którzy kandydaci na nich wystąpią.

Oto szczegóły spotkania wyborców z okręgu tyskiego z kandydatami na posłów z tego okręgu, w którym brałem udział.

Spotkanie wyznaczono na dzień 12 marca w Spółdzielczym Domu Kultury „Tęcza” w Tychach, o godzinie 16-ej. Informację na ten temat uzyskałem po długich staraniach — jak to już opisywałem Panu w poprzednim liście — z ust urzędnika Wojewódzkiego Komitetu F.J.N. w Katowicach p. Sobolewskiego. Poinformowano mnie, że jest to spotkanie otwarte i zaproszono do wzięcia w nim udziału.

Przed wejściem na salę ustawiono stolik, na nim wyłożono listę uczestników spotkania. Dyżurnicy urzędnik sprawdzał nazwiska na liście. Podałem swoje nazwisko, ale nie było go w spisie.

— Kto towarzysza tu przysłał? — padło aroganckie pytanie. — Odpowiedziałem, że jestem tutaj na zaproszenie towarzysza Sobolewskiego z Wojewódzkiego Komitetu F.J.N. w Katowicach. Urzędnik zanotował moje nazwisko na liście i dopiero wtedy wpuszczono mnie na salę. Tuż przed godziną 16-tą, do mikrofonu podszedł młody aktywista i oznajmił:

Jesteśmy tutaj w gronie aktywistów i nie trzeba wielu słów, aby wyłumaczyć towarzyszym, że zależy nam na szczególnie gorącej atmosferze dzisiejszego spotkania. Jest to pierwsze spotkanie przedwyborcze w okręgu tyskim i jak wicie gościmy u nas członka KC i sekretarza KW PZPR w Katowicach tow. Legomskiego. Mówiąc krótko tow. Legomski wkroczy na salę na czele kandydatów, przejdzie szpalerem do stołu prezydialnego, należy powstać i zgłować wchodzącym niemilkłą owację, aż do momentu w którym goście zajmą miejsce za stołem. Potem wręczymy wiązanki kwiatów i nastąpi prezentacja kandydatów. Jako pierwszy zostanie przedstawiony tow. Legomski, należy powstać i zgłować owację. Przy przedstawianiu innych kandydatów wstawanie z miejsca nie jest konieczne. Potem będą wystąpienia zaproszonych towarzyszy z zakładów pracy, a na koniec wystąpi tow. Legomski. Przemówienie należy przerywać oklaskami. Myślę że nie trzeba towarzyszom wskazywać odpowiednich momentów przemówienia, sami najlepiej z własnej praktyki wicie w jakich momentach należy przerywać. Później, kandydaci opuszczają salę w ten sam sposób w jaki weszli, należy powstać i zgłować długą niemilkłą owację.

Wszystko odbywało się zgodnie z planem. Przewodniczący spotkania nie zwrócił uwagi, że jest to spotkanie przedwyborcze, podczas którego najpierw powinni występować kandydaci, prezentując swój program wyborczy, a dopiero później powinna być otwarta dyskusja nad wystąpieniami kandydatów, z prawem każdego obecnego na sali do zabrania głosu, zakończona odczytaniem postawionych wniosków i postulatów wyborczych i wreszcie odpowiedź kandydatów na wnioski, wraz ze zobowiązaniem się do popierania wniosków słusznych.

W sąsiedztwie usłyszałem charakterystyczną rozmowę dwóch aktywistów: Jeden z nich zapytał: — Czy towarzysze przygotowali głos w dyskusji? — Na to drugi: — Skądże, byliście przecież ze mną na spotkaniu z Gierkiem w Sosnowcu. Platforma wyborcza jest jedna i nie ma koncertu życzeń! — Po zaaranżowanych wystąpieniach przedstawicieli zakładów fabrycznych, które były zwartymi w treści meldunkami produkcyjnymi, czytany z kartki, bez wniosków i postulatów wyborczych i pięknego, a co ważniejsze wygłoszo-

nego przemówienia przedstawicielki Z.M.S., przewodniczący rozpoczął introdukcję wystąpienia tow. Legomskiego.

Dotychczas spotkanie toczyło się zgodnie z przygotowanym uprzednio scenariuszem, w tym momencie wstałem i zgłosiłem zamiar zabrania głosu w dyskusji. Przewodniczący próbował zignorować wniosek o udzielenie głosu i tylko łaskawości tow. Legomskiego zawdzięczam, że mogłem zająć miejsce przed mikrofonem. Przewodniczący nie ograniczył z góry czasu mojego przemówienia.

Mówiłem o skracaniu czasu pracy, zwracając uwagę, że uchwała VI Zjazdu PZPR nakazała wprowadzenie powszechnego 42-godzinnego tygodnia pracy poczynając od 1976 roku, oraz że nakazała bezwarunkowo zniesienie tzw. niedziel planowych w górnictwie.

Przez kilka minut zebrani słuchali w głębokim milczeniu, kiedy mówiłem że już 46 lat temu, podczas kampanii wyborczej do II Sejmu Śląskiego w 1930 roku KPP, występująca z listą Bloku Jedności Robotniczo-Chłopskiej występowała z hasłem 7-godzinnego dnia pracy, a więc 42-godzinnego tygodnia pracy. Pokazałem zebranym ulotkę wyborczą z tego czasu, żeby nie było żadnych wątpliwości. Przypomniałem też programy SDKPiL, oraz PPS-Lewicy, które przed 70-ciu laty domagały się dla robotników co najmniej 36 względnie 40-godzinnego nieprzerwanego wypoczynku raz w tygodniu. Twierdziłem, że utrzymywanie przez obecne kierownictwo partyjne planowych niedziel w górnictwie jest nie tylko sprzeczne z uchwałą najwyższej władzy partyjnej, ale sprzeczne z przepisami kodeksu pracy, gdyż niedziele planowe wydłużają tydzień pracy górnika ponad dopuszczalną normę 48 godzin pracy w tygodniu, a ponadto jest naruszeniem art. 69 Konstytucji PRL, który gwarantuje obywatelowi prawo do wypoczynku w ustawowo określone dni wolne od pracy.

Na zakończenie postawiłem dwa wnioski wyborcze: o uchwalenie w trakcie następnej kadencji Sejmu ustawy o powszechnym 42-godzinnym tygodniu pracy i zniesienie tzw. niedziel planowych w górnictwie, co wreszcie byłoby wykonaniem uchwały VI Zjazdu.

Przy końcu mojego wystąpienia podniósł się z sali głosy warcholów, którzy próbowali zakłócić przemówienie, ku arobacie przewodniczącego zebrania, który nawet nie próbował przywracać spokoju na sali, a nawet wezwał mnie do skrócenia przemówienia, dając mi na to trzy minuty.

Część tego czasu użyłem na uspokojenie warcholów i rozrabiaczy zwracając im uwagę, że gardlują przeciwko uchwale VI Zjazdu. Dopiero ten argument przywrócił spokój na sali, tak że mogłem dokończyć przemówienie. Wezwałem sekretarza zebrania do zapisania w protokole wniosków zgodnie z przepisem § 3 ust. 2 Zarządzenia Prezesa Rady Ministrów w sprawie przyjmowania, ewidencji oraz realizacji postulatów i wniosków przedwyborczych z 1976 roku Nr 10 (M.P. Nr 5 poz. 23), a kandydatów na posłów do oceny słuszności moich wywodów, zgodnie z przepisami tegoż zarządzenia.

Niestety. Żądanie moje zostało zignorowane. Z kandydatów wystąpił tylko tow. Legomski, który w związku z moimi wnioskami powiedział, że niektórym najłatwiej powiedzieć — daj.

Wkrótce spotkanie zakończyło się i opuściłem salę śledzony przez aktywistę który zapowiadał scenariusz spotkania. Dostrzegłem też, jak mnie wskazywał dwom osobnikom, którzy natychmiast mnie zatrzymali i odwieźli do Komendy Miejskiej M.O. w Tychach, pod niezręcznie dobranym pretekstem ustalenia tożsamości, mimo że podczas zebrania przedstawiłem się zebrany, a po zatrzymaniu wylegitymowałem się książeczką wojskową.

W ten sposób podzieliłem los kandydatów na posłów z ramienia KPP kandydujących do II Sejmu Śląskiego: Komandra, Wieczorka, Janasa, których aresztowała policja sanacyjna, po ich spotkaniach z wyborcami.

Następnego dnia zostałem zwolniony z aresztu. Kupiłem *Trybunę Robotniczą* i przeczytałem sprawozdanie ze spotkania przedwyborczego w Tychach. Nie było ani słowa o wnioskach wyborczych jakie postawiłem — jedyne wnioski, jakie zostały zgłoszone do protokołu na tym spotkaniu.

Tyle faktów, a oto wnioski.

Spotkania przedwyborcze na Śląsku nie są spotkaniami otwartymi dla wszystkich wyborców, co ogranicza ich prawo do poznawania kandydatów na posłów i ich programów wyborczych. W rezultacie, jeżeli zechcą głosować będą głosowali w ciemno.

Skoro wyborcy nie są dopuszczani do spotkań, nie mogą brać udziału w dyskusji przedwyborczej która, jak na ironię, została nazwana przez Edwarda Gierka „wielką rozmową z wszystkimi ludźmi pracy, z całym narodem”.

Tymczasem jest to rozmowa większych aktywistów z aktywistami-klakierami, w której wszyscy ludzie pracy nie tylko nie mogą brać udziału, ale nawet nie mogą jej się przysłuchiwać, a mogą jedynie czytać kałubrowe sprawozdania z tych rozmów w prasie codziennej.

Kto się ośmieli zabrać głos, jest narażony na rozrabiackie napaści aktywistów-warechołów.

Zresztą nawet aktywiści-klakierzy nie mogą w praktyce zabierać głosu w dyskusji, gdyż nie ma miejsca na ten swoisty „koncert życzeń”.

Stwierdzam kategorycznie, że zarządzenia najwyższych osobistości państwowych w sprawie powszechności kampanii wyborczej i udziału wyborców w spotkaniach z kandydatami na posłów są bojkotowane.

Mamy do czynienia z samowolnym ograniczeniem obywatelskich praw wyborczych przez kacyków partyjnych na Śląsku. Należy temu położyć kres! W tym celu należy wydać stosowne zarządzenia, które uczynią spotkania przedwyborcze prawdziwie otwartymi dla wszystkich wyborców. Ponieważ zostało niewiele czasu — 6 dni kampanii wyborczej — należy zwołać w stolicy Śląska, w Katowicach, wielki wiec wyborczy, dając prawo do wystąpienia śląskim wyborcom. Niniejszym zgłaszam swój udział w dyskusji na tym wiecu.

Wiem też, że i w innych rejonach kraju ogranicza się udział wyborców w spotkaniach przedwyborczych np. w Kędzierzynie, w opolskiem, spotkanie przedwyborcze odbyło się za zaproszeniami.

Dlatego powodowany troską obywatelską i chcąc przyjść z pomocą Panu Przewodniczącemu, który sam będąc kandydatem na posła, czyni niestrudzone wysiłki, dla zagwarantowania obywatelskich praw wyborczych, wysyłam kopie tego listu do przewodniczących komitetów F.J.N. w całym kraju.

Nie liczę na nagrodę, ale na pomoc z Pana strony, w zapewnieniu wszystkim wyborcom w naszym kraju prawa do poznania kandydatów na posłów i radnych, byśmy mogli wspólnie czuć satysfakcję, że w wyborach do Sejmu PRL w 1976 roku wzięli udział wyborcy świadomi tego kogo wybierają i na jaki program wyborczy głosują.

Do wiadomości: Komitet Centralny PZPR — Warszawa.

Przewodniczący Wojewódzkich Komitetów F.J.N. — w całym kraju.

Episkopat a zmiany Konstytucji

PRO MEMORIA

Z POSIEDZENIA RADY GŁÓWNEJ EPISKOPATU

Warszawa, 17. II. 1976

Pismem z dnia 25 listopada 1975 przedłożyliśmy zastrzeżenie dotyczące treści „Wytycznych” na VII Zjazd Partii. Wystąpiliśmy energicznie przeciw sformułowanom świadczącym ponownie o totalitaryzmie ideologii marksistowsko-leninowskiej partii i władzy państwowej.

Z tego źródła pochodzą następujące sformułowania:

1. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza stanowi siłę przewodnią Państwa (III, 4).
2. Całe formowanie osobowości nowego pokolenia opiera się na zasadach ideologii socjalistycznej i materialistycznej („światopogląd naukowy”, II, 4. V, 7).
3. Całe społeczeństwo, jak również wyższe nauczanie, winny być podporządkowane rzeczywistości socjalistycznej poprzez podniesienie roli nauk społecznych marksistowsko-leninowskich i to na wszystkich szczeblach i we wszystkich kierunkach studiów (V, 31-32).
4. Z uwagi na przeobrażenia społeczne wsi, polityka Państwa będzie zmierzać do kolektywizacji.
5. „Wytyczne” pozwalają na wolność zaspakajania potrzeb religijnych wierzących, ale równocześnie wymagają by każdy członek Kościoła Katolickiego przestrzegał lojalności wobec socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego jako stałej formy konstytucyjnej rozwoju Polski, jak również wobec podstawowych zasad polityki wewnętrznej i zagranicznej Państwa (III, 11).

Rezolucje VII Zjazdu Partii odnoszące się do „Wytycznych” uległy licznym istotnym poprawkom; pominięto całkowicie sformułowania części III nr 11 dotyczące Kościoła i religii.

Propozycje konkretne odnośnie zmian Konstytucji są sformułowane ogólnikowo i z powściągliwością.

Nie mówi się o kolektywizacji.

Kwestie wychowania i ideologii przeniesiono z części dotyczącej zadań państwa do części ostatniej, która zajmuje się zadaniami i obowiązkami partii.

PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO — TEKST NIEAUTORYZOWANY

KONFERENCJA EPISKOPATU POLSKI

Warszawa, 9 stycznia 1976.
ul. Miodowa 17.

Prof. Henryk Jabłoński
Przewodniczący Komisji Nadzwyczajnej dla przygotowania
projektu ustawy o zmianie Konstytucji
Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej
Przewodniczący Rady Państwa
w Warszawie

Utworzenie przez Parlament Republiki Polskiej w dn. 19 grudnia 1975 Komisji Nadzwyczajnej dla przygotowania projektu ustawy o zmianie Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej stanowi wydarzenie o wielkim znaczeniu. Konstytucja jest bowiem ustawą podstawową, posiadającą przede wszystkim charakter normy prawnej. Zamierza się dokonać nieodzownych zmian Konstytucji, nie chodzi jedynie o poprawki tego czy innego paragrafu, jak to miało miejsce ostatnio, z okazji nowego podziału administracyjnego kraju. W obecnej chwili całe społeczeństwo jest żywo zainteresowane w zmianach konstytucyjnych ponieważ zapowiedziane zmiany dotyczą istotnych praw Narodu i wszystkich jego warstw społecznych. Komisja stanęła więc wobec niełatwego zadania. Winna przygotować taki projekt zmian, który mógłby być przyjęty przez cały naród, projekt który uwzględniłby wszystkie jego oczekiwania jako całości, a nie tylko interes jednej partii politycznej.

Dobrze zrozumiały interes Państwa polega na konieczności liczenia się z wolą całego Narodu, społeczeństwa a zwłaszcza ludności wiejskiej i robotniczej, jej uczuć i jej możliwych reakcji. Polska, jako ojczyzna wszystkich obywateli, jest jedna, niepodzielna, silnie zakorzeniona w swej tysiącletniej historii i kulturze. Ta świadomość powinna inspirować prace Komisji Nadzwyczajnej.

Celem zmian konstytucyjnych winno być obudzenie we wszystkich obywatelach troski o wspólną ojczyznę, o jej postęp, bezpieczeństwo i prestiż w świecie. Zmiany nie mogą jedynie zatwierdzać faktów, które nie zawsze były zgodne z interesem i aprobatą całego Narodu. Poprawki do Konstytucji powinny w sposób bardzo jasny i dokładny określić równość wszystkich obywateli, zabezpieczyć właściwe prawa godności człowieka i obecnego porządku międzynarodowego.

Opierając się na dokumentach dotąd opublikowanych i na oświadczeniach czynników politycznych, trudno dojrzeć te wytyczne w pewnych proponowanych zmianach konstytucyjnych. Niepokój i troskę narodu podziela Episkopat Polski, który, pozostawiając na boku kwestię ustroju, sojuszków i inne sprawy polityczne, zmuszony jest wskazać konkretne motywy zaniepokojenia.

Wywołuje obawę tendencja do uchwalenia w Konstytucji przewodniej roli jedynej partii w Państwie polskim. Jeśli Komisja Nadzwyczajna nada tej tendencji formę normy prawnej, określonej w jednym z artykułów Konstytucji, może to zagrozić pluralizmowi społeczności polskiej. Doprowadziłoby to faktycznie do tego, że Państwo stałoby się podmiotem systemu ideologicznego, niemożliwego do przyjęcia np. przez wierzących, którzy stanowią znaczną większość obywateli; dałoby początek monopolowi wychowywania przez ten system, itd. Zniesione byłoby resztki demokracji i ograniczone uprawnienia parlamentu i rządu. Wszystko to mogłoby mieć konsekwencje socjalne i polityczne o dużym zasięgu. Równie niepokojąca jest tendencja, zmierza-

jąca do uchwalenia w Konstytucji przynależności Polski do światowego bloku socjalistycznego i nierozzerwalności braterskich więzów ze Związkiem Radzieckim. Niepokój ten nie wypływa z kwestionowania przynależności Polski do bloku socjalistycznego lub z wrogich uczuć wobec jakiegokolwiek narodu sąsiedniego, lecz z faktu, że taka sytuacja może prowadzić do ograniczenia suwerenności Polski i do ingerencji państw sąsiednich w jej sprawy wewnętrzne. Jeśli ta tendencja byłaby wzięta pod uwagę, społeczeństwo — bardzo wrażliwe na zagadnienie pełnej suwerenności — odczułoby ją jako zamach na swą państwowość i godność.

Bez oceniania polityki zagranicznej należy podkreślić, że stosunki Polski, jako państwa suwerennego, z innymi państwami opierają się na tych samych zasadach bez różnicy czy te państwa są socjalistyczne czy o innym ustroju. Takie zasady są uznane za wiążące na Konferencji w Helsinkach, to znaczy: suwerenna równość; poszanowanie praw wypływających z suwerenności; powstrzymanie się od groźby użycia przemocy zbrojnej lub użycia jej; nienaruszalność granic; integralność terytorialna państw; pokojowe rozwiązywanie sporów; nieingerowanie w sprawy wewnętrzne; poszanowanie praw człowieka i podstawowych wolności do których zalicza się wolność myśli, sumienia, religii i ideologii; równość praw i obowiązków i prawo narodów do samostanowienia; współpraca pomiędzy państwami; wykonywanie w dobrej wierze zobowiązań wynikających z prawa międzynarodowego.

Nasze żywe zainteresowanie wywołała zapowiedź zmian konstytucyjnych odnośnie tych artykułów, które dotyczą praw i obowiązków obywateli. Istnieje jednak obawa, że w chwili formułowania tych praw i obowiązków przeważą jedyna koncepcja ideologiczna. Dlatego należałoby w tym przypadku uwzględnić przynajmniej uchwały „Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka” i „Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka”. Obydwa te dokumenty zostały potwierdzone przez Wielką Kartę Pokoju w Helsinkach.

Episkopat Polski, po wyrażeniu swego zaniepokojenia, przedkłada Komisji Nadzwyczajnej postulaty jakie powinny być omówione i uwzględnione podczas prac redakcyjnych nad projektem zmian Konstytucji po to, aby nabrała ona takiego kształtu by wszyscy obywatele czuli się pewni swych praw, ponieważ tylko zagwarantowanie ich stanowi podstawę dla wykonywania obowiązków. Episkopat Polski ogranicza się jedynie do wyczerpania postulatów podstawowych dla każdego normalnego reżymu, szczególnie w naszych czasach, w których świadomość praw obywatelskich jednostki jest najbardziej odczuwana, a wartość jak również postęp reżymu społeczno-politycznego zależą od uznania prymatu osoby ludzkiej w społeczeństwie i wolności korzystania z tych praw. Każdy reżym, który by się z tym nie liczył będzie opóźniony w swym rozwoju, a więc kaleki.

1. Państwo powinno szanować i ochraniać prawa Osoby-Człowieka-Obywatela.

Zobowiązanie to wypływa z prawa naturalnego, jest zagwarantowane uchwalonymi umowami międzynarodowymi i winno być zagwarantowane przez normy Konstytucji.

Państwo ma obowiązek czuwania, by te prawa były chronione i szanowane przez władze administracyjne na każdym szczeblu. Państwo jest zobowiązane do stworzenia takich warunków społecznych, zawodowych i gospodarczych, aby obywatel mógł bez obawy korzystać z tych praw zarówno dla dobra osobistego jak i dla dobra społecznego.

Pokój społeczny i normalny rozwój Państwa zależą od chęci i możliwości korzystania przez obywateli z ich podstawowych i nienaruszalnych praw. Państwo zatem, we własnym interesie, winno nie tylko bronić tych praw, lecz stwarzać takie warunki życia społecznego, które pozwalają obywatelom na używanie ich bez obaw.

Rozdział Konstytucji odnoszący się do człowieka jako osoby i obywatela, powinien być szeroko rozwinięty na podstawie Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka, Wielkiej Karty Pokoju z Helsinek jak również zgodny z duchem encyklik: „Pacem in terris” Jana XXIII i „Populorum Progressio” Pawła VI.

2. Państwo jest zobowiązane do starania się, by prawa rodziny były szanowane i by jej udzielano pomocy, koniecznej dla spełniania przez nią jej obowiązków naturalnych.

Rodzina stanowi podstawową komórkę społeczną, najmniejszą, lecz najtrwalszą, o sile twórczej socjalno-biologicznej, która dostarcza obywateli Narodowi i Państwu. Bez jej pomocy Państwo nie mogłoby istnieć.

Rodzina jest naturalnym sojusznikiem Narodu i Państwa ponieważ jest dla nich nieodzowna. Z drugiej strony rodzinie potrzebna jest pomoc Narodu i Państwa. Nie zachodzą racje, mogące uzasadnić politykę Państwa przeciwstawiającą się urodzeniom (przeciw przyrostowi naturalnemu).

Państwo jest zobowiązane do troski o poszanowanie praw rodziny, oraz takiej pomocy, która pozwalałaby jej wypełniać obowiązki wychowawcze, społeczno-moralne, religijne i narodowe.

Oto dlaczego pozycja rodziny powinna być uprzywilejowana w społeczności politycznej. Państwo winno uczynić wszystko by rodzina mogła w pełni korzystać — w granicach praw i obowiązków — z dóbr społecznych i gospodarczych wspólnoty narodowej.

Nawet jeśli rodzina nie byłaby w stanie wypełnić wszystkich obowiązków wobec wspólnoty politycznej — nie może być pozbawiona tego wszystkiego, co zapewnia jej egzystencję. Konstytucja powinna więc gwarantować wszystkie prawa naturalne rodziny, bronić jej integralności i stwarzać warunki sprzyjające jej rozwojowi moralnemu, biologicznemu i społecznemu. Rodzina winna posiadać priorytet w stosunku do innych grup społecznych, zawodowych i politycznych. Jej prawa powinny być uwzględniane przy planowaniu zatrudnienia i produkcji jak również przy rozdziale dóbr.

3. Tak jak Rodzina podobnie Naród jest naturalnym sojusznikiem Państwa — szczególnie w takiej wspólnotcie krajowej jak Polska, złożonej w przytłaczającej większości z Polaków żyjących na terytorium polskim.

Toteż dla normalnego rozwoju instytucji państwowych i pokoju społecznego, Państwo jest zobowiązane do otoczenia Narodu prawną i popierania jego kultury, tradycji i zdrowego obyczaju. Państwo jest zobowiązane do szanowania przeszłości i dziejów Narodu i strzeżenia normalnego rozwoju jego egzystencji społeczno-biologicznej.

Naród — także w ramach wspólnoty międzynarodowej — nie może utracić swej tożsamości narodowej i kulturalnej. Dobro Narodu wymaga zaś by jego historia była szanowana, przedstawiana obiektywnie i w całości. Państwo nie może wyrzec się własnej kultury pierwotnej także w stosunkach międzynarodowych. W rzeczywistości każdy naród jest zobowiązany do niezależnego wkładu do rozwoju własnej kultury i wzbogacenia w ten sposób dziedzictwa społeczno-kulturalnego całej rodziny ludzkiej (por. Encyklika „Pacem in terris” Jana XXIII-go i „Populorum progressio” Pawła VI-go).

Konstytucja powinna więc stwarzać warunki sprzyjające postępowi Narodu, zgodnego z jego dziejami, kulturą i zasługami. Naród nie może być wchłonięty przez organizmy ponadnarodowe lub ponadpaństwowe.

4. Należy szanować prawo biskupów do wypowiedzania się na tematy dotyczące spraw wspólnej Ojczyzny, ponieważ duchowieństwo i katolicy świeccy z uwagi na fakt przynależności do Kościoła nie przestają być obywatelami i jako tacy stanowią podmiot wszystkich praw i obowiązków obywatelskich; z tytułu ich przynależności do Kościoła ciąży na nich obo-

wiazki religijne; mają więc prawo do takich warunków egzystencji i pracy, które im umożliwiają spełnianie tych obowiązków.

Obywatele wierzący, z tytułu ich przynależności do Kościoła, mają prawa i obowiązki religijne, wchodzące w skład podstawowych praw człowieka. Państwo winno więc gwarantować wolność przekonań, wolność religijną i wolność kultu, jak również wolność działalności Kościoła, do którego obywatele wierzący należą i w którym jedynie posiadają zagwarantowaną wolność sumienia i wyznania.

Kościół, służąc obywatelom zgodnie ze swym powołaniem, powinien korzystać w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z takich praw, które umożliwiłyby mu wypełnianie bez przeszkód swych obowiązków.

Złożony charakter osoby ludzkiej wskazuje na szeroki zasięg istotnych praw i obowiązków. Każda istota ludzka korzysta z podstawowych praw indywidualnych, które wypływają z jej natury, a nie są nakładane przez jakąkolwiek władzę.

Z tą zasadą należy liczyć się przy redagowaniu Konstytucji.

5. Kościół związany z Narodem poprzez wspólne dzieje, służbę i zasługi, posiada prawo do stosownego poszanowania i oceny swego posłannictwa. Ani Kościół więc ani jego członkowie nie mogą być przedmiotem dyskryminacji lub poniżania w prasie, radiu, telewizji, teatrze itd.

Kościół jako społeczność pochodzenia bożego wypełniająca swą misję zbawczą — prowadzenia ludzi do Boga — ma na ziemi własne obowiązki, które musi spełniać wobec wszystkich swych członków doń przynależnych.

Wobec tych wiernych Kościół ma własne obowiązki religijno-moralne i wyznaniowe. W spełnianiu ich Kościół nie może napotykać na przeszkodę ponieważ posiada prawo do współpracy ze swymi wiernymi.

Również wierni należący do Kościoła mają swe obowiązki i prawa religijne. Wypełnianie tych obowiązków i korzystanie z tych praw nie może być ograniczane przez żaden porządek państwowy prawno-administracyjny.

Wolność posłannictwa i wolność sumienia, wyznania prywatnego i publicznego obywateli warunkują pokój społeczny w życiu Narodu i Państwa.

Z tym ściśle są związane żądania wymienione w punktach 4 i 8 niniejszego memoriału.

6. Konstytucja powinna gwarantować Państwu możliwość spełnienia obowiązków za pośrednictwem kompetentnych instytucji: Sejmu, niezależnego Sądownictwa, urzędów, związków zawodowych itd. Im bardziej są szanowane właściwe prawa Osoby, Rodziny, Narodu i Zawodu, tym bardziej obrona Państwa jest skuteczna.

W Państwie jako instytucji społeczno-politycznej utworzonej przez Naród, tkwią w sposób immanentny czynniki naturalne, postulujące i wspierające porządek życia i współżycia. Dalsze prawa Państwa są mu powierzone przez Naród i społeczeństwo.

Państwo dla wypełniania swych obowiązków winno tworzyć stosowny Rząd, którego prawa i obowiązki ustala Konstytucja. Rząd winien być świadomy swych obowiązków wobec wszystkich warstw społecznego Narodu i realizować je bez przeszkód. Obowiązki rządu i jego kontrola nie mogą być podejmowane przez organizacje polityczne, ponieważ obowiązki te są podyktowane potrzebami wszystkich obywateli.

Sejm powstały z wolnych wyborów, opartych na pięciu zasadach konstytucyjnych, warunkuje normalne funkcjonowanie rządu, który jedynie wówczas będzie strażnikiem wszystkich praw i obowiązków obywateli, rodziny, narodu, wspólnot zawodowych, kulturalnych, społecznych i innych, tworzonych przez społeczeństwo dla swego normalnego rozwoju.

Należy więc ochraniać autentyczne życie zawodowe, posiadające w organizacji społeczno-gospodarczej Państwa doniosłą funkcję. Ponadto nie można

ignorować faktu, że znaczna część ludności w Polsce jest rolnicza i że na niej ciąży brzemię wyżywienia Narodu. Znaczenie tej licznej warstwy społecznej winno być doceniane i jej praca szanowana po to, by zachować równowagę pomiędzy wkładem pracy ludności zatrudnionej w przemyśle i w rolnictwie. Należy otaczać troską indywidualnych rolników, udzielając im koniecznej pomocy.

Organizacje zawodowe są konsekwencją naturalnego rozwoju życia społeczno-gospodarczego i powinny jako takie cieszyć się niezależnością w granicach określonych potrzebami danego zawodu i pogranicznych działów pracy ludzkiej.

Od istnienia wymienionych wyżej instytucji i ich normalnego funkcjonowania w ramach wspólnoty państwowej zależy pokój społeczny i pomyślność osoby ludzkiej, Rodziny, Narodu i samego Państwa. Im bardziej te prawa są szanowane, tym bardziej istnienie i autorytet Państwa są nieetykalne.

7. Prawa Narodu i Państwa — dla zachowania pełnej suwerenności w dziedzinie kultury narodowej, wolności gospodarczej i własnych celów — powinny być zagwarantowane w Konstytucji.

Naród na równi z Państwem winien mieć zagwarantowane prawo do całkowitej suwerenności w dziedzinie kultury narodowej i wolności ekonomicznej, to znaczy decyzji i planowania zatrudnienia, wyboru kierunków gospodarki, i pełne prawo do owoców pracy, które powinny przede wszystkim zaspakajać potrzeby obywateli własnego Państwa i tworzyć majątek narodowy. Suwerenność ekonomiczna jest jednym z warunków suwerenności politycznej. Wymaga ona jawności życia publicznego i społeczno-gospodarczego, kontroli społecznej gospodarki wewnętrznej i wymiany międzynarodowej.

Suwerenność w dziedzinie kultury narodowej wymaga całkowitej wolności Narodu i Państwa w decydowaniu o kierunkach rozwoju tej kultury, o sposobach postępowania się własną historią, teatrem, sztuką, wydawnictwami, bez ingerencji cenzury politycznej. Wolność ta nie może być ograniczana przez żadną potęgę zagraniczną.

Suwerenność Państwa i Narodu stanowi walor nieodwołany. Podstawową przesłanką poszanowania praw jednostki jest przestrzeganie prawa narodów do samostanowienia (por. Karta Narodów Zjednoczonych).

8. Należy ponadto liczyć się z postulatami Episkopatu Polski, sformułowanymi w memoriałach do Rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a dotyczącymi podstawowych praw obywatelskich, a więc z:

Memoriałem Konferencji Episkopatu Polski z 12. III. 1975 Nr 838/75/P., gdzie wyliczone są najważniejsze dokumenty Episkopatu, skierowane do Rządu Polskiej Rzeczypospolitej. Objasniają one żądania Episkopatu i katolików i powinny być wzięte pod uwagę w zmianie Konstytucji.

Wystarczy przypomnieć między innymi:

- memoriał Episkopatu Polski do Rządu PRL w sprawie niebezpieczeństw, zagrażających życiu biologicznemu i moralnemu Narodu polskiego, Nr 1929/70/P. z 18. VI. 1970;
- memoriał Episkopatu Polski do Rządu PRL w sprawie wolności religijnej jako podstawy normalizacji stosunków pomiędzy Państwem i Kościołem, Nr 226/73/P. z 31. X. 1973;
- memoriał Episkopatu Polski do Rządu PRL o istotnych problemach kultury chrześcijańskiej w Polsce z 30. I. 1974;
- memoriał Episkopatu Polski o wychowaniu młodzieży, skierowany do Komitetu Ekspertów dla przygotowania raportu o stanie oświaty w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, z 23. III. 1972;

- uwagi do projektu ustawy o zapobieganiu i walce przeciw pasożytnictwu społecznemu, z 15. V. 1971;
- oświadczenie w sprawie wychowania młodzieży katolickiej w Polsce, z 14. IX. 1973;
- pismo urzędowe do Rządu PRL w sprawie gwarancji wolności sumienia i wyznania młodzieży, która uczęszcza do szkół a zwłaszcza do wyższych uczelni — zgodnie z Konstytucją naszego Państwa, Nr 226/74/P., z 24. I. 1974;
- uwagi Episkopatu Polski o projekcie Kodeksu Pracy, Nr 820/74/P., z 6. IV. 1974.

Przedkładając te postulaty, Episkopat Polski ma nadzieję, że Komisja Nadzwyczajna dla przygotowania projektu ustawy o zmianach Konstytucji PRL — wspólnie z Sejmem — zbadą i będzie liczyć się z zastrzeżeniami, propozycjami i żądaniami Episkopatu, które — w interesie przyszłości naszej Ojczyzny i Narodu polskiego — odpowiadają trosce z jaką Episkopat je przekazuje.

Sądzymy, że te elementarne wymogi każdego zdrowego systemu będą wzięte pod uwagę w Projekcie Ustawy Konstytucyjnej, przygotowanym przez Komisję Nadzwyczajną.

Episkopat Polski zastrzega sobie prawo złożenia dalszego oświadczenia po zaznajomieniu się z oficjalnym projektem zmian Konstytucji.

W imieniu Episkopatu Polski

Przewodniczący

Konferencji Episkopatu

Sekretarz Konferencji Episkopatu
(—) † Bronisław DĄBROWSKI

(—) † Stefan Kard. WYSZYŃSKI
Prymas Polski

PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO — TEKST NIEAUTORYZOWANY

ZASTRZEŻENIA EPISKOPATU PRZEDŁOŻONE SEJMOWEJ KOMISJI NADZWYCAJNEJ W ZAŁĄCZNIKU Z 26. I. 1976, UZUPEŁNIAJĄCE MEMORIAŁ Z 9. I. 1976

1. Zastrzeżenia dotyczące artykułów wprowadzonych do Konstytucji, przyznających uprzywilejowaną pozycję socjalizmowi i jej sile przewodniej, partii. To może być niebezpieczne ponieważ ideologia partii zostanie podniesiona do ideologii państwowej. Ta ideologia posiada charakter antyrelijny.

Poprawiono:

PZPR stanowi siłę polityczną nie ideologiczną i jedynie jako funkcja budowy socjalizmu.

PRL w swej polityce ma na celu: art. 3a interesy całego narodu polskiego, jego suwerenność, niepodległość, bezpieczeństwo, pragnienie pokoju i współpracy międzynarodowej.

Werbłań:

„Konstytucja ustala stosunki polityczne i społeczno-gospodarcze. Nie przesądza wszystkich kwestii, tym bardziej o naturze ideologicznej i filozoficznej”.

2. Konstytucja nie gwarantuje wyraźnie, że PRL stworzy wszystkim, niezależnie od światopoglądu (stosunek do religii), równe warunki rozwoju.

3. Nie można przyjąć art. 57, 3: „Prawa obywateli są ściśle związane z lojalnym i rzetelnym spełnianiem obowiązków wobec Ojczyzny”.

4. Episkopat domaga się dla Kościoła nie tylko swobody kultu, lecz także całkowitej wolności religijnej i wymaga usunięcia paragrafu dyskryminującego wierzących; „Nadużywanie wolności sumienia i wyznania dla celów sprzecznych z interesami PRL będzie karane”.

5. Protest przeciwko ograniczeniom podstawowych wolności słowa, prasy, pochodów i zebrań publicznych.

6. Domagaliśmy się zdecydowanie by w Rozdziale o podstawowych prawach obywatelskich obok określenia „Ojczyzna” usunięto przymiotnik „socjalistyczny”;

— by program gospodarczy był połączony ze społecznym;

— by usunięte zostało określenie „pasżytnictwo społeczne” wywołujące spory;

— by usunięto słowo „socjalistyczny” obok działalności społecznej, oświatowej, kulturalnej itd.

7. Wychowanie młodzieży —
usunąć:

„Polska Rzeczpospolita Ludowa popiera działalność ideowo-politycznych organizacji młodzieżowych, które wychowują młodzież do współodpowiedzialności za rozwój socjalistycznej Ojczyzny” (Art. 68, 2).

8. Art. 26: „Podstawowym celem działalności Państwa w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej jest budowa społeczeństwa socjalistycznego”.

Art. 2. Front Jedności Narodowej stanowi wspólne pole działalności organizacji społecznych, jedności patriotycznej wszystkich obywateli niezależnie od religii — dla żywotnych interesów PRL.

Obywatele PRL winni spełniać lojalnie swe obowiązki wobec Ojczyzny i przyczyniać się do jej rozwoju.

Nie uległ zmianie art. 70, 1 i 2. Natomiast usunięto paragraf 3 „Nadużywanie...”.

Nie dokonano poprawek.

Przymiotnik „socjalistyczny” został usunięty. Wszędzie poprawiono: „społeczno-gospodarczy”.

Zostało usunięte i zastąpione: „działa przeciw łamaniu zasad współżycia społecznego”.

Zostało usunięte i zastąpione wyrażeniem: „kultura narodowa”.

Art. 68. PRL otacza szczególną i troskliwą opieką wychowanie młodzieży, zapewnia najszersze możliwości jej rozwoju i tworzy warunki dla aktywnego udziału młodego pokolenia w życiu społecznym, politycznym, gospodarczym i kulturalnym.

Zmiana:

Podstawowym celem działalności Państwa jest wszechstronny rozwój społeczeństwa, rozwój sił narodu i każdej jednostki, jak również coraz większe zaspakajanie potrzeb obywateli.

GŁOS W DYSKUSJI NAD WYTYCZNYMI KOMITETU CENTRALNEGO NA VII ZJAZD POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

„Wytyczne” słusznie podkreślają wzmogłą dynamikę rozwoju w ostatnim 5-cioleciu, co stworzyło realną podstawę do przyspieszenia rozwoju w nadchodzącym okresie. Obecne 10-ciolecie stanowi niewątpliwie ważny etap w przemianach społecznych w kierunku ujednolicenia struktury klasowej naszego społeczeństwa, przekształcenia go w społeczeństwo mas pracujących, w którym klasa robotnicza swą liczebnością i świadomością odgrywa rolę przodującą siłę.

Oczywiste jest, że dokonane przeobrażenia stawiają przed przyszłością poważne problemy natury organizacyjnej i ustrojowej. Wiele z nich zostało wskazanych w „Wytycznych...”. Niektóre jednakże propozycje w tej właśnie dziedzinie wydają się niedostatecznie przemysłane.

„Wytyczne” w cz. III, p. 4 mówią:

„Obowiązująca obecnie Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, uchwalona przez Sejm w roku 1952 zachowuje swe walory polityczne i prawne. Dokonane przeobrażenia i zarysowujące się perspektywy rozwoju społeczeństwa i państwa powinny wszakże znaleźć odzwierciedlenie w tym podstawowym dokumencie tak, aby jego treść odpowiadała w pełni osiągniętemu poziomowi budownictwa socjalistycznego oraz tworzyła podstawę do rozwiązywania nowych problemów w procesie budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. W szczególności należy potwierdzić w konstytucji historyczny fakt, że Polska Rzeczpospolita Ludowa jest państwem socjalistycznym, w którym władza należy do ludu pracującego miast i wsi, a kierowniczą siłą jest Polska Zjednoczona Partia Robotnicza”.

Zrozumiała jest intencja przytoczonych zdań — podkreślenia roli, jaką odegrała i odgrywa PZPR, jednakże sformułowane propozycje zdają się nie dostrzegać wynikających z nich konsekwencji natury zarówno prawnej, jak ustrojowej i ideologicznej.

1. Podstawą wszelkiej demokracji — mającej prawo do tego tytułu — są dwie fundamentalne zasady: suwerenne prawo ludu (społeczeństwa) do stanowienia o losie swoim i państwa, oraz równouprawnienie wszystkich obywateli bez względu na ich przynależność klasową, grupową, czy jakąkolwiek inną.

Pełna realizacja tych zasad stała się w istocie możliwą dopiero po obaleniu ustroju opartego na prywatnej własności środków produkcji, tzn. wyzwoleniu mas pracujących z ekonomicznej i w konsekwencji politycznej zależności od klas posiadających. Socjalistyczna rewolucja była tym samym równoznaczna ze zniesieniem ostatnich przywilejów, również i tych, które nie miały odbicia w systemie prawnym, a wynikały z ekonomiczno-społecznej struktury.

2. We wszystkich krajach, które od feudalizmu przechodziły do burżuazyjnej demokracji, kierowniczą siłą polityczną stawały się partie. Partie polityczne ukształtowały się jako wyraz klasowego i ideologicznego zróżnicowania społeczeństwa — a zarazem także jako główna forma udziału mas w politycznym i społecznym życiu kraju, jako swoisty system reprezentacji wobec niemożności zastosowania we współczesnym społeczeństwie „demokracji bezpośredniej”, tzn. decydowania o ogólnych sprawach przy bezpośrednim udziale wszystkich obywateli. Legitymizm władzy sprawowanej przez partie czy koalicje partii wynika ze społecznego oparcia, z udzielonego przez społeczeństwo mandatu, weryfikowanego periodycznie w demokratycznych wyborach.

Warszawa, 17. II. 1976

PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO — TEKST NIEAUTORYZOWANY

3. W Polsce Ludowej rewolucja ustrojowa a następnie przeobrażenia dokonane w ciągu 30-letniej historii stworzyły przesłanki dla realizacji podstawowej zasady ustroju demokratycznego i prawa mas społecznych do decydowania o losach swoich i państwa. W osiągnięciach minionego 30-lecia decydującą rolę odegrała PZPR jako ideowy przywódca organizujący siły narodu do realizacji długofalowych planów i budowy socjalistycznego społeczeństwa w socjalistycznym państwie. Jednakże uznanie roli i zasług PZPR nie może przybierać form sprzecznych z kierunkiem wytyczonym przez nią samą, sprzecznych również z innymi postulatami zawartymi w „Wytycznych” — nie może popadać w logiczną sprzeczność: w imię rozszerzenia praw mas ludowych — prawa te ograniczać. Społeczeństwo może upewnić partię do sprawowania władzy, ale nie może konstytucyjnie zrzec się swoich suwerennych praw, ani ich przekazać — bez zakwestionowania samych podstaw ustroju.

4. Kierownicza rola partii może wynikać jedynie ze spełnianej przez nią funkcji, z oparcia w masach pracujących, w całym społeczeństwie, z wyrażonej akceptacji przez masy społeczne jej programu. Proponowane w „Wytycznych” konstytucyjne uznanie PZPR za „Kierowniczą siłę” oznaczałoby:

- a) odrzucenie czy przynajmniej ograniczenie suwerennej władzy ludu.
- b) uniezależnienie partii i sprawowanej przez nią władzy od społeczeństwa, od mas pracujących — partia przestaje być siłą kierowniczą z woli ludu, a staje się nią na mocy raz na zawsze ustalonego prawa.
- c) nadanie przez konstytucję określonej organizacji społecznej najwyższego uprzywilejowania: prawa do sprawowania władzy, byłoby nawrotem do przed-demokratycznych feudalnych tradycji, byłoby cofnięciem się do epoki sprzed konstytucji 3-go Maja 1791 roku, której niezrealizowaną intencją było ograniczenie uprawnień warstwy szlacheckiej do sprawowania kierowniczej roli w narodzie.

5. W konsekwencji zmianie musiałyby ulec wszystkie artykuły konstytucji wynikające z uznania suwerennych praw społeczeństwa, skoro nie mogłyby wywrzeć wpływu na niezależny od tej woli czynnik sprawujący władzę na mocy konstytucyjnych uprawnień. Jeśli w dotychczasowej praktyce technika wyborów nasuwała wątpliwości z punktu widzenia możliwości wyrażania przez społeczeństwo rzeczywistej woli — społeczeństwo przyjmowało te ograniczenia jako stan przejściowy wywołany szczególnie trudnymi warunkami ustrojowej rewolucji, odbudowy z wojennych zniszczeń i napiętego programu przezwyciężenia ekonomicznego zacofania. Dla opinii społecznej było oczywiste, że dalsze umacnianie się podstaw ustroju, że podkreślona w „Wytycznych”: „konsekwentna realizacja zasad socjalistycznej demokracji” — oznacza także doskonalenie form wyrażania społecznej woli i społecznej kontroli władzy, które winny być podstawowym kryterium socjalistycznej demokracji. To właśnie kryterium winno odróżniać demokrację socjalistyczną od demokracji burżuazyjnej, w której kierowniczą rolę (acz nie potwierdzoną przez konstytucję) spełniają uprzywilejowane klasy posiadające.

6. Sugestia „Wytycznych”, aby konstytucja potwierdzała, że „Polska Rzeczpospolita Ludowa jest państwem socjalistycznym” nasuwa następujące refleksje:

Realizacja tego postulatów mogłaby przybrać dwie formy: bądź zmiany nazwy państwa, bądź określenie charakteru państwa w preambułach do tekstu konstytucji. W pierwszym wypadku byłaby to już trzecia nazwa za życia obecnych pokoleń i chyba nie ostatnia — postulowana na przyszłość dynamika rozwoju, a więc przeobrażeń, skłoniłaby zapewne w niedługim czasie do podobnego uwidocznienia tych przeobrażeń.

Co do obydwu możliwych wersji nie należałoby chyba przywiązywać nadmiernej wagi do magicznego działania nazw i nie wywołać wspomnienia owego męża stanu, który z kalendarzem w ręku określał daty kiedy kraj

zrealizuje socjalizm i kiedy wstąpi w komunizm. Doceniając wszystkie dotychczasowe osiągnięcia oczywiście jest — wynika to także z programu partii, którego ogólny zarys dają „Wytyczne” — że trzeba jeszcze włożyć wiele pracy, wiele wysiłków mózgów i mięśni, aby stan, który w powszechnym wyobrażeniu wiąże się ze słowem „socjalizm” urzeczywistnił się, abyśmy mogli powiedzieć, że przewodnia idea wytyczająca naszą drogę stała się ciałem.

Z ideowego i wychowawczego punktu widzenia należałoby raczej przeciwdziałać nadużywaniu pojęć „socjalizm” i „socjalistyczny”, często w nieuzasadnionych kontekstach, zamazujących treść tych pojęć i pozbawiających je ideowego i mobilizującego znaczenia. Dorywcze sondaże, zwłaszcza wśród młodzieży, potwierdzają realność tego niebezpieczeństwa. Z ideowego i wychowawczego punktu widzenia słuszniejsze byłoby pozostawienie socjalizmu jako przyszłościowej wizji, konkretyzującej się stopniowo w każdym kolejnym planie i każdej jego realizacji — wizji mobilizującej duchowe siły narodu i oświecającej drogę jego przyszłych dzieł.

Władysław BIEŃKOWSKI

Warszawa, październik 1975 r.

Dalsze protesty

Posel Stomma — Sejm — Wiejska
Warszawa

Przyłączam się do protestu przeciw zmianom konstytucji w sprawach polityki zagranicznej i odpowiedzialności obywateli za nieokreślone przestępstwa oraz przeciw przywilejom partyjnym.

Maria KUNCEWICZOWA

Prezes Gucwa — Sejm — Wiejska
Warszawa

Będąc autorem pracy programowej Stronnictwa Ludowego zgłoszonej na Radę Naczelną, opublikowanej, podpisanej przez przeszło 20 członków władz naczelnych Stronnictwa, wypowiadam się przeciw: 1) zmianom godzącym w suwerenność Polski, przez konstytucyjne a nie traktatowe umowy z innymi państwami; 2) złamaniu zasady równości obywatelskiej przez przywileje dla stronnictw i grup; 3) przeciw prawnie niespotykanym sformułowaniom grożącym odpowiedzialnością za nieokreślone przestępstwa stop Mysłę że sumienie obywatelskie i roztropność Pana Prezesa wiążącego swoje nazwisko z tradycjami wolności ruchu ludowego skłoni go do zajęcia odpowiedniego stanowiska.

Jerzy KUNCEWICZ

ODPIS

Warszawa, 12 marca 1976.

W. Pan

Wacław Auleytner

w Warszawie

Szanowny Panie,

Z upoważnienia prezesów Klubów Inteligencji Katolickiej w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu i Toruniu, oraz redakcji *Tygodnika Powszechnego*, miesięcznika *Znak*, miesięcznika *Więź* i Społecznego Instytutu Wydawniczego „Znak”, zwracamy się do Szanownego Pana w następującej sprawie:

Wygaśła szósta kadencja Sejmu PRL, zbliżają się wybory do Sejmu nowej kadencji. W związku z tym kończy swoją działalność Koło Posłów „Znak”. Po wyborach, może powstać problem nazwy nowego Koła, złożonego z pięciu posłów, których kandydatury zostały wysunięte przez Front Jedności Narodu na miejsca zajmowane przez Koło „Znak”.

W związku z tym uważamy za konieczne zwrócić uwagę Szanownego Pana, jako jednego ze wspomnianych kandydatów (list ten kierujemy również do czterech pozostałych Pańskich Kolegów), że nowe Koło nie może przyjąć nazwy Koło Posłów „Znak”. Przyjęcie takiej nazwy oznaczałoby, że nowe Koło stanowi kontynuację dotychczasowego Koła „Znak”. Byłoby to niezgodne ze stanem faktycznym, ponieważ powyższe kandydatury na posłów nie zostały wysunięte ani też akceptowane przez przeważającą większość środowisk „Znaku” i ewentualnie mające powstać Koło nie może tych środowisk w Sejmie PRL reprezentować.

Nazwa „Znak” została nadana Kołu Posłów przez założycieli związanych ze środowiskiem krakowskim, w którym od roku 1946 ukazuje się miesięcznik *Znak*, a w konsekwencji nazwa ta została przyjęta przez ogół naszych środowisk, które Koło Posłów „Znak” uważały za swoją reprezentację polityczną.

Przyjęcie przez nowe Koło nazwy „Znak” stworzyłoby ostrą sytuację konfliktową, która na pewno nie leży w interesie społecznym.

Łączymy wyrazy poważania,

(—) **Tadeusz MAZOWIECKI**
Redaktor Naczelny miesięcznika *Więź*.

(—) **Andrzej ŚWIECICKI**
Prezes Klubu Inteligencji Katolickiej
w Warszawie

(—) **Stanisław STOMMA**

(—) **Jerzy TUROWICZ**
Redaktor Nacz. *Tygodnika Powszechnego*.

(Mimo tego ostrzeżenia Janusz Zabłocki w swym przemówieniu wygłoszonym w Sejmie 27 marca br. występował jako przedstawiciel Koła „Znak”. Min. w zakończeniu swego przemówienia powiedział:

„Z prawdziwą satysfakcją powitaliśmy... powołanie w skład Rady Państwa posła Konstantego Łubieńskiego, obecnego przewodniczącego naszego Koła. Chcielibyśmy w tym odczytać — poza wyróżnieniem osobistym — również symboliczne potwierdzenie, że także w okresie, w który kraj nasz wchodzi, dla Koła „Znak” z jego programem, który tu zarysowaliśmy, jest miejsce, że jest ono nadal potrzebne naszemu życiu narodowemu.

Pragnę na zakończenie oświadczyć, iż w duchu tego wszystkiego co w imieniu Koła „Znak” powiedziałem udzielamy naszego poparcia przedłożonemu dzisiaj przez Prezesa Rady Ministrów programowi rządowemu jak również związanym z tym propozycjom personalnym”).

Represje na wyższych uczelniach

Rektor PAM
SR - 132/76

Szczecin, 13 lutego 1976.

Ob. Jacek Smykała
stud. III roku PAM
Zielona Góra, Kołłątaja 6/4

DECYZJA

Na zasadzie § 2 ust. 1-5 zarządzenia Ministrów Oświaty, Szkolnictwa Wyższego, Zdrowia i Opieki Społecznej... z dnia 28 maja 1969 roku (Dz. Urzędowy Min. Ośw. i Szkol. Wyż. poz. 58) oraz w oparciu o art. 70 ust. 1 ustawy o szkolnictwie wyższym (jednolity tekst: Dz. Ustaw nr 32 z 1973 roku poz. 191) skreślam Obywatela z listy studentów III roku PAM wydział lekarski bez wszczynania postępowania dyscyplinarnego.

UZASADNIENIE

Decyzja powyższa została podjęta po przeprowadzeniu postępowania wyjaśniającego przez specjalnie powołanego pracownika naukowego PAM prof. dr A. Kulikowskiego, kierownika Zakładu Protetyki Stomatologicznej Instytutu Stomatologii PAM — przewodniczącego Odwoławczej Komisji Dyscyplinarnej d/s studentów. Ustalono, że aczkolwiek obwiniony w toku postępowania wyjaśniającego zdementował i zaprzeczył, jakoby się dopuszczał napastliwej krytyki na zajęciach praktycznych z podstaw nauk politycznych, to jednak pozostaje niepodważony fakt, że wypowiedzi obwinionego były dokonywane w obecności 30 osób grupy „D”. Wypowiedzi te, pełne agresywnej dynamiki, przytoczone w zeznaniach, musiały wpłynąć destrukcyjnie na światopogląd i postawę kolegów i koleżanek, wywołując w umysłach słuchaczy niepotrzebne wątpliwości, a nawet spaczony obraz naszej rzeczywistości. Ponadto obwiniony stawiał bierny opór manifestując swoją nonszanlackolekceważącą postawę w trakcie przesłuchania na terenie Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej i tym samym udowodnił zupełny brak dyscypliny obywatelskiej wobec pracowników pionu bezpieczeństwa.

Biorąc powyższe fakty pod uwagę należy stwierdzić, że czyn obwinionego posiadają cechy dużej szkodliwości społecznej, gdyż godzą w podstawy ustroju PRL i w związku z tym Jacek Smykała zasłużył na surową karę z wyeliminowaniem Go ze społeczności studenckiej naszej Uczelni włącznie (1, 2 poz. 5). Zgodnie z § 3 i 4 ust. 1 cytowanego zarządzenia, przysługuje Obywatelowi

prawo odwołania się od niniejszej decyzji do Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej za pośrednictwem Rektora PAM w ciągu... dni od daty jej doręczenia.

REKTOR

(—) Prof. dr med. Erwin MOZOLEWSKI
(podpis nieczytelny)

Informacja: Jacek Smykał zapytał się na ćwiczeniach z nauk politycznych prowadzonych przez panią dr Aleksandrowicz o liczebność Milicji i służby bezpieczeństwa w Polsce. Wezwany po kilku dniach na Komendę Wojewódzką MO w Szczecinie, po 4 godzinach przesłuchania odmówił podpisania deklaracji współpracy ze służbą bezpieczeństwa (dla donosicielstwa), co zostało zakwalifikowane jako „nonszalancko-lekceważąca postawa” i „bierny opór”.

W obronie Jacka Smykały wystąpiło 200 studentów Pomorskiej AM, którzy wystosowali do rektora list. Został on przez rektora zniszczony.

Kolejny list wystosowało w obronie Jacka Smykały trzydziestu uczestników grupy „D”, stwierdzając, że Jacek Smykał nie tylko nie wywierał na nich destrukcyjnego wpływu, ale był dobrym kolegą o wysokiej postawie moralnej.

(Pieczęć podłużna)
Prokuratura Woj.
w Lublinie
N. Ds 5/75/s

Lublin, dn. 24. 12. 1975.

Akt oskarżenia
przeciwko

Stanisławowi Kruszyńskiemu
oskarżonemu z art. 271 § 1
w związku z art. 273 § 2 kk.

Oskarżam,

Stanisława Kruszyńskiego

s. Mateusza i Józefy z d. Szuta, urodzonego 11 lipca 1950 roku w Łęgowie Gdańskim, zam. czasowo Lublin, ul. Krasickiego 34, obywatela i narodowości polskiej, pochodzenia społecznego robotniczego, o wykształceniu niepełnym wyższym (ukończony V rok Teologii KUL), żonatego, ojca jednego dziecka w wieku 5 miesięcy, ostatnio zatrudnionego w charakterze sprzedawcy w Księgarni św. Wojciecha w Lublinie, bez majątku, nie karanego (tymczasowo aresztowanego od dnia 23. 10. 1975 r. k. 56).

o to, że

w okresie od czerwca do 23 października 1975 r., w Lublinie rozpowszechniał fałszywe wiadomości mogące wyrządzić poważną szkodę interesom PRL, poprzez rozsyłanie do różnych osób korespondencji, w której kłamliwie i tendencyjnie przedstawiał zagadnienia stosunków politycznych, społecznych i gospodarczych Państwa Polskiego,

tj. o czyn przewidziany w art. 271 § 1
w zw. z art. 273 § 2 kk.

Na zasadzie art. 16 i 21 § 1 kk. sprawa powyższa podlega rozpoznaniu przez Sąd Rejonowy IV Wydział Karny w Lublinie w trybie zwyczajnym.

Uzasadnienie

W miesiącu czerwcu 1975 r. Służba Bezpieczeństwa Komendy Woj. MO w Lublinie powzięła informację, z której wynikało, że St. Kruszyński rozpowszechnia w drodze korespondencji różne nieprawdziwe wiadomości mogące wyrządzić poważną szkodę interesom PRL.

Z uzyskanej informacji wynikało również, iż w.w. przesyła tego typu korespondencję na adres Jana Kruszyńskiego, zam. w Tczewie oraz, w najbliższym czasie zamierza rozszerzyć swoją przestępczą działalność.

W tej sytuacji w dn. 18 czerwca 1975 roku wszczęto w tej sprawie śledztwo oraz wydano postanowienie, w którym zażądano wydania z Urzędów Poczto-Telekomunikacyjnych w Lublinie i Tczewie wszelkiej korespondencji przychodzącej i wychodzącej na adres Stanisława Kruszyńskiego zam. w Lublinie oraz Jana Kruszyńskiego zam. w Tczewie w oparciu o to postanowienie UPT Tczew 2 zatrzymał list wysłany z Lublina na adres Jana Kruszyńskiego. W toku kontroli tego listu ustalono, iż autorem jego jest oskarżony St. Kruszyński, a treść korespondencji zawiera szereg sformułowań szkalujących ustrój, stosunki społeczno-gospodarcze, PZPR i jej ideologię. Ponadto autor listu wypowiada swoje „opinie” o wynikach Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie a ponadto przekazał informację o podjęciu działalności konspiracyjnej. W końcowej części listu uczynił wobec adresata sugestię o przepisaniu na maszynie i rozpowszechnianiu wśród znajomych publikacji nie mających debitu w Polsce.

Wobec ustalenia, że oskarżony Kruszyński prowadzi korespondencję również z innymi osobami i że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż w korespondencji tej przekazywane są również fałszywe wiadomości mogące wyrządzić poważną szkodę interesom państwa wydano dalsze postanowienia o wydaniu przesyłek pocztowych przychodzących na adres Bogumiły Kruszyńskiej zam. w Kłodoboku oraz Marka Sterzla zam. w Tczewie. Przypuszczenia te zostały w całej pełni potwierdzone. W korespondencji tej bowiem, jak i w dalszej nadchodzącej do Jana Kruszyńskiego, oskarżony lżył i wyszydzał ustrój — naczelnice organy i przedstawicieli naczelnych władz państwowych, układy o dobrosąsiedzkich stosunkach z zaprzyjaźnionymi krajami a także ustawodawstwo polskie.

W tok udalszych czynności śledczych dokonano przeszukań w mieszkaniach adresatów korespondencji St. Kruszyńskiego oraz w mieszkaniu oskarżonego. Przeszukania te doprowadziły do zajęcia będącej przedmiotem postępowania różnej korespondencji, publikacji nie mających debitu w kraju a także innych pism charakteryzujących działalność przestępczą St. Kruszyńskiego. Należy przy tym zaznaczyć, iż oskarżony w przesyłanych korespondencjach szeroko korzystał z zakwestionowanych wydań książkowych a zwłaszcza publikacji tzw. *Kultury paryskiej*.

Przesłuchany w charakterze podejrzanego St. Kruszyński nie przyznał się do winy i wyjaśnił, iż faktycznie wysyłał do różnych osób korespondencję, w której wykazywał swój negatywny i krytyczny stosunek do działalności władz państwowych. Nie czynił jednak tego w zamiarze rozpowszechniania swoich poglądów politycznych jak również szkodenia interesom państwa.

Wiceprokurator Woj.
Stanisław CHODAK

(Stanisław Kruszyński został skazany na 10 miesięcy więzienia.. Po odczytaniu wyroku cała sala wstała i śpiewała hymn narodowy. Powstał również prokurator ale sędzia go zatrzymał. Powstało ogromne zamieszanie).

Humor krajowy

— Dlaczego zmieniono konstytucję?

— Bo była za stara aby ją gwałcić.



— Jaka jest różnica pomiędzy Polską a Stanami Zjednoczonymi?

— Żadna: tam za złotego niczego nie kupisz i tu niczego, tam za dolary wszystko jest i tu jest wszystko, tam jest 49 Stanów i Alaska, tu 49 województw i Związek Sowiecki, tam mięso jest *meat* i tu też mit.



— Co to znaczy P.K.P.?

— Płóć konduktorowi połowę.



Ktoś zapytał Radio Erywań: „Co to jest socjalizm?”.

Odpowiedź: „Socjalizm to g....

Po tej odpowiedzi stacja zamilkła na miesiąc. Po miesiącu usłyszano na falach eteru: „Tu Radio Erywań, czasowo na Kamczatce. Chcielibyśmy dokończyć przerwana przed miesiącem audycję i dać odpowiedź naszemu słuchaczowi: 'Socjalizm to g...., ale komunizm to jeszcze większe g....'”.



Jedzie ekspres Warszawa - Legnica. Nagle wstrząs, pasażerowie spadają z siedzeń. Pociąg wyskoczył z toru i wjechał w las, przejechał go w poprzek — znowu wjechał na tor i wszystko wróciło do normy. Konduktor pobiegł do motorniczego:

— Czyś ty zwariował? Po lesie jeździsz?

— Słuchaj, ruski generał stał na torach!

— To co, nie mogłeś przejechać sukinsyna?

— No właśnie, ale drań uciekł do lasu...



Breżniew oskubuje polskiego orła. Kiedy zabiera się do ostatnich piór w ogonie ptak odzywa się: „Żebyś zdechł i tak ze mnie czerwonej gwiazdy nie zrobisz!”.



Korespondent zachodnio-europejski przeprowadza wywiad z Leonidem Breżniewem. Na zakończenie pyta go o jego ulubione hobby.

— Właściwie to nie mam żadnego — odpowiedział Breżniew — mam zbyt dużo pracy, ale lubię zbierać dowcipy o sobie.

— No, i co, dużo ich Pan zebrał? — zapytał korespondent.

Breżniew po chwilowym zastanowieniu: — Wic Pan, na jakieś trzy, cztery obozy wystarczy...

Zebrała Zofia HERTZ

Sąsiedzi

XXV Zjazd

Analizować XXV Zjazd trzeba oczywiście w związku z poprzednimi imprezami tego typu w poszczególnych republikach. Uwaga Zachodu była natomiast nieomal — że wyłącznie zwrócona na personalną stronę zagadnienia: sprowadzała się do pytania czy Breżniew pozostanie czy też ustąpi. Tak jak gdyby istniała silna opozycja z odpowiednim programem, jakbyśmy mogli mieć do czynienia z jakąś konkurencyjną grupą, odmienną choćby w pewnym stopniu od panującej już ponad dziesięć lat *wierchuszki* Breżniewa. Świadczy to z jednej strony że personalia połączone z sensacyjnym plotkarstwem, podgryzają coraz bardziej korzenie nawet solidnej publicystyki na Zachodzie, a z drugiej jest dowodem, że wewnętrzne sprawy Imperium Rosyjskiego są dla Zachodu nadal nie tylko obce, ale przypuszczalnie i niewygodne. Najłatwiej uciec od nich milcząc, lub zabawiając się biuletynami na temat zdrowia generalnego sekretarza. Nieporozumienie polega już od dawna na tym że w Rosji, z chwilą załamania się destalinizacji, nastąpił okres przywracania i jednocześnie utwierdzania jednego z najbardziej reakcyjnych modeli władzy. Ci, którzy nie widzą potworności obecnego systemu, uciekają się zwykle do oklepanego już argumentu, że w porównaniu z terrorem Stalina panuje dziś w ZSSR wielki liberalizm, itd. Zapominają, że Związek Sowiecki powiązany jest dziś z globalnym układem sił, i że nie można go mierzyć miarką z okresu koniecznej lub świadomej izolacji Moskwy, tak samo jak nie wolno zapominać, że i za czasów Stalina bywały rozmaite przyływy i odpływy terroru. Dzisiejszy model władzy jest z wielu powodów groźniejszy, zwłaszcza dla narodów podbitych przez Moskwę. Groźniejszy ze względu na potężną machinę wojskową i policyjną, która przerosła wszystko co znamy z przeszłości. Groźniejszy, ponieważ udało się rozpętać wśród ogromnej większości narodu rosyjskiego uczucia szowinizmu i militarizmu,

zarozumiałości i żądz podbojów, słowem klasycznych ideologii, służących imperializmowi lub faszyzmowi. Groźniejszy wreszcie dlatego, iż słabną źródła oporu wśród narodów uciemnionych, a rośnie liczba oportunistów.

Zagranica wciąż jeszcze operuje pojęciem komunizmu czy też komunistów Związku Sowieckiego i nikt nie zadaje sobie trudu, aby wreszcie znaleźć dla ZSSR stosowną nazwę. Tylko Chińczycy wykazali więcej pomysłowości: od czasu inwazji Czechosłowacji w Pekinie obowiązują dwa terminy: system nowych carów i system socjal-imperializmu. Od kilku miesięcy przyłączył się do nich trzeci: faszyzm.

W inscenizacji podobnej do norymberskich *Parteitag*ów był to największy zjazd oportunistyczny, jaki sobie urządziła sowiecka klasa rządząca. Duch obrony własnych interesów przed ich najmniejszym naruszeniem czy tylko zagrożeniem, był tak powszechny, że musiało dojść do całkowitego zablokowania jakichkolwiek prądów ożywczych. Stąd kompletna inercja we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Ciche porozumienie aparaczyków — przekonanych, że nawet najmniejsze reformy wniosłyby element niepewności — zdało w pełni egzamin. Nikt nie pisał słowa na temat skostnienia doktryny i form jej praktycznego zastosowania. Nie ulega jednak wątpliwości, że dodatkowym czynnikiem, przemawiającym za utrzymaniem stalinowsko-biurokratycznego modelu, jest strach Moskwy, iż każde reformy w centrum imperium stałyby się w koloniach i na rubieżach pożywką, na której wyrosłoby szybko nowi naprawiacze zepsutego mechanizmu, na wzór Dubczeka. Na to Moskwa nie może sobie pozwolić.

Następstwem skostnienia ideologiczno-teoretycznego i dreptania w miejscu w kwestiach praktyczno-funkcjonalnych jest stagnacja w układach personalnych. Skutki są oczywiste: na szczytach biurokratycznej piramidy władzy z uporem trwają starzy, wyszkoleni na modelu stalinowskim, podczas gdy niżej tłoczą się w oczekiwaniu na awans młodzi, którym już siwieją skronie.

Zmiany personalne w górze partyjnej są znikome: siedemdziesiąt latki pozostały w Centralnym Zarządzie Imperium, usunięto tylko młodszych, bo zaledwie pięćdziesięciosześcioletniego Dymitra Polńskiego i to nie dlatego, aby na kimś wyładować złość za katastrofalny stan rolnictwa, i nie dlatego że to Ukrainiec (choć ten wzgląd mógł tu odegrać pewną rolę), lecz głównie za karę, że się kiedyś wychylił z układów personalnych, że pragnął zmian, odmłodzenia kadry kierowniczej, że naruszył prawidła gry. Natomiast promowano dwóch Rosjan — starszego Ustinowa i młodszego Romanowa. Ustinow to — jak mawiał Chruszczow — stary „pożeracz stali”, czyli przedstawiciel ciężkiego przemysłu zbrojeniowego i główny rzecznik militaryzacji imperium. Jest on mózgiem tak zwanego „militarno-politycznego kompleksu”. Karierę rozpoczął za Stalina pod kierownictwem Mołotowa i Kosygina, był ministrem przemysłu zbrojeniowego,

wicepremierem odpowiedzialnym za koordynację produkcji przeznaczonych na cele wojenne, by wreszcie, po upadku Chruszczowa, w 1965 roku wypłynąć jako sekretarz Komitetu Centralnego i zastępca członka Politbiura. Obecnie, w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat, został rzeczywistym członkiem najwyższego gremium biurokracji. Nominacja jest znamienita: stanowi zapowiedź jeszcze silniejszego wpływu zbrojeń na całokształt polityki Kremla w stosunkach międzynarodowych. W tym też duchu powołano do Politbiura sekretarza z Leningradu Romanowa. Czy ten jedyny obecnie przedstawiciel średniego pokolenia (urodzony 7 lutego 1923 roku) ma się stać pewnego dnia następcą Breżniewa? Wiele za tym przemawia. Ma nienaganną przeszłość komсомолца, następnie oficera w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, absolwenta wydziału budownictwa okrętowego, a to się dziś, przy forsowaniu ekspansji na wszystkich oceanach, ceni i — oczywiście — wzorowego aparaczyka. Jest energiczny, sprawy ideologiczne obchochą go o tyle, o ile umacniają kontynuację istniejącego porządku. Jego minusem jest natomiast ścisłe powiązanie z Leningradem i brak powiązań z kręgami potężniejszej biurokracji moskiewskiej, gdzie działają tacy ludzie jak Kułakow, lub sybirak Dołgich. Kiedy zabraknie Breżniewa, dojście do władzy nie będzie dla nikogo gładkie, gdyż kwestia następstwa pozostała na Zjeździe nietknięta. Jak długo Breżniew utrzyma się jeszcze, tego nie wie nikt, nawet Victor Zorza. Na warszawskim Zjeździe Breżniew robił fatalne wrażenie — w krótkim przemówieniu nie mógł wykrztusić bardziej skomplikowanych słów, słał się na nogach, a potem nagle i niespodziewanie wyjechał do Moskwy. Sądono, że niebawem pójdzie jako Honorowy Przewodniczący na emeryturę. Tymczasem, po dwumiesięcznym wypoczynku w sanatorium, podjął się wygłoszenia pięciogodzinnego referatu na XXV Zjeździe. Oczywiście nie jednym ciągiem, tylko z wieloma przerwami, według zasady: półtorej godziny mowy — pół godziny przerwy, a na obiad trzy godziny odpoczynku. Przez półtorej godziny wyręczał go Susłow, dokonując formalności zjazdowych i witając gości. Po każdej przerwie Breżniew czytał tekst gładko, ale im dalej tym było mu trudniej, zaś przy końcu każdej półtoragodzinnej części widać było, że jest bardzo zmęczony. Dobrnawszy do mety chciał jak najszybciej usiąść; zgotowano mu jednak owację i musiał wstać. Chwiał się z lekka na nogach, ocierał pot z czoła i błagał najpierw wzrokiem, a potem gestami Susłowa — mistrza ceremonii — aby zakończyć owacje. Ale Susłow był bezlitosny... Dopiero kiedy zobaczył, że *Gensek* lada chwila przewróci się, dał znak że trzeba kończyć. Nasuwa się więc następujący wniosek: że Breżniew będzie jeszcze rządził niezbyt długo i że przerwy w jego panowaniu będą się stopniowo wydłużały. Na razie władza pozostanie nadal podzielona tak jak obecnie, a faktycznie najwięcej będzie miał do powiedzenia Susłow, „żelazny kanclerz” moskiewskiej biurokracji, który mimo gruźlicy jest sekretarzem Komitetu Centralnego już od 1947 roku. Prawdę mówiąc, ostatni Zjazd był raczej jego

zjazdem i to on bardziej — choć na swój skromny, lekko ironiczny sposób — triumfował, niż powszechnie fetowany Breżniew.

Należy dokładnie przestudiować programowe przemówienie Breżniewa i porównać je z poprzednim, wygłoszonym 5 lat temu na XXIV Zjeździe, aby dojść do wniosku, że obecnie nie jest to już program breżniewowski, ale konglomerat postulatów i zadań nowego układu sił, w którym Breżniew jest jedynie żyrującym ten program figurantem. Wprowadzie koncepcja *rozriadki* i *pieredyszki* w stosunkach Wschód-Zachód nie została pogrzebana, ale przesunęła się na dalszy plan. Natomiast zwycięsko prezentuje się program dogmatyczny i ekspansywny. Na pierwszym miejscu w tym programie figuruje przyspieszona sowietyzacja państw Europy środkowo-wschodniej i południowo-wschodniej. Jej punkty ciężkości to wzmocnienie i rozbudowa Paktu Warszawskiego, gospodarczej integracji oraz ideologicznej *urawniłowki*. Oczywiście Moskwa wykorzystuje tu przychylną jej sytuację międzynarodową.

Wzmocniona rusyfikacja stała się kluczowym zadaniem partii i państwa. Na zjazdach partyjnych w republikach nierosyjskich powróciło stare — a w okresie destalinizacji zarzucone — hasło o przodującej roli „wielkiego narodu rosyjskiego”, o kierowniczej roli Rosjan we wszystkich dziedzinach życia politycznego i kulturalnego. Polityczna kontrola została obecnie jeszcze bardziej rozbudowana. Zasada, wprowadzona w okresie rządów pochruszczowskich, polegająca na tym, że w każdej republice nierosyjskiej partia musiała kierować rdzennym Rosjanin, zajmujący obok pierwszego sekretarza-tubylca (i zazwyczaj figuranta) kluczowe stanowisko drugiego sekretarza, działającego na mocy specjalnych poruczeń i instrukcji z Moskwy, została obecnie wprowadzona wszędzie, włącznie z Ukrainą, gdzie od śmierci Stalina panowały w tej dziedzinie inne reguły gry. System rosyjskich gubernatorów partyjnych wprowadzono obecnie w całym Imperium. Oto ich nazwiska: Anisimow w Armenii, Kozłow w Azerbejdżanie, Aksjonow w Białorusi, Lebiediew w Estonii, Kołbin w Gruzji, Miesiac w Kazachstanie, Charazow w Litwie, Biełucha na Łotwie, Pugaczew w Kirgizji, Miereniszczew w Mołdawii (Besarabia), Połukarow w Tadżykistanie, Pereudin w Turkiestanie, Łomonosow w Uzbekistanie i Sokołow na Ukrainie. Moskwa porozstawiała również swoich ludzi na kierowniczych stanowiskach w szczególnie ważnych dziedzinach. Pod ich nadzorem znajdują się przeważnie sprawy transportu, komunikacji i ciężkiego przemysłu, czyli fabryk sprzętu wojskowego. W Litwie, gdzie nawet przewodniczącym komisji partyjnej przy KC jest Rosjanin Mogilewcew, wydziałem transportowo-przemysłowym kieruje również Rosjanin, Czernikow. Na Białorusi kierownikiem biura KC jest Rosjanin — Maszkow, wydziałem organizacyjnym kieruje Jakuszew, a propagandą i agitacją Pawłow. W Estonii

wpływowe stanowiska w kierownictwie KC obsadzono Rosjanami w ten sposób, że na czele komisji rewizyjnej stoi Szyszkin, wydziału pracy organizacyjno-partyjnej Sziszow, nauki i uniwersytetów — Greczkin, organów administracyjnych (tj. rządu i KGB) Wasikow, zaś na czele ogólnego wydziału o nieokreślonych (ale widocznie bardzo ważnych) kompetencjach — Szergalin. W Łotwie komisją rewizyjną kieruje niejaki Tołmadzew, pracą organizacyjną Tretiakow, przemysłem i transportem Leonow, a budownictwem i gospodarką miejską Dorofiejew. W Azji Środkowej kolonialna ofensywa rusyfikatorska jest również w pełni. Ale najgorzej sytuacja wygląda w Kazachstanie, gdzie wpływy Kazachów maleją z roku na rok, zaś Rosjanie mają większość w kierowniczych organach tamtejszej biurokracji. Wraz z drugim sekretarzem Miesiacem, przysłanym z Moskwy do Alma Aty, Rosjanie: Plimow, Korkin, Słazniew i Smirnow trzęsą całą republiką. W Tadżykistanie Rosjanie zajęli kluczowe pozycje w Komitecie Centralnym: Diedow — organizację, Pułatow — propagandę, przemysł i transport — Jakubow, sprawy ogólne — Wołkow, kontrolę partyjną — Gawrylin, Komisję rewizyjną — Kozłow. Podobnie rzecz się ma w Kirgizji: organizacją partii kieruje Kabanow, administracją — Demiczew, sekretariatem aparatu — Kudriawcew, wydziałem ogólnym — Sołowjew. W Uzbekistanie Orłow kieruje organizacją partii, Archangielskij — kontrolą rządu i administracji, Zinin — gospodarką rolną tj. produkcją bawełny, a Suskin — gospodarką wodną.

Innym instrumentem rusyfikacji jest wojsko. To właśnie generałowie wypowiadali się za wzmocnioną rusyfikacją młodzieży. Zresztą cała generalicja, dowodząca siłami zbrojnymi w republikach nierosyjskich, to w lwiej części generałowie rosyjscy. Na czele okręgów wojskowych nie ma ani jednego głównodowodzącego generała, który pochodziłby z danej republiki. Na Ukrainie dowódcami wojska są: w Kijowie — Gierasimow, na Podkarpaciu — Warennikow; w Gruzji — Mielnikow; w Azerbejdżanie — Konstantinow; w Armenii — Postnikow (który do niedawna był szefem sztabu wojsk sowieckich stacjonujących w Polsce); na północnym Kaukazie — Litowcew; w republikach nadbałtyckich — Majorow, który od czasu inwazji do 1972 roku dowodził oddziałami okupacyjnymi w Czechosłowacji.

Problem rusyfikacji i kolonializmu wewnątrz imperium rosyjskiego na Zachodzie, w analizach XXV Zjazdu, nie odgrywa żadnej roli. Nie wiadomo jaka jest tego przyczyna: strach czy brak instynktu samozachowawczego połączony z długą tradycją rusofilstwa. Istnieją też pewne obiektywne przyczyny, a mianowicie zgrupowanie korespondentów zagranicznych w Moskwie, co z czasem wytwarza specyficzne podejście do wewnętrznych zagadnień imperium.

Przed drugą wojną światową istniały jeszcze możliwości bardziej dokładnego obserwowania tych spraw bądź z Rygi, bądź z Warszawy czy ze Lwowa. Dziś już tego nie ma, a komunistyczni dysydenci w Belgradzie czy w Bukareszcie jeśli się tymi

sprawami zajmują, to tylko po cichu. Natomiast towarzysze Berlinguer i Marchais stronią jak najbardziej od tych niemiłych zagadnień. Niestety — jak dotąd — zawodzi tu również nowa, demokratyczna emigracja rosyjska.

Bohdan OSADCZUK

W sowieckiej prasie

W swym maratońskim referacie na Zjeździe Partii 24. 2. br. Breżniew, wyliczając sukcesy ZSSR w polityce zagranicznej, uradował słuchaczy wspominając o „umowie o przyjaźni i współpracy między ZSSR i Egiptem, którą oceniamy jako długotrwałą podstawę stosunków odpowiadających nie tylko interesom naszych obu krajów, ale i całego świata arabskiego”. „Długotrwałość” tej „podstawy” wyniosła trzy tygodnie: 15 marca br. parlament egipski wymówił umowę sowiecko-egipską. *Prawda* odpowiedziała na to oskarżeniem Sadata o wypychanie Egiptu na „złą drogę” przynoszącą szkodę „walce ze syjonizmem i imperializmem”. Prasa sowiecka stara się zminimalizować znaczenie wypowiedzenia umowy, twierdząc, że praktycznie od dawna nie funkcjonowała. Łatwo jednak odczytać w artykułach i komentarzach prasy sowieckiej głuchy gniew.

Gniew ten jest zrozumiały. Po raz pierwszy po drugiej wojnie światowej sojusznik związany umową z ZSSR, ośmiela się zerwać więzy. Jest również i drugi nie mniej, a może nawet bardziej ważny powód gniewu. Uważa się powszechnie, że w Związku Sowieckim nie istnieje opinia społeczna. Jest to niewątpliwie prawdą, ale tylko w określonych granicach. Istnieje kilka spraw, na które opinia społeczna reaguje. Przede wszystkim dotyczy to pomocy dla innych państw, to jest tzw. pomocy braterskiej, którą obywatele sowieccy uważają za główny powód własnej nędzy i na wpół głodowej sytuacji. Władze podtrzymują to przekonanie. Nienawiść do Chin podnieca się ciągłym przypominaniem: my im pomagaliśmy, a oni odpłacili nam czarną niewdzięcznością. Okupację Czechosłowacji większość obywateli sowieckich przyjęła w ten sam sposób: „karmiliśmy Czechów, a oni nam podłożyli świnie”. I obecnie w prasie sowieckiej mówi się przede wszystkim o niewdzięczności Egipcjan, których „trzykrotnie ratowaliśmy od klęski”. Władze wykorzystują te nastroje, wiedząc jednak że jeśli „pomoc braterska” nie daje dywidend, to kiedyś trzeba będzie odpowiadać za niepotrzebnie rozdane miliardy.

Pisma sowieckie oskarżają Sadata o przeszkadzanie w walce ze „syjonizmem i imperializmem”, ale natychmiast po uchwale

parlamentu egipskiego, Victor Louis, cywilny dziennikarz, wykonujący zadania KGB, wysłał depezę do pisma izraelskiego *Ediot Achronot* w której informował, że „zerwanie przez Sadata umowy o przyjaźni wywołało tak ogromne oburzenie szerokich mas społeczeństwa sowieckiego, jakiego dotąd nie znaliśmy”. Są i inne oznaki świadczące, że polityka sowiecka wobec Izraela może ulec zmianie. Ale ma się rozumieć głównym sprzymierzeńcem Związku Sowieckiego, który zawsze przychodzi mu z pomocą ile razy znajduje się w trudnościach, są Stany Zjednoczone.

Amerykańscy dziennikarze Bob Woodward i Carl Bernstein — którzy przyczynili się do ujawnienia sprawy Watergate — w swojej nowej książce pt. „Ostatnie dni” opowiadają jak Nixon w przededniu odejścia ze stanowiska prezydenta, zwątpiwszy we wszystkich, tęsknie wspominał swoją podróż do ZSSR, swoje spotkanie z Breżniewem. „Ze specjalnym entuzjazmem mówi on o swoich osobistych stosunkach z Breżniewem... Przedstawia obraz dwóch leaderów światowych o podobnych konserwatywnych poglądach na społeczeństwo, na istotę politycznego kierownictwa. Obaj z Breżniewem byli dwoma członkami najbardziej elitarnego klubu świata. Tylko oni mogli się wzajemnie zrozumieć. Tylko oni mogli zrozumieć ciężar i odpowiedzialność kierowania supermocarstwem”.

Nixon dawno odszedł. Ale — jak lubią mówić w Moskwie — jego dzieło żyje. W kwietniu przeniknęła do prasy informacja o konferencji posłów amerykańskich w krajach europejskich, na której Helmut Sonnenfeldt, najbliższy doradca Kissingera — „Kissinger Kissingera” — jak lubi go określać sekretarz Stanu USA, nakreślił główne wytyczne polityki USA. Prasa zachodnia zaczęła mówić o „doktrynie Sonnenfeldta”. Posypały się wyjaśnienia, objaśnienia, poprawki. Jednak sens wystąpienia Sonnenfeldta — to jest obecnej polityki zagranicznej USA — jest jasny: kraje Europy Wschodniej powinny spokojnie czekać, licząc na liberalizację reżymu sowieckiego. Wystąpienia bowiem przeciwko ZSSR (można przypuszczać, że pomocnik Kissingera miał na myśli wystąpienia w rodzaju węgierskich w 1956, czechosłowackich w 1968 roku) mogą doprowadzić do nowej wojny światowej.

Wśród mnóstwa wersji na temat wystąpienia Sonnenfeldta trudno wyłowić jego dokładne sformułowania. Trzeba jednak pamiętać, że wejdzie on do historii światowej dyplomacji jako pierwszy obcy dyplomata, któremu Rosjanie odebrali zegarek w moskiewskim Kremlu. W czasie ostatniej wizyty w Moskwie Breżniew zauważył wspaniały złoty zegarek Sonnenfeldta i odebrał mu go, dając w zamian sowiecki — metalowy. W obozie, gdy przestępcy grabili więźniów, zawsze dawali im coś w zamian: np. odbierając buty, dawali podarte kalosze. Myśl, że psychikę więźniów gotowych oddać przestępcom wszystko czego zażądata, przejęli nawet współpracownicy Departamentu Stanu USA, nie może wywoływać radości.

W swoim referacie na Zjeździe L. Breżniew poświęcił mało miejsca sprawom literatury i sztuki, ale powiedział to, co najważniejsze: „Głównym kryterium oceny społecznego znaczenia danego utworu była i naturalnie pozostaje — jego nastawienie ideologiczne”.

Jasne! Natychmiast po Zjeździe *Prawda* (z 10. 3. br.) zamieściła jubileuszowy artykuł, poświęcony 80-leciu urodzin A. A. Żdanowa — Wyszyńskiego sowieckiej literatury, muzyki i sztuki. „Specjalną uwagę — pisze *Prawda* — poświęcał Żdanow zagadnieniom ideologii i teorii marksizmu-leninizmu. Jego wystąpienia dotyczące problemów nauki, literatury i sztuki, o których mówił z największą kompetencją, były ważnym wkładem do ideologicznego wychowania sowieckiego narodu i do rozwoju jego duchowej kultury”. To właśnie Żdanow zażądał usunięcia z literatury M. Zoszczenki i A. Achmatowej, to on zdemaskował antynarodową treść muzyki Prokofjewa, Szostakowicza i innych najwybitniejszych kompozytorów. Siadł do fortepianu i grając jednym palcem gamy, uczył jak należy komponować muzykę dla narodu.

Prawda potwierdziła miejsce A. A. Żdanowa jako świętego patrona kultury sowieckiej. I z miejsca *Litieraturnaja Gazieta* zrealizowała praktycznie wskazania Nauczyciela. W numerze 11-tym zamieszczono felieton niejakiego Borysa Daniłowa pt. „Bez caria w gołowie” — który godzi w Aleksandra Sołżenicyna. Pisma sowieckie rzadko wymieniają autora „Archipelagu GULagu”, przypuszczając widocznie, że już samo jego nazwisko jest niebezpieczne. Ostatnie wystąpienia Sołżenicyna w Anglii, Francji i Hiszpanii zmusiły jednak propagandystów sowieckich do odpowiedzi i jest nią właśnie felieton w *Litieraturnoj Gazecie*. Przede wszystkim zwraca uwagę fakt, że nie wymienia się ani jednego z tytułów dzieł pisarza. Jest tylko oburzenie na to, że Sołżenicyn ośmielił się powiedzieć: wielki pisarz ma to samo znaczenie w kraju co rząd. W Związku Sowieckim pisarz może być tylko sługą. Daniłow wysuwa przeciwko Sołżenicynowi — nie licząc zarzutu, że stawia się on na równi z rządem — dwa najcięższe oskarżenia. Po pierwsze Sołżenicyn stwierdził, że dla Rosji każdy ustroj, oprócz autorytatywnego, jest przedwczesny. Oburza to autora felietonu, pisanego dla najbardziej liberalnego pisma, i dalej następuje logiczny wywód: jeśli Sołżenicyn jest zwolennikiem ustroju autorytatywnego, to jest monarchistą. A jeśli jest monarchistą to — kolejne oskarżenie — nie może nie marzyć o odzyskaniu ziemi, którą rzekomo władali jego przodkowie.

Żdanow oskarżał Annę Achmatową o rozwiązłość, gdyż odkrył w jej twórczości lirykę erotyczną. Zoszczenkę oskarżał o działalność antysowiecką, gdyż w młodości mówił on, że nie ma żadnych poglądów politycznych. Daniłow oskarża Sołżenicyna, gdyż wynalazł mu dziadków i babki — obszarników. I tu właśnie felietonista *Litieraturnoj Gaziety* przeholował. Jeśli by ograniczył się do nie wiadomo skąd zdobytej informacji o dwóch dziadkach i dwóch ciotkach właścicielach ziemskich, to możliwe że sowiec-

ki czytelnik nie wzięby do ręki ani „Archipelagu”, ani „Lenina w Zurychu”, czy w ogóle ani jednej książki autora „Pierwszego kręgu”. Ale Daniłow odkrył jeszcze stryja, który — jak się okazuje — był rozbójnikiem. I ten drobny biograficzny przekreśla całą pracę: bo przecież jeśli stryj był rozbójnikiem, to znaczy, że to miało miejsce przed rewolucją, to znaczy że grabił bogatych (może być, że nawet i swoich krewnych — obszarników) i rozdał biednym. To znaczy był rewolucjonistą. Jak wiadomo i Władimir Iljicz nie gardził pieniędzmi, które zdobywali rozbójnicy.

A i Josif Wisarionowicz osobiście wychodził na wielką drogę. Chcąc ostatecznie zdemaskować pisarza felietonistę podniósł go w oczach czytelników. Sołżenicyn — potomek rozbójników! Obrońca poniżonych i uciśnionych! Niewątpliwie nie leżało to w zamiarze felietonisty. Koniec felietonu jest nieważki: Daniłow twierdzi mianowicie, że Sołżenicyn jest durniem. Ale nawet felietonista *Litieraturnoj Gaziety* rozumie, że powinien przytoczyć dowody. Nawet on rozumie, że sowieckim dowodom nie uwiierza. Szuka zatem pomocy — to stało się już przyzwyczajeniem — u Amerykanów: „Jak pisze jeden amerykański tygodnik 'Zachód jest rozczarowany i skonsternowany, że jeden z jego czołowych ideologicznych bohaterów okazał się głupim hipokrytą'”. Ponieważ to nie wystarczało — Daniłow cytuje dalej: „Inne wydawnictwo amerykańskie wypowiedziało się lakonicznie 'umysłowo nie zrównoważony'”. Widocznie tylko przypadkowo nie została podana nazwa ani jednego, ani drugiego pisma.

Już w swoim czasie wspominałem o wkładzie „kapitanów Czechowiczów” do sowieckiej propagandy i literatury. Można było przypuszczać, że „kapitanowie”, to dno. Borys Daniłow przekroczył granicę, i spadł jeszcze niżej. Może dlatego, że jest już majorem.

Jewgienij Jewtuszenko niewątpliwie nie wiedział, że jego poemat zostanie zamieszczony w tym samym numerze co i felieton Daniłowa — na sąsiedniej stronie. Redakcja jednak oceniła te materiały jako dające się połączyć, jako wzajemnie się uzupełniające. Z jednej strony idiotyczny paszkwil na największego współczesnego pisarza rosyjskiego, a z drugiej gorzkie utyskiwania na wydarzenia w Ulsterze, gdzie: „Wszystko zniszczono, gdzie zdemaskowano haniebne kłamstwo o istnieniu wolności i postępu”. W Ulsterze i w ogóle na Zachodzie nie ma ani wolności ani postępu. Istnieją one widocznie tylko tam, gdzie pracują Daniłowowie. Niedawno ukazała się powieść płodnego, ale — jak dotąd — mało znanego pisarza Aleksandra Kuleszowa pt. „Zaczarowany krąg”. A Kuleszow jest specjalistą od modnej obecnie w sowieckiej literaturze tematyki: demaskowania Zachodu. O jego ostatniej książce krytyk pisze: „W swoich powieściach Aleksander Kuleszow nie daje dokładnych adresów. Ale nie są one potrzebne. Czyż ważne jest to gdzie przebiega akcja — w Stanach Zjednoczonych, Japonii, Kanadzie czy Francji? Przebiega w świecie kapitalistycznym i to tłumaczy wszystko! Głównym zadaniem autora jest demaskowanie i niewątpliwie osiąga swój cel”

(Smiena nr 2/1976). Jest to znakomite określenie bojowej poezji Jewtuszenki: czyż jest ważne gdzie przebiega akcja, dokąd poeta pojechał na występy: do USA, Japonii czy Ulsteru? Główny jego cel został osiągnięty.

Byłoby jednak niesprawiedliwe stawianie Daniłowa i Jewtuszenki obok siebie. Nie, znajdują się na sąsiednich stronicach. Daniłow to nieodrodne dziecko Żdanowa. Tępo, nie myśląc, wykonuje polecenia. Jewtuszenko — cierpi, skarży się, że nie wszyscy go kochają. Pozwala mu się zatem na jakieś osobiste, psychologiczne rozważania. Jewtuszenko to także dziecko Żdanowa, ale pozwolono mu włożyć dzinsy.

Żdanow w dzinsach, to charakterystyczna cecha nowej polityki kulturalnej. Władze operują nie tylko knutem, ale i piernikiem. Historia Georgija Władimowa to przykład posługiwania się piernikiem. W końcu 1975 roku na Zachodzie wydano powieść G. Władimowa pt. „Wierny Rusłan”, powieść o psie, która — według Andrieja Siniawskiego — wprowadziła autora do wielkiej literatury. Niektórzy z pisarzy sowieckich, jeszcze przed Władimowem, publikowali swoje utwory za granicą. Wystarczy wymienić Bułata Okudźawę, A. Gładilina, Władimira Wojnowicza, Warłama Szalamowa. Od każdego z nich domagano się formalnego wyparcia się. I wszyscy tego rodzaju oświadczenia ogłaszali uważając widocznie, że danie książki w ręce czytelników warte jest kilku chłodnych, urzędowych słów. Od ponad pół roku nie słyszano o represjach w stosunku do Władimowa i nie pojawiała się jego samokrytyka. Aż w lutym *Litieraturnaja Gazieta* (nr 7) opublikowała duży, na całą stronę, wywiad udzielony przez pisarza krytykowi, F. Kuzniecowski. Krytyk próbował podsunąć pisarzowi to, co trzeba powiedzieć: „Nieprzyjaciele za granicą próbują czasami wykorzystać brak dojrzałości niektórych naszych pisarzy; działają we własnym interesie, a ze szkodą dla naszego kraju podsycając ambicje i ludzkie słabości pisarzy jak również urazy wywołane złym funkcjonowaniem naszych domów wydawniczych”. G. Władimow odpowiedział wymijająco: „Szczynący się pisarz, który zna cenę i znaczenie swojej odpowiedzialności przed społeczeństwem nie pozwoli sobie napisać ani jednej linijki, która mogłaby przynieść szkodę jego krajowi i wszelkie usiłowania wykorzystania jego utworu kategorycznie odrzuca”. I podkreślił, że „leży w naszych możliwościach... w porę interweniować i naprawiać wydawnicze nieporządki...”, to jest wydać książkę, zatrzymaną przez cenzurę. Dowiadujemy się z wywiadu, że powieść Władimowa „Trzy minuty milczenia”, opublikowana w swoim czasie w *Nowym Mirze*, cztery lata przeleżała się w wydawnictwie i dopiero teraz (po wydaniu „Wiernego Rusłana”) ukaże się w wydaniu książkowym.

Pojawienie się na Zachodzie grupy pisarzy sowieckich — A. Sołżenicyna, W. Maksimowa, W. Niekrasowa, A. Siniawskiego, I. Brodskiego, N. Gorbaniewskiej, N. Korżawina i innych, powodzenie kwartalnika *Kontinent* (w kwietniu ukazał się nr 7-my), ciągle zainteresowanie literaturą rosyjską są magnesem przy-

ciągającym pisarzy sowieckich, piszących w ZSSR. Najbardziej odważni i utalentowani ujrzeni możliwość przebicia ściany cenzury, możliwość publikowania na Zachodzie. I władze sowieckie zostały zmuszone do liczenia się z tym, do pójścia na ustępstwa wobec tych pisarzy, którzy bronią swych praw.

Zresztą kierownicy sowieckiej literatury mogą zawsze liczyć na pomoc swoich kolegów z KGB (oficerowie KGB przechodząc na emeryturę zwykle zajmują się literaturą). W marcu paryskie *mass media* łapczywie rzuciły się na sensacyjną wiadomość: z Francji wydano pułkownika KGB Iwanowa. Potem okazało się, że nazywa się on inaczej, że francuski kontrwywiad zna go od dawna i to pod różnymi nazwiskami. Główna jednak sensacja polegała na tym, że pułkownik KGB (a to nie to samo co kapitan!) zjawił się w stolicy Francji by nastraszyć rosyjskich pisarzy, niedawnych emigrantów. Władimir Maksimow w artykule zamieszczonym w paryskiej *Russkoj Mysli* uznał szantaż KGB za najwyższą ocenę działalności rosyjskich pisarzy na emigracji.

Adam KRUCZEK

Kronika litewska

„I jak tu nie zazdrościć Litwinom”. Westchnienie to — zacytowane później w gazecie litewskiej — wyrwało się polskiemu sprawozdawcy *Dziennika Związkowego* na wiadomość, że Litwini zorganizowali już trzeci światowy zjazd młodzieży, tym razem w Argentynie. Pierwszy był w USA; drugi, tamże otwarty, zakończono w Kanadzie, zaś ostatni, z „kucją” i spotkaniem Nowego Roku, był wędrowny: w Argentynie, Urugwaju i Brazylii. Z Kalifornii odleciał wielki odrzutowiec zabierając 251 uczestników zjazdu, a i australijscy młodzi Litwini wynajęli za 50 tysięcy dolarów specjalny samolot.

Następny zjazd ma się odbyć za cztery lata, na odmianę w Europie. Wybór coraz to innych krajów, poza Stanami Zjednoczonymi, ma dwie zalety: Złoty te są atrakcyjne nie tylko dla społeczników, ale i dla wycieczkowiczów, a po drugie uczestnicy mówiący przeważnie językami krajów zamieszkania a słabo po litewsku, są zmuszeni do używania tego wspólnego dla wszystkich języka, gdyż Kanadyjczyk nie zna portugalskiego, a Argentyńczyk — angielskiego.

Prócz tradycyjnych pięknych uchwał, są też i bardziej praktyczne, a godne uwagi: o potrzebie informacji o Litwie w językach krajów osiedlenia, o podtrzymywaniu łączności między rozsianymi skupiskami emigracyjnym itd.

W Nowym Jorku zebrał się „sejm” Naczelnego Komitetu Wyzwolenia Litwy (VLIK) z udziałem 42 delegatów partii politycznych i rozmaitych ugrupowań. Przewodniczącym pozostał nadal dr K. Viliunas, zastępcą — dr. B. Nemickas. VLIK pracuje w kontakcie z min. S. Łozoraitisem, szefem dyplomacji litewskiej, wyznaczonym legalnie jeszcze przez prez. Smetonę. Aczkolwiek powstał jakiś rozłam w organizacji społecznej obejmującej

Litwinów w USA, to jednak na najwyższym szczeblu akcja jest skoordynowana.

VLIK wydaje serwis informacyjny ELTA w językach litewskim, angielskim, francuskim, włoskim, hiszpańskim i portugalskim. Serwis w języku litewskim za miesiąc styczeń zawiera trzydzieści kilka stron, przynoszących dużo informacji, cytowanych następnie w prasie emigracyjnej.

W uchwałach VLIK'u kładziono nacisk na informację (angażowanie fachowców), najważniejszą broń emigracji. Nie tylko kraj, ale i emigracja holdują hasłu: wytrwać i zachować swą kulturę.

Uchwały w Helsinkach naturalnie zostały uznane za bardzo niepomysłne, pocieszono się jednak stwierdzeniem przez Kongres, że Stany Zjednoczone nadal uznają niepodległość Litwy, oraz odwołaniem przez nowy rząd australijski uznania *de jure* inkorporacji państw bałtyckich do Zw. Sowieckiego.

Gdy delegat sowiecki głosił w ONZ, że nie można wtrącać się do spraw Portugalii i „deptać praw narodu”, min. Łozorajtis wysłał memoriał do przewodniczącego zgromadzenia ONZ, wskazując na deptanie tych praw w okupowanych krajach bałtyckich. Gdy K. Waldheim — który swego czasu apel 17-tu tysięcy litewskich katolików schował pod sukno — odwiedził Australię, doczekał się wrogich demonstracji od pamiętliwych Bałtów.

W dziale kontaktów międzynarodowych można przypomnieć, że Simas Kudirka powiedział Amerykanom sporo prawdy o Sowietach, Algirdas (Olgiard) Landsbergis zamieścił w *Kontinent* Nr 5 artykuł pt. „Orwell i Kafka wciąż żyją na Litwie”, litewski kwartalnik *Seja* zamieścił całą dyskusję Mieroszewski-Bromke itd.

W czerwcu ub. roku odbyła się w Sztokholmie konferencja Instytutu Bałtyckiego, z udziałem naukowców z 14-tu krajów. Delegaci z Polski i Węgier nie przybyli. Japończyk mówił o zainteresowaniu w jego kraju twórczością litewskiego malarza Czurlonisa a prof. Strażas z Izraela (Uniw. Haifa) mówił o znajdującej się na Litwie dokumentacji dotyczącej działalności litewskiej Taryby w latach 1917/18, co mogłoby być ciekawe ze względu na poszlaki, że w oficjalnej litewskiej wersji, rola Stanisława Narutowicza w doprowadzeniu do ogłoszenia niepodległości Litwy została pominięta.

Mieszkaniec Sowieckiej Litwy gdy trafi do Polski, reaguje inaczej niż na emigracji: „I jak tu nie zazdrościć tym Polakom” — mogą chodzić do kościoła, trochę pozzrzedzić, łatwiej wyjechać za granicę, wszędzie swój język.

W styczniu odbył się w Wilnie zjazd 908 delegatów litewskiej partii komunistycznej, liczącej 145 tysięcy członków. Na sekretarza partii został ponownie wybrany Griškevičius, a na drugiego sekretarza Charazow, jak zwykle Rosjanin przysłany z Moskwy. Aczkolwiek wśród delegatów większość stanowili nowi ludzie, to jednak na naczelnych stanowiskach nie ma większych zmian. Już w listopadzie przeszedł na emeryturę przewodniczący Rady Najwyższej (prezydent) Šumauskas, a zastąpił go nieco młodszy Barkauskas.

Prócz Kroniki L.K.K., której Nr 20 dotarł już na Zachód, ukazało się nowe pismo podziemne *Aušra* (Jutrzenka), przyjmujące nazwę pierwszego czasopisma, propagującego przed stu laty ruch litewskiego odrodzenia narodowego. Nowa *Aušra* nie jest pismem politycznym, nie zwraca się ani przeciw komunizmowi, ani przeciw Rosjanom. Ma nadzieję, że komuniści, uczeni patriotami, będą je popierać. Głosi hasła odrodzenia moralnego, zachowania kultury narodowej i jej rozwoju. „Naród litewski ostoi się jeżeli będzie miał wyższy poziom kulturalny, niż jego ciemniejsi”. Cisi i zamknięci

w sobie Litwini, muszą jednak czasem się wyładować. Na meczach koszykówki, w zamkniętych salach okrzyki publiczności sięgają nasilenia 120 decybeli (tyle co sławetne odrzutowce „Concorde”), gdy zwycięża swoją drużyną, lub gdy kwestia jest sporna, a rzadko spadają poniżej 90 decybeli. Podobnie w paru nocnych restauracjach w Wilnie i w Połdże orkiestry „przygrywając” dają efekt 110 decybeli. Ludzie tam chyba tego popijają skoro co czwarty wypadek drogowy jest spowodowany przez pijanego kierowcę.

Wyda się, że rząd sowiecki zabrał się do zwalczania wpływu emigracji na tubylców poprzez pomoc materialną. Przesyłka pieniędzy została tak obstawiona, że się absolutnie nie kalkuluje, paczki są obłożone ogromnymi podatkami, a dochodzą wieści, że i rynki handlu ciuchami zostały zamknięte, czy też handel nimi utrudniony.

Ostatnio parlament kanadyjski — na wniosek posła dr. Haidasza, stwierdził raz jeszcze, że nie uznaje inkorporacji państw bałtyckich do Związku Sowieckiego. W Australii Polacy brali czynny udział w protestach Bałtów, z powodu uznania tejże inkorporacji przez premiera Whitlana (a następnie odwołanej przez premiera M. Fräsera). Przypomnijmy też, że to kongresman Derwiński uzyskał audiencję Bałtów u prezydenta Forda. Toteż gdy w Australii Polacy urządzili szereg wielkich wiecew protestacyjnych z powodu zmian konstytucji PRL, miejscowy tygodnik litewski podał o tym wiadomość, nawołując swych czytelników do udziału w protestach, i dodając: „Teraz nasza kolej pomóc Polakom”.

Prezydent Ford oświadczył ostatnio, że słowo *détente* przestało być aktualne dla określenia stosunków amerykańsko-sowieckich, ale wydaje się, że zaczyna ono być aktualne dla stosunków polsko-litewskich.

Między Kownem a Koszedarami jest miasteczko Prowieniszki, a w pobliżu eksploatacja torfu i lasy. Przed wojną pracowało przy dożywaniu torfu kilkudziesięciu więźniów skazanych na ciężkie roboty.

W roku 1940 władze sowieckie urządziły tam obóz, w którym odbywały się masowe egzekucje. Za niemieckich czasów kontynuowano tę tradycję. Prócz Litwinów stracono tam 250 Francuzów (prawdopodobnie żydowskiego pochodzenia). W ostatnim miesiącu hitlerowskich rządów osadzono tam również grupę polskiej młodzieży, zarówno miejscowej, jak i z batalionów pracy, rodem z Pomorza. Grupa była tak mało zakonspirowana, że istnieje podejrzenie, że jej organizator bardzo „czerwony”, był sowieckim prowokatorem, dążącym do wykończenia zapalnej polskiej młodzieży niemieckimi rękami. Ale poszły w ruch zabiegi, ewentualnie łapówki i młodym Polakom pozwolono uciec, a litewskich komunistów i in., przed odmarszem stracono.

Ostatnio dochodzą wieści, że obóz w Prowieniszkach znów funkcjonuje i ma około 400 łagierników. Ale nie jest to obecnie obóz śmierci a raczej obóz odosobnienia. Może to i praktyczne wykorzystanie starych instalacji, ale niefortunne pod względem propagandowym, bo Prowieniszki dla Litwinów to Katyń i Oświęcim razem wzięte.

Nieraz podawano w prasie, że spośród 34 kościołów wileńskich wciąż jest czynnych 13. Wiadomości z ubiegłego roku zmniejszyły tę ilość do 9-ciu. Dwa są z polskim nabożeństwem, dwa z litewskim i pięć z dwujęzycznym. W Kownie bodajże nie ma polskich nabożeństw. Bywają one

jedynie w pobliskiej, zawsze bardzo polskiej, okolicy szlacheckiej-Wędrzynie. Natomiast w Warszawie są regularnie, co niedziela msze litewskie.



Projektowana jest budowa mostów na Wilii: w Kownie i Garunach, oraz na Niemnie w Jurborgu. Siłownia atomowa w Ignalinie ma mieć reaktory o mocy 1,5 milionów kilowatów każdy. Kowno i Wilno mają otrzymać po nowej rozgłośni radiowej i telewizyjnej. Radio wileńskie nadaje audycje w języku polskim o godz. 23.30.

E. ŻAGIELL

Białoruskie pokłosie

I

Niespodziewanie znalazłem się w sytuacji, o jakiej rosyjskie porzekadło mówi: *bez draki popał w bolszyje zabijaki*.

Podejmując, po wysunięciu koncepcji „ULB” w *Kulturze*, próbę zapoznania jej czytelników z na ogół mało znanym kandydatem na politycznego partnera, zdawałem sobie sprawę z trudności zadania. Nie tylko dlatego, że przebiegająca przeważnie w podziemiu, białoruska historia nie jest opracowana; warunki w jakich pracuję dają mi dostęp do wielu materiałów, nieznanych niekiedy nawet przywódcom współczesnych Białorusinów. Ale to właśnie zrobiło, czy, co najmniej, przyczyniło się do zrobienia, że mnie *zabijaki*.

Nieduża na ogół znajomość historycznych zdarzeń sprzyja rozbiciu ruchu białoruskiego oraz potęguje wzajemne „zaciełziewienie”, wobec którego stosunki, jakie istniały wśród Polaków w okresie „sprawy Mikołajczyka” czy Zaleskiego, wydają się idyllą. Obserwator z zewnątrz musi się z tym „zaciełziewieniem” liczyć, nie może go jednak podzielać. Jeśli dla wielu Białorusinów redaktor czasopisma, ukazującego się w Kanadzie od przeszło 25 lat, pozostaje wciąż *non-person*, obserwator z zewnątrz nie może go nie zauważyć. Fakt, że, nazwawszy go *enfant terrible*, nie pominąłem działalności Chmury-Siniaka w przeglądzie życia białoruskiego na emigracji, stworzył formalny powód niezadowolenia czy nawet obrazy. Istotna ich jednak przyczyna była, wydaje mi się, inna.

Aczkolwiek legendy odgrywają poważną rolę w rozbudzaniu i ugruntowywaniu w masach uczuć patriotycznych, właściwe ich miejsce jest nie w historii, lecz w literaturze. „Reduta Ordon” czy „Dziwica-bohater, Emilia Plater” zdobyły i utrzymują w literaturze polskiej poczesne miejsce, pomimo iż historycy wykazali, że rzeczywiste fakty były odmienne. W białoruskiej historii legendy nie są demaskowane, lecz kulturowane i rozbudowywane. Wśród nich jedną z najważniejszych, choć nie jedyną, jest legenda o Białoruskim Kongresie, z którego wywodzić się miały zarówno Deklaracja Niepodległości Białorusi jak i jej legalne władze państwowe.

W 1958 roku czołowy białoruski organ *Бацькаўшчына* w sześciu numerach 397-403 wydrukowała szczegółowe zeznania „naocznego świadka”: rzekome wspomnienia rzekomego, anonimowego, delegata na ów Kongres, który,

jak to za każdym razem figurowało w tytule, miał trwać od 18 do 31 grudnia 1917 według „nowego” stylu, czy też od 5 do 18 według „starego”. Wierząc drukowanemu słowu, czytelnicy mieli wszelkie podstawy do przekonania, że w czasie dwutygodniowych normalnych obrad Kongres był w stanie założyć solidne fundamenty białoruskiej państwowości, oraz powołać jej prawomocne organy, które następnie, jak dowiadywał się z artykułów drukowanych przy innych okazjach, w lutym 1918 roku objęły władzę w Mińsku i 25 marca uroczystie proklamowały całkowitą niepodległość Białorusi.

Wychowany na tych legendach, co roku powtarzanych i rozbudowywanych z okazji białoruskiego Święta Niepodległości, czytelnik musiał być szczerze zgorszony, czy nawet oburzony, czytając moje artykuły w *Kulturze*. Mógł szczerze uważać za „fałsz” lub „fantazje” gdy pisałem:

- że tzw. Kongres Wszechbiałoruski, a właściwie półtoratysięczny wiec, po najwyżej kilkunastu godzinach „obrad” (w tym głównie przemówień powitalnych) został przez bolszewików rozpędzony PRZED powzięciem jakichkolwiek formalnych uchwał oraz przed wyłonieniem innej niż prezydium zjazdu egzekutywy;
- że powstała *via facti* po rozpędzeniu zjazdu tzw. Rada Zjazdu żadnych formalnych uprawnień nie posiadała i jej skład nie był legalnie ustalony;
- że po panicznej ucieczce bolszewików w nocy z 19 na 20 lutego 1918 r., „władzę” w Mińsku „objęli” RÓWNOLEGLE Polacy z Korpusu Dowodzenia i Białorusini z Rady Zjazdu; faktyczna przewaga była po stronie Polaków, którzy zdołali złupić instytucje i składy państwowe (przeciwko czemu Białorusini mogli tylko protestować, proponując powołanie Komisji Mieszanej) a następnie, w południe 21 lutego, formalnie przekazać miasto naddążającemu oddziałom niemieckim;
- że w ciele, które w nocy z 24 na 25 marca 1918 zdecydowało o proklamowaniu niepodległości Białorusi, tzw. Rada Zjazdu stanowiła faktyczną mniejszość 27-miu osób wobec 9-ciu przedstawicieli Białorusinów z Wilna, 20-tu delegatów samorządów miejskich i ziemskich, oraz 15-tu przedstawicieli nie-Białorusinów; że uchwała o proklamowaniu niepodległości zapadła nieznaczną większością głosów i spowodowała secesję 28 uczestników obrad; że po tej secesji większością 35 głosów przeciwko 4 i przy 4 wstrzymujących się uchwalono wysłanie do Cesarza Wilhelma depechy z prośbą o pomoc i roztoczenie opieki nad Białorusią, która miała pozostać w trwałym związku z Rzeszą Niemiecką.

Z punktu widzenia szczerzych i głęboko wierzących białoruskich niepodległościowców twierdzenia powyższe mogły być tylko „fałszem” lub „fantazją”; co więcej, stanowiły coś w rodzaju politycznego bluźnierstwa, zbrodnie *laesa maiestas* w stosunku do białoruskiej państwowości. W tej sytuacji, naturalnym odruchem była chęć walki w obronie uznawanych za bezwzględnie wartości, kwestionowanych przez „wrogię bluźniercę”. W moim jednak wypadku reakcję utrudniał zasadniczo przychylny dla białoruskiej sprawy, a uprzejmy w stosunku do wszystkich jej szczerzych szermierzy, ton artykułów. Poza tym, być może, niektóre przynajmniej osoby, bardziej poinformowane o historycznych faktach, żywiły wątpliwości, czy aby moje twierdzenia są tylko opartą na czystej „fantazji”, nieprawdą. W rezultacie, reakcja miała charakter raczej zabawny. Nie dotykając najbardziej bolesnych spraw zasadniczych, wytknięto mi drobne omyłki w sprawach drugo- i trzeciorzędnych, by na podstawie „tych przykładów” zakwestionować wartość „innych faktów i w ogóle samego artykułu”, w którym „ustalone fakty” miała podpierać „fantazja”. W następnym liście, po ogłoszeniu artykułu o kanadyjskiej *non-person*, wysunięto przypuszczenie, że to ona była źródłem poda-

wanych przeze mnie „non-faktów”. Równolegle do tych peryferyjnych harców w Paryżu pojawiały się notatki w nowojorskim *Biełorusie*. I one nie dotyczyły bolesnych spraw zasadniczych, natomiast mogły być ostrożną i dość nieśmiałą próbą zastosowania w stosunku do mnie metody, zalecanej w swoim czasie przez Lenina.

Arcey-mistrz strategii i taktyki walki z osobami, które uważał za swoich przeciwników, Lenin w przemówieniu na sądzie partyjnym w marcu 1907 sformułował teorię dwojakiego rodzaju polemiki: wewnętrznej, mającej na celu przekonanie przeciwnika argumentami racjonalnymi, i zewnętrznej, gdzie nie chodziło o poprawienie błędów czy przekonanie przeciwnika, lecz o wzbudzenie w stosunku do niego „nienawiści, wstrętu i pogardy”.

W drugiego rodzaju „polemice”, Lenin nie zalecał używania argumentów logicznych, lecz „krzyk przeciwnika *matom*” lub piętnowanie go „*bubnowym tuzem*”, czyli mówiąc językiem bardziej powszechnie używanym, obrzucanie ordynarnymi wymysłami lub też przypisywanie cech budzących odrazę. Aczkolwiek jeszcze w końcu 1974 roku w liście prywatnym zostałem zwymyślany od „politruków” i uprzedzony, że w razie ogłaszania artykułów białoruskich będę zaatakowany „z licznych peryferii”, nie przypuszczałem by perfidna, choć *sophisticated*, metoda leninowska mogła być zastosowana przez Białorusinów, tym bardziej, że ów list pisany był przez półinteligenta i okazał się apokryfem. Toteż gdy w pierwszej notatce w *Biełorusie* zupełnie bezpodstawnie imputowano mi podzielenie sowieckich teorii („*chłusni*”, czyli bzdur), sądziłem, że zachodzi nieporozumienie i poprosiłem o rzeczowe sprostowanie. Zdziwiło mnie, że spotkało się to z pewnymi trudnościami; ostatecznie jednak, po wymianie przyjaznych listów z Redaktorem Naczelnym Doktorem USB Stanisławem Stankiewiczem, sprostowanie z pewnym opóźnieniem zostało wydrukowane.

Wydrukowanie drugiej notatki, dość perfidnie choć przejrzystie imputującej, iż rzekomo „śpiewam u *wadzim gotas*” z komunistycznym czasopismem mińskim, zdziwiło mnie jeszcze bardziej. Wciąż odrzucając myśl, że może to być planowa akcja, mająca na celu wzbudzenie „nienawiści, wstrętu i pogardy” do mojej osoby, 22 listopada ub. roku napisałem do dawnego kolegi uniwersyteckiego prywatny list z prośbą o ewentualne wyjaśnienia. Odpowiedzi dotąd nie mam, nie tracę jednak nadziei, że ją otrzymam.

II

Reakcja *Biełoruskoho Głosu*, zaczepianego obok mnie w listach do *Kultury* i notach w *Biełorusie*, była bardziej ostra, nawet gwałtowna. W październikowym jego numerze 237 ukazał się dwuszpaltowy artykuł pt. „Wuniacki służka 'baroniec' Prawosławu”. Podpisany pod nim wybitny przedstawiciel „kanonicznej” Cerkwi białoruskiej, Ojciec Alimp, dawał wyraz zgorzeleniu, że obcy „Polak-katolik” lepiej niż Białorusini zorientował się w istotnej przyczynie rozłamu w BAPC i uczciwiej o tym informuje. To ostatnie, zdaniem artykułu, bardzo nie podobało się „katolickiemu *Biełarusowi* Dra Stankiewicza” oraz jego „podpiewale”, byłemu „andersowskiemu wojace” Akule, który „zarzucił Sukiennickiemu niemal 'fałszowanie' historii”. W dalszym ciągu następowało obszerne omówienie istotnych czy rzekomych intryg katolickich i unickich przeciwko „prawdziwemu prawosławiu” oraz wyliczenie wielu grzechów popełnionych w związku z tym przez samego Akulę czy innych „stauleńnikou katalikou u BAPC”, gorliwie rzekomo występujących się „watykańskiemu cesarzowi w papieskiej mitrze”. Aczkolwiek, wbrew moim przewidywaniom w odpowiedzi na list p. Akuli, Ojciec Alimp nie zaliczył Metropolity Andreja do „tajnych agentów Watykanu” i nawet twierdził, że, jako „iścienny Prawosławny”, szuka on, obecnie „szla-

chu” by doprowadzić swą Cerkiew „da praudziwego Prawosławu”, artykuł jego świadczył, że podniesione przeciwko mnie zarzuty p. Akuli nie były uzasadnione. Powinieniem z tego się cieszyć, jednakże użyte kilkakrotnie w artykule określenie „Polak-katolik” nieco mnie żenuje, gdyż w polskim życiu politycznym stanowiło ono monopol grup, z którymi wiele wspólnego nie miałem.

Na drugą notatkę *Biełarusu* zareagował zastępca redaktora *Biełaruskoho Głosu* W. Wir artykułem wstępnym w numerze styczniowym 240 pt. „Obywatel Redaktor jest niezadowolony”. Nie miał mi on za złe, że jako „Polak z Wilna” rozpocząłem białoruskie przeglądy od „ośrodka najbardziej bliskiego polskiej racji stanu”, katolików i ich „poputezyków”, oraz „z natury rzeczy najbardziej polonofilskiej części emigracji, tzw. BNR Abramczyka”. Uważał jednakże, że szkicując życiorys polityczny najbardziej obecnie czynnego działacza tej grupy, redaktora *Biełarusu* Dra Stankiewicza, byłem zbyt „delikatny” i pominąłem wiele szczegółów. Z obszernego uzupełnienia p. Wira wynikać miało, że Dr Stankiewicz był „geniuszem przystosowości” kameleonem politycznym.

Po tym „uzupełnieniu” p. Wir pisał:

„Wydawałoby się, że Dr Stankiewicz powinienby podziękować za tak dla niego przyjemną, gładką biografię w polskim miesięczniku, ale gdzie tam. Pan Redaktor się zezłościł i naprzód napuścił na profesora Sukiennickiego swego *podbrechacza* Akulę, który obrzucił profesora Sukiennickiego wymysłami w rodzaju 'fałszerza' itp., następnie wystąpił sam zestawiając profesora Sukiennickiego z fałszerzami i paszkwilantami z mińskiego komunistycznego *Głosu Rodzimego*”.

Zdaniem p. Wira, powodem tego było, że Dr Stankiewicz poczuł się bardzo dotknięty, iż:

„profesor Sukiennicki zechciał uwzględnić wszystkie odcienia białoruskiego życia emigracyjnego i trzeci przegląd poświęcił Chmarze, *Biełaruskomu Głosowi* i *Bajawoj Uskałosi*, zaś czwarty Panuciewiczowi i jego *Litwie*”.

Wir sądzi, że Dr Stankiewicz nie miałby nie przeciwko pisaniu o Chmarze, ale w oparciu o materiały, zawarte w „prowokacyjnym paszkwilu”, jaki miał o nim sam napisać w Monachium i następnie go rozsyłać rządowym czynnikom.

Po zgłoszeniu pewnej pretensji, że nie podkreśliłem wyraźniej różnicy pomiędzy wydawaną za „obce fundusze” przez Stankiewicza *Backouszczyna* and Chmarowski *Głosem*, utrzymywanym przez 25 lat dzięki ofiarności „setek prenumeratorów”, i tłumacząc to rzekomą moją sympatią do Dra Stankiewicza, z powodu wyznawania tej samej wiary (*adnawiercu*), artykuł kończył się słowami:

„*Woś zatoje i maje ciaper' ad uźbiezahanaho prystasawanca padziaku!*”.

III

Jeśli, jak sądzę, wbrew niedopowiedzianym insynuacjom czy nawet oszczerstwom, w moich białoruskich artykułach nie ma błędów w sprawach zasadniczych, jest ich sporo w kwestiach mniej istotnych; z paru z nich już się „pokajałem” w odpowiedzi na pierwszy list p. Akuli. Ostatnio anonimowy (Dlaczego?) list ze Szwecji oraz p. Kazimierz Trębicki wytknęli, że wbrew temu co napisałem w zeszycie 340/41 *Kultury*, były Ambasador Rzplitej w Londynie Konstanty Skirmunt nie został zamordowany w 1939 r. na Polesiu, lecz życia dokonał w 10 lat później w Polsce Ludowej. I zno-

wuż mogą się tylko „kajać”, gdyż wina jest wyłącznie moja. Anonimowy autor opracowania w *Zwazaj* wspomina i opisuje majątek K. Skirmunta „Moładaw”, lecz nie wymienia Ambasadora wśród osób zamordowanych; pisze:

„Komuniści wymordowali służbę i zabili Henryka i siostrę Marię Skirmuntów. Zabili również Romana Skirmunta, którego majątek był u Pareczczy, zaledwie o 7 km. na wschód od Moładawa”.

Jak z tego wynika, anonimowy autor nie popełnił błędów które by mogły zakwestionować wiarygodność całości jego relacji. Zawiniłem ja, bądź to niedokładnie streszczając bądź niewłaściwie „polonizując” podane przez niego w brzmieniu białoruskim nazwy miejscowości. Tytuł jego opracowania brzmi „Motal”.

Wreszcie, na zakończenie uwaga o charakterze bodaj „regionalnym”. Polesia, gdzie p. Trębicki bywał w czasach młodości, nie znam. Znam natomiast Litwę, gdzie nie było w zwyczaju alarmować, że „pszczoły się roją” gdy się spostrzegło dwie czy trzy pszczoły a raczej „pszczołki”.

Wiktor SUKIENNICKI

Luty 1976

P.S. — Zamieszczona w styczniowym numerze 225 *Bielorusa* nota „Uwagze czytelników”, datowana 26. I. 1976, informuje, że jego naczelny redaktor Dr Stanisław Stankiewicz od dłuższego czasu jest chory i przebywa w szpitalu. Być może tłumaczy to zarówno fakt wydrukowania prowokacyjnej notatki w numerze październikowym jak i brak odpowiedzi na mój list z 22 listopada ub. roku.

W. S.

FRAGMENTS

Redaguje CHARLES JOEL

Rozpoczęto 3-ci rok działalności, dotyczącej przekładów artykułów *Kultury* na język angielski. Prenumerata na rok 1976 — 10 numerów (tom 3-ci) — wynosi dol. 8,50 włącznie z kosztami przesyłki. Indeksy wysyłane są bezpłatnie na indywidualne zamówienia.

Każdy nowy prenumerat, który wpłaci dol. 23,50 będzie miał pokryty abonament na dwa lata 1976 i 1977 a ponadto otrzyma dwa tomy *Fragments* za lata 1974 i 1975 (20 numerów). Ze względu jednak na ograniczoną ilość dawnych numerów Redakcja zastrzega sobie prawo odmowy powyższej oferty i zwrot nadesłanych pieniędzy, gdyby zamówienie przyszło już po wyczerpaniu nakładów.

Zamówienia i czeki należy przysyłać do:

FRAGMENTS

Correspondance Home Study of Languages
P.O. Box 744, Sutter Creek, Cal. 95 685. U.S.A.

Sprawy i troski

List z Londynu

„Pan Pyzik, specjalizujący się w dziejach pierwszych polskich emigrantów na kontynencie południowo-amerykańskim, odkrył w Buenos Aires dokument, z którego wynika, że w 1868 roku Juliusz Olsiewicz zwrócił się do cesarza Francji o zmianę swego nazwiska na Jules Verne i prośba ta została uwzględniona. A więc głośny pisarz jest naszym rodakiem! Grażyna Nowak kazała się kłaniać”.

(Kultura, nr 1/340-2/341, 1976).

Szanowny Panie Redaktorze!

Zelektryzowała mnie wiadomość o tak bezcennym dodatku do narodowego Panteonu. Alleluja — oto ten przełom, na który czekały pokolenia! Teraz już świat nie zdoła dalej nas niedoceniać. A że radości chodzą parami jak biedy, to jeden znajomy zapewnia mnie, że pojazdy kosmiczne, które na naszych oczach tak się rozpanoszyły w przestworzach, konstruowane są (choć naturalnie ich tzw. twórcy wolą się nie przyznawać) na podstawie wizji Żuławskiego w *Na srebrnym globie*. Znajomy powołuje się na źródło tak poważne jak *Almanach Polonii* Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną i nie sposób z nim się nie zgodzić, że bez nas Człowiek nigdy by nie stanął na księżycu.

Zresztą mniejsza o Żuławskiego, niech czeka na następną Kopernikiadę. A może go lepiej połączyć z Verne'm? Bo kuć trzeba na gorąco i przede wszystkim zagospodarować Verne'a, na powitanie Rodaka Odnalezionego rozpętać rytualne wystawy znaczków, tańce narodowe i występki dziatwy. Że nic tak świetnie nie nadaje się do obchodów w POK'ach (o ile wielki pisarz był dobrym katolikiem) i Białych Orłach jak rocznice zgonów

liczone okrągło, runęłam na encyklopedię Larousse'a. Ale encyklopedia jest nam nieprzychylna, jak na ogół zagraniczne encyklopedie, że sił braknie do wiecznej czujności i sprostowań, więc wcale się nie zdziwiłam, gdy odwarknęła, że autor *Dzieci kapitana Granta* zmarł w roku 1905. Teraz zaś mamy 1976 i spóźniliśmy się o rok, więc z celebracji dziesiętnych nici. Ale sposób się znajdzie, nie kijem go, to pałką.

Ogarnia zaduma nad naszym umiłowaniem rocznic, naturalnie tragicznych. Wziąć obchody ku czci Jałty, na których przekonani przekonanych, że to wielkie „be” i wyjątkowo nikt nie zgłasza zastrzeżeń. Albo rocznice śmierci wielkich ludzi. Albo chwalebnych bitew, z których rzadko co chwalebne wynikło. Albo Konstytucji 3 Maja, przy której myślę z ulgą: Bogu dzięki, że nie zdążyła wejść w życie, bo nasi herbowi rozniesliby ją na szablach i jaki wstyd przed Zagranicą.

Ostatnie lata mieliśmy urodzajne. Ledwo odegrzmiał Kopernik, a już Conrad stoi w kolejce. Taka zrobiłam się nerwowa, że jak rok dobiega końca, to patroszę pamięć i encyklopedie, czy aby znów nie nadciąga jakie pięć- czy pięćsetlecie, bo na do-roczne nie poradzimy. Przychodzą nieubłagane jak grypa i zima, więc człowiek nauczył się żyć mimo nich jakby nigdy nic. Groźniejsze są te marmurowe i ciemne — dziesiętne, przeważnie związane z kultem przodków. I wcale się nie kończą chorałnymi zapewnieniami z Ealingów i Claphamów, że nie rzucim ziemi, bo potem ich opisami pióra lokalnych Deotym Poczytne Łamy wraz z Gazeciątkiem rzną nas jak tępym nożem przez następny rok. (A *propos* tych wieszczów: najwyższy czas wpuścić ich do Związku Pisarzy wraz z zapoznanymi geniuszami, które z niewykłą wśród nas skromnością kryją swe dzieła po szufladach).

Na emigracji rocznicomania jest, w większym jeszcze stopniu niż nad Wisłą, bliźniaczą siostrą polonikomanii, której poświęciłam onegdaj kilka ciepłych słów, a matką obu pragnienie pokazania świata, żeśmy zachodniejsi od Zachodu. Ustosunkowanie się do tych rocznic próbujemy z właściwym nam wdziękiem wymusić na autochtonach i nigdy nam nie dość uprzejmości, jakie na odczepnego padną po anglosasku, romańsku czy honolulsku. Komunąły rzucone jak psu kość przez jakiegobądź zachodniego bubka („Polska natchnieniem świata”) przyjmujemy na klęczkach jako konkretną obietnicę w Sprawie Polskiej i przełom, od którego Zachód uzna nas za swą pełnoprawną część, jeśli nie w polityce, to choćby w kulturze. Tak strasznie chcemy być Francuzami Północy i Italią Wschodu, mieć Słowiański Paryż nad Wisłą i Polski Manchester w Łodzi, a w lasach zamiast pocziwych rysiów polskie tygrysy. Za to kategorycznie nie chcemy być sobą: ludźmi rozdroża Europy, krzyżujących się

kultur i szlaków, i dlatego właśnie innymi. Nie dociera nam do łepetyny, że innością o wiele łatwiej zainteresować niż podobieństwem, co od dawna z wielką dla siebie korzyścią pojęli Rosjanie. A my dalej polujemy na życzliwość Zachodu wykrzykując, żeśmy tacy sami, albo nawet bardziej, bo nasza literatura, sztuka i co-tam-tylko od zarania dziejów są pod wpływem. A także że nasz język jest ze wszech miar godny poznania, choć tu ujawniają się różnice w podejściu. W lutym-kwietniu 1975 na Poczytnych Łamach ugwarzali nasi intelektualisci jak najlepiej zachęcić cudzoziemców do polszczyzny niczem dziecko do ryciny: czy prezentować im igraszki w rodzaju chrząszcza brzmącego i żdźbieł lśniących od dżdżu, czy też nasze słowa pochodzenia łacińskiego, bo to tak samo jak u nich. Ostatnia metoda ma dodatkową zaletę, bo daje okazję wbić szpilkę w Moskali — że oni od greki, bizantynizmu i wszystkiego czym to cuchnie.

Rozmyślam o kulcie Wielkich Polaków, bo dotąd trapi mnie niestrawność Kopernikokonradologiczna, to niewyczerpane źródło poloników. Polonikami są również obce opisy występów dawnych i współczesnych rodaków typu pozytywnego, bo nie np. Rachmana, sławnego londyńskiego kamienicznika-pijawki, co do którego protestowaliśmy namiętnie, że to Izraelita, na co ozwał się znany poeta krwie niearyjskiej: „Jak Hemar dobry, to Hemar Polak, a jak Hemar zły, to Hemar Żyd”. (Uwaga, słownikowi polonikomani: nazwiskiem Rachmana, pisanym z małej litery, wzbogaciliśmy język angielski na oznaczenie tego rodzaju praktyk). Typ pozytywny obejmuje ogromny wachlarz zawodów i talentów: od Kopernika i Kościuszki do Poli Negri i znanego paryskiego fryzjera Antoine'a (z domu Cierplikowskiego). Jest typowe dla naszej adoracji rodaków, którym powiodło się w świecie (co w PRL imponuje jeszcze bardziej niż tu, ach te prowincjonalne sny o zagranicy!), że infantylny pamiętnik onegoż Antoine'a, w którym z samouwielbieniem eks-proletariusza opisuje swoje — a jakże! — przyjaźnie w sferach kapitalistyczno-arystokratyczno-monarchicznych, są tak chciwie pożerane w PRL, że drukował je w odcinkach brukowiec *Przyjaciółka* specjalizujący się w wychowaniu polskiej proletariuszki w duchu Socjalistycznego Internacjonalizmu i przyjaźni ze Związkiem Radzieckim.

Spójrzmy teraz kogo komu wypominamy:

Anglikom: Kanuta, Klementynę Sobieską, Julię Hauke, Conrada. *Nota-bene*: Conrad odfajkowany i teraz pora urządzić Anglikom akademię ku czci Kanuta. Dobry był katolik i niech mu obca ziemia lekką będzie.

Amerykańcom: Pułaskiego, Kościuszkę, Modrzejewską, Polę Negri, ale nie Władziu Liberace — dlaczego?

Francuzom: Marię Walewską, panią Hańską, Antoine'a oraz Madame Curie, o czym dalej. A teraz jeszcze Verne!

Austriakom i Niemcom: Sobieskiego pod Wiedniem, mniej Nietzschego i Przybyszewskiego, bo tam... tego...

Węgrom: Bema.

Australijczykom: Strzeleckiego.

Chilijczykom: Domeykę.

Turkom: Sadyka Paszę i Ludwikę Śniadecką.

Całemu światu: Chopina i Kopernika, a pech zrządził, że w obu krew nie czysto piastowska i nazwiska nietypowe, co szarpie nerwy.

Gdy mowa o wielkich uczonych, zastanawia czemu tyle — jak to nazywają Anglosasi — *hullabaloo* o Kopernika, a tak mało o M^{me} Curie, której nachalnie przylepiamy Skłodowską, czego ona na ogół sama nie robiła. Z Kopernikiem pięknie nam poszło: sterroryzowaliśmy tygiel narodów w USA żeby pisał „Kopernik”, co jego samego mocno by zdumiało, pisał się bowiem z łacińska. Choć orgię ku jego czci walnie wzmógł Rok, to nigdy na dobre nie ucicha. Czy nie znamienne, że najpomyślniej go czcili rodacy w ojczyźnie *Polish jokes*: bankiety Kopernikowskie (*sledz a la Gdynia*, *zrazy a la Thorun*, etc.), bale pod hasłem „Wszystko Się Kręci!”, oraz urodziny Wielkiego Rodaka z anglosaskim tortem urodzinowym ze świeczkami — po jednej na każde stulecie (kto zdmuchał?). Ale ten kult szerzyć może byle Działacz i Społecznik, bo nikt od niego nie wymaga znajomości przedmiotu. Starczy zakrzyknąć „wstrzymał słońce, ruszył ziemię!” i już każdy wie — tylko czy aby? Szary Człowiek, któremu dostarcza się tych intelektualnych przeżyć, gdyby był dociekliwy, spytałby „no to co?”, ale Szary Człowiek dociekliwy bywa rzadko. Co zaś tyczy się M^{me} Curie, to istoty jej osiągnąć nie da się ująć tak obrazowo i trzeba choć odrobinę wiedzieć o co chodzi. Stąd napastujemy ją z dużym umiarkowaniem i na ogół zadawaliśmy się wypominaniem, że to przecież Skłodowska. Dochodzimy do takiej perfekcji, że np. w *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej* PWN pod „Curie” figuruje tylko Eve i Pierre, a ich pani osiem tomów dalej, bo Skłodowska. Z Curie na doczepkę, niech tam!

Przez tę potrzebę rozumienia sensu jej zdobyczy setna rocznica jej urodzin w 1967 przeszła tak spokojnie — bez akademii, bankietów z *radium a la Skłodowska* (*a Polish lady*) i *polonium a la Warsaw with kasha grychana*, balów pod hasłem „Wszystko Promieniuje!!!” oraz setek wydawnictw okolicznościowych, w

których nie tylko sens, ale też język zarówno obcy, jak i ojczysty, wiele pozostawia do życzenia.



Wśród naszych literackich brązowników szczególną niechęcią darzę Mickiewiczów i Conradologów. Zresztą współczuję wszystkim znanym pisarzom, o ile rzeczywiście patrzą z nieba, że za swój trud muszą przez pokolenia dźwigać na karku tłum indywiduów obrzydających bliźnim ich dzieła, a sobie budujących na nich kariery, bo uwielbienie rzadko bywa bezinteresowne. Niektórzy z tych twórców mogliby się podpisać obiema rękami pod inwokacją Samuela Butlera, autora „szokującej” w swoim czasie powieści *The Way of all flesh*:

O krytycy, intelektualni krytycy,
Którzy mnie zachwalicie, gdy umrę,
Którzy wypatrzycie we mnie więcej i zarazem mniej niż sam
zamierzyłem,
Ale przysięgniecie skwapliwie, że cokolwiek to było — było
doskonałe.
Uznacie się za lepszych od tych, którzy, gdym jeszcze by wśród
żywych,
Przysięgali, że cokolwiek robię, jest złe
I potępiali me książki tak szybko, jak ja nadążałem je pisać [...]
Ale wy, Sympatyczni Ludzie,
Których mdli na samą myśl o mnie, bo krytycy wypychają mnie
wam do gardła,
Choć chętnie byście mnie przyjęli, gdyby was mną nie
zanudzano [...]
Zapamiętajcie, proszę, że gdybym żył, byłbym po waszej stronie
I nienawidził tych, co mnie by mordowali mną samym i was —
mną.

Z dwu wspomnianych gatunków mniej groźni są Mickiewiczolodzy, bo (pomijając chybione próby wmuszania obcym kultu Wieszcza) rzecz ogranicza się do domowego partykularza. Ale nasza Conradologia nastawiona jest bojowo i eksportowo, bo przecież żeśmy DALI. Przerzucam książczyny rodem przeważnie z PRL (co nie znaczy, że na Emigracji duch nieochoczy, tylko ciało wydawnicze mdłe) i dalej nie wiem: zdecydowaliśmy wreszcie oddać im na dobre, czy zatrzymać sobie, jak poniekąd innych piszących w obcym języku. Naturalnie ani mi w głowie wycierać twarz twórczością Conrada, chodzi tylko o to nieślubne i pewno niechciane potomstwo — Conradologów. Jak ta pani Conradolog, która pokazuje mi list Wielkiego Rodaka (o roz-

koszy niebiańska: po polsku!), żga palcem w „jam jest Polak z Polaków”, czy coś w ten deseń i szlocha rozkosznie: — Tu, o tu, SAM powiada, że jest Polakiem! — Albo te błahostki, z których lęgną się pretensjonalnie uczone rozprawy na stronicę tygodnika dużego formatu: zdawkowe liściki (po naszymu!!!), w których Conrad daje, jak zapewnia nas autor, „jedyny bodajże dowód kontaktów z organizacjami polonijnymi” — *de facto* nie życzy ich sobie uprzejmie lecz stanowczo. Kto jak kto, ale ja w każdym razie nie biorę za złe — wprost przeciwnie — że poważny człowiek nie miał ochoty uświetniać swą osobą jakichś ówczesnych Tradycyjnych Dożynek i Opłatków, obejmowania Honorowych Protektoratów czy innych zagajeń. Irytuje mnie jednak ta chęć upupienia nas, gdy tę niechęć serwuje się nam jako jeszcze jeden dowód jego gorącej polskości.

Słysząc okrzyki: — Nie czepiamy się Conrada, tylko nas fascynuje angielska literatura! — A, jeśli tak, to kandydatów do podziwiania nie brak, od głębokiego średniowiecza po nasze czasy. Nie, tu nie chodzi o angielską literaturę. Nasza Conradomania, choć przywalona stosami uczonej bibuły, rzadko pochodzi z prawdziwego przeżycia dzieł Conrada i w gruncie rzeczy płynie z tych samych źródeł, co fascynacja czytelniczek *Przyjaciółki* Antoinem. Przez obydwu, niejako *per procura*, celebруем własną wspaniałość i trąbimy w obce uszy, że TO TACY SAMI POLACY JAK MY, i dośpiewujemy, na szczęście póki co w duchu: a więc każdy z nas mógłby... Dlatego z taką lubością wypominamy też inne *nasze* przewagi, obojętnie czy chodzi o śmierć walecznych pod Savannah, wstrzymanie słońca itd., występy w roli Lady Macbeth (Modrzejewska), romans z boskim Valentino (Pola), trzymanie Anglików za mordę (Knut siostrzeniec Chrobrego), czy też uprawianie z przyrodzonym skutkiem już przez pithecanthropusa (choć dopiero niedawno odkryte i ogłoszone za sensację przez „masmedia”) czynności, za sprawą których Julia Hauke, ze zruszczonych Holendroniwców i hrabiów z łaski Mikołaja I, obdarzyła dzieci Elżbiety II krwią „polską”, co p. Wiśniewska z Londynu wypominała królownie Annie z okazji jej ślubu. Dobrze, że ta Anna nie czytuje Poczytnych Łamów.



Odwrotną stroną COŚMY IM DALI jest COŚMY OD NICH WZIĘLI. To wzięcie nie tylko nie rani naszych kompleksów, ale jeszcze podbija im bębenek, bo wynika z niego, żeśmy nic nie gorsi, bo U NAS TAK SAMO. Widać to doskonale na przykładzie wpływomani w naszych badaniach literackich, z tym oczywiście, że te wpływy idą do nas z Zachodu. Od wschodu zionie pustka, długo-długo nic, i dopiero dalej leży dopuszczalne

źródło wpływów: Kraj Smoka. Przypomina się uczona rozprawka na Poczytnych Łamach — o chińskich wpływach na Mickiewicza. Dowód: bo Wieszczyk poruszył coś z ogólnoludzkich spraw, o których Konfucjusz też miał to i owo do powiedzenia, a poza tym wspominał w *Zimie miejskiej* „z chińskich ziół ciągnięte treści”. Marzę o opracowaniu monumentalnego słownika wpływologicznego literatury polskiej, niechby stanął obok *Dziejów głupoty w Polsce* Aleksandra Bocheńskiego. Ale to zadanie nad siły osoby pracującej „od-do”, starczyłoby dla zespołu, a na stworzenie Instytutu Wpływologii brak mi środków. Zapisano lawinę papieru by udowodnić, że nasze najlepsze dzieła są rezultatem wpływów, zapożyczeń, zależności i dziesiątych pomyj po kisielu, z czego krzepiący serca wniosek: jesteśmy najistotniejszą częścią Zachodu, i wcale nas nie zniechęca, że nieraz wykazano bezapelacyjnie naszym wpływologom, jakie plotą bzdury i że „wpływni” nawet nie znali dzieł obcych, które na nich „wpłynęły”, albo nawet — że te dzieła nigdy nie istniały. Na przykład Tadeusz Sinko kazał Wyspiańskiemu wzorować się na Arystofanesie, choć Wyspiański przeczytał go dopiero po napisaniu swych dzieł „antycznych”, a Wielki Chrzanowski podawał do wierzenia, że pisząc *Męża i żonę* Fredro „musiał mieć przed oczami jakąś gotową, bardzo dobrze zbudowaną komedię obcą” i że póki się ta komedia nie ujawni, „wolno na razie przypuszczać, a przynajmniej się łudzić, że jest to (*Mąż i żona*) komedia oryginalna”. Otóż to: lepiej się łudzić, niż pozwolić Fredrze na coś dobrego choć tylko własnego. Lada chwila ktoś dostanie doktorat za udowodnienie, że Molière zrzynał od Fredry. Ze chronologia? O, nie bądźmy pedantami! A już najprędzej nada się to na bakalaureat czyli, jak nam dziś (22. I. 1976) wyjaśniły Poczytne Łamy, „B. Fil. w jęz. angielskim B. Phil.”. Bo warto wiedzieć, że ostatnimi czasy w Londynie wskrzesiliśmy stare tradycje nauki polskiej (aczkolwiek pod wpływem) i zaczęliśmy nadawać uczonym osobom stopień „bakalaureusa”. Podobno lada dzień ma być ogłoszona rekrutacja kandydatów na studia *trivium* i *quadrivium*.

Ale wpływologia przede wszystkim krzepi serca rodaków. Człowiekowi Zachodu, który nie bierze do rąk takich elukubracji, naszą taksamą i niegorszość udowadniamy doraźnie i naocznie. Wziąć te kobylaste albumy produkowane w językach zachodnich w PRL, np. o Toruniu Kopernika, starej Warszawie i Krakowie królów. Co w nich widzimy, co? Że przy zabytkach rozsiadły się nowoczesne, jak nadchodząca chwila, inkubatory mieszkaniowe, hale maszyn i koszarne sploty autostrad i że na to wszystko fabryki kopcą jak wulkany. Wionie z tego smutną mentalnością parweniusza, nie tylko tamtejszego, ale i emigra-

cyjnego, który kupuje te dzieła na „upominek dla angielskich przyjaciół”. Niech widzą, do króćset, że nas na to stać i że smok już nie mieszka pod Wawelem, a to by pomyśleli, że mamy tylko stare rudery! Szczególnie doświadcza ją tego cudzoziemcy goszczeni w PRL, wiem coś o tym. Jak na przykład moja znajoma imieniem Sheila, którą wysłano służbowo do Krakowa. Nie miała chęci i kosztowało mnie sporo zachodu by ją zachęcić. — Pamiętaj, koniecznie musisz zobaczyć to-i-to. Nie rewelacja światowa, ale bardzo piękne. — Pojechała, załatwiła, ale wolny czas też jej umilono z tą nachalną gościnnością, że to ani uciec. Zaciągnięto ją do Nowej Huty, więc uprzejmie podziwiała że dymi, a w duchu gorszyła się barbarzyńską pogardą dla środowiska i starego Krakowa. Pokazano nowiutki kołchoz mieszkaniowy, więc przekonała się naocznie jak miło mieszkać w tych M-Zero. Widziała też autostradę i zauważyła, że cuchnie jeszcze mocniej niż na Zachodzie, więc chyba gorsza benzyna. Jednym słowem oglądnięta to wszystko, od czego tu człowiek rad by uciec i nie może. Po powrocie runęła na nią: — No i jak, i co? — Jęknęła: — To było okropne, pchać się po to przez pół Europy! — Ale zaraz się zmiarkowała: — *Sorry*, nie chciałam ci zrobić przykrości.

Nie ma obawy, ta na pewno zapamięta, że U NAS TAK SAMO i ŻESMY NIE GORSI. I inni jej podobni. I na pewno dobrowolnie nie pojedą po więcej, a dźwięk słowa „Poland” będzie w nich budził głęboką niechęć. Talent do propagandy zawsze mieliśmy niewąski.



Sporządziłam spis rocznic dziesiętnych na kilka lat z góry, oczywiście z przewagą bólu i makabry. Trzymam go pod materacem, bo gdyby pofrunął na nasz kochany Londyn, do Orłów i POK'ów, to strach pomyśleć. A może już powołano Komitet Organizacyjno-Porozumiewawczy Obchodów Verne'owskich? Zapobiegawczo poświęciłam świecę naszykowaną na nowe strajki górników i elektryków. Zrobiłam z niej laleczkę i zamknawszy się w łazience, wbijam w nią szpilki sycząc odpowiednie zaklęcia, aż bliskie osoby stukają do drzwi: — Czemu nie wyłazisz? Żle się czujesz?

Tak, Panie Redaktorze — brzmi nasz kochany chrząszcz w trzcinie i nigdy mu nie brak wigoru, brzmi bydlak jak sama Concorde, która parę dni temu Skurczyła Ziemię (jak głosi tubylcza prasa) i rozpoczęła Nową Erę w Dziejach Ludzkości. Ale resztki rozsądnych ludzi, co tu i ówdzie dotąd się uchowały, nie chcą jej wpuścić na swój teren. W nich resztki nadziei.

Grażyna NOWAK

W londyńskim Klubie „Kultury”

CZY POLSKA JEST KRAJEM NOWOCZESNYM?

Pytanie, zdawałoby się, naiwne, może nawet bezsensowne. Jeden pokój może być urządzony częściowo nowocześnie, a częściowo staroświecko, a co dopiero cały kraj; jeden człowiek może być postępowy (nowoczesny) pod pewnymi względami, a zacofany pod innymi — a co dopiero cały naród. Gdyby podobne pytanie postawić grupie Anglików, to oddźwięk byłby mizerny. Anglia jest przede wszystkim angielska, a cudzoziemcy, jeśli chcą, mogą bawić się w nowoczesność. Nawet powierzchowny obserwator zauważyłby przy tym, że wielu Anglików wymawia słowo „nowoczesność” z odcieniem lekceważenia lub pogardy.

U nas jednak inaczej. Należymy do grupy narodów, gdzie *nowoczesność* i jej przeciwieństwo *zacofanie* to słowa o ogromnym ładunku emocjonalnym. Z początkiem marca br. jugosłowiański pisarz Dragoljub Ignjatovic został skazany na karę więzienia za nazwanie Jugosławii krajem zacofanym, a w kilka dni później w osobnym procesie identyczną karę otrzymał jego obrońca Srdja Popovic, który broniąc swego klienta powiedział, że jego określenie było „w zasadzie prawdziwe”. Na Zachodzie procesy takie traktowane są przez jednych jako dowód barbarzyńskiego zacofania Europy Wschodniej, przez innych jako znakomity dowcip, dla nas jednak jest to sprawa śmiertelnie poważna. Obecna Polska, podobnie jak Jugosławia, ma w swoim kodeksie karnym paragraf o szkalowaniu państwa, a co ważniejsze, społeczeństwo polskie dość powszechnie wyznaje dwie zupełnie zresztą nieracjonalne zasady: że nie wolno „kłaść własnego gniazda” i że nowoczesność jest dobra, a nienowoczesność zła.

Prof. Aleksander Matejko z Edmonton (Kanada) miał dobre wyczucie psychologii swych rodaków, gdy jako temat swego wystąpienia w londyńskim Klubie *Kultury* wybrał właśnie nowoczesność Polski. Temat rozgrzał umysły a nade wszystko serca zebranych jak żaden z dotychczas poruszanych w Klubie i dyskusja toczyła się wartko i gorąco do godziny 3-ej nad ranem!

W pierwszym rzucie do dyskusji ruszyli rzecznicy prymitywnego materializmu. Według nich fakt, że Polska zajmuje drugie miejsce w świecie w produkcji siarki, czwarte w produkcji węgla, dziewiąte w produkcji miedzi itd., itd. automatycznie plasuje Polskę w szeregu krajów szczególnie nowoczesnych. Ten ogólny argument podparto w dyskusji licznymi argumentami detalicznymi w rodzaju: polski przemysł węglowy wyposażony jest w najnowsze urządzenia, fabryka X czy Y ma najnowocześniejsze maszyny, i wreszcie nieuniknione: „nawet przyjeździ

cudzoziemcy przyznają...". W związku z tym ostatnim warto przytoczyć opinię przyjeźdnego cudzoziemca zamieszczonej w londyńskim *Financial Times* w dniu 2 lutego br. (artykuł pt. „Ambarasujący stosunek”):

„Zachodni gość w Polsce przeżywa szok spowodowany kolejkami za żywnością i niskim standardem towarów w sklepach... Potrzeba szukania przez Polskę pomysłów i technologii na Zachodzie jest wyraźnie ambarasująca i może być użyta dla potępienia tamtego systemu gospodarczego. Jest również jasne, że zacofanie rozciąga się na cały polski przemysł i objawia się we wszystkich — od wyposażenia hoteli do towarów w sklepach”.

Powtarzanie procesu demolowania w dyskusji pozycji materialistów prymitywnych byłoby bezcelowe. Inteligentny czytelnik sam go odtworzy, mając pod dostatkiem materiału dowodowego.

Gdy na poboju osiadł wreszcie kurz, do głosu doszli materialiści typu uszlachetnionego. Ich stanowisko najlepiej określa następująca wypowiedź Stanisława Gomułki:

„Należy określić stopień nowoczesności, dynamikę tego stopnia w czasie, oraz mechanizmy gospodarcze, społeczne i polityczne, będące u podłoża. Trzeba stworzyć podstawowe wyróżniki nowoczesności. Zaczniemy od produkcji materialnej. Oczywiście produkcja węgla czy siarki jest myląca. Lepsza byłaby wartość produkcji na robotnika czyli wydajność pracy, albo konsumpcja na głowę. Konsumpcja na głowę wynosi w Polsce ok. jednej czwartej konsumpcji w Stanach Zjednoczonych, czyli dystans czasu dzielący Polskę od Stanów wynosi ok. 50 lat. Ten dystans jest miarą nowoczesności. Obecny plan 5-letni w PRL przewiduje pewien postęp w konsumpcji, ale można zauważyć, że dystans w stosunku do Stanów nie ulegnie w tym okresie zmianie. Dystans w stosunku do Europy Zachodniej wynosi ok. 25 lat, mianowicie konsumpcja w Polsce równa się 1/3 konsumpcji w Niemczech i Francji, 1/2 konsumpcji w Anglii, jest więc na takim poziomie, jaki Europa Zachodnia miała ok. 1950 roku.

Drugim ważnym wskaźnikiem nowoczesności jest podział dochodów i podział majątku. W Europie zróżnicowanie to jest mniejsze niż w Stanach Zjednoczonych i wielu ludzi uważa to za wskaźnik większej nowoczesności Europy w stosunku do Ameryki. Zróżnicowanie dochodów w Europie Wschodniej było dość wysokie w latach 50-tych i maleje w czasie — można by to uznać za element unowocześniania tej części świata”.

Nawet w tym bardziej eleganckim sformułowaniu widać spore trudności metodologiczne. Jeśli ktoś wyprzedza o 50 lat pod względem konsumpcji a pozostaje o 20 lat w tyle pod względem zróżnicowania dochodów, to w sumie gdzie stoi? I dlaczego naszym punktem odniesienia mają być Stany Zjednoczone, a nie kraje przodujące w dziedzinie konsumpcji, takie jak np. Abu Dabi? Propozycja użycia wydajności pracy jako wskaźnika nowoczesności tylko wprowadza zamieszanie. Wskaźnik ten byłby tak samo niewłaściwy jak np. produkcja siarki. Możemy produkować dużo siarki i być biedni i nienowocześni, możemy też produkować dużo siarki na robotnika (mieć dużą wydajność pracy w przemyśle siarkowym) i być nadal biedni i nienowocześni, bo korzyści płynące z dużej wydajności pracy marnotrawimy, np. na

utrzymywanie bezproduktywnej rzeszy biurokratów czy tajnej policji. Wskaźniki gospodarcze — jak to zaznaczył Aleksander Matejko zarówno w otwarciu jak i zamknięciu dyskusji — nie mogą być jedynym kryterium nowoczesności, nie są nawet kryterium najważniejszym. Chodzi przede wszystkim o nowoczesność społeczeństwa. Według Matejki Polacy są społeczeństwem nienowoczesnym, bo nie dane im było wytworzyć i „skonsumować” nowoczesne instytucje życia zbiorowego. Poza rodziną i przyjaźnią wszystkie instytucje grupujące ludzi w Polsce wyrażają przymus państwa. Państwo jest tam aparatem ucisku, dokładnie tak jak to widział Marks w odniesieniu do XIX-wiecznego państwa kapitalistycznego. To zasadnicze zwicnięcie życia społecznego powoduje niedorozwój poczucia obywatelskiego. Poza tym Polacy nie mają możliwości budowania i weryfikowania swego światopoglądu, a zamknięcie społeczeństwa działa hamująco na proces duchowej fermentacji. Widać to nawet w Kościele, który zamknął się w walce z uciskiem i nie podlega fermentowi ekumenicznemu, jaki występuje na Zachodzie.

Dla rozwiania wątpliwości, czy podniesione tu problemy mają obieg w kraju można przytoczyć wypowiedź 25-letniego Andrzeja Matrakiewicza, do niedawna jeszcze mieszkańca PRL:

„System komunistyczny nie może stworzyć nowoczesnego człowieka, bo wychowuje obywatela państwa socjalistycznego, a więc człowieka charakteryzującego się konformizmem, materializmem i drobnomieszczaństwem posuniętym do karykaturalnych rozmiarów. Nie może on też stworzyć nowoczesnej struktury społecznej, bo totalizm wytwarza szereg średniowiecznych nawyków, jak nałóg bezkrytycznego posłuszeństwa, skrepowanie wolnej myśli, ale przede wszystkim dlatego, że społeczeństwo traci nieproporcjonalnie dużą część swego czasu i energii na walkę z absurdem, a mianowicie z czymś, co jest oczywiście niezgodne ze zdrowym rozsądkiem, ale istnieje ze względów politycznych... Egalitaryzm jako wskaźnik nowoczesności jest dla mnie nie do przyjęcia. Można zgodzić się z egalitaryzmem w Szwecji, gdzie wszyscy już osiągnęli wysoki poziom życia, ale w PRL oznacza on tylko równanie do poziomu nędzy. Nierówność jest potężną siłą napędową rozwoju, bodźcem do nowoczesności. Szczególnie widać to na przykładzie rolnictwa. Zostawiono chłopom ziemię, ale ze względów doktrynalnych nie pozwolono im na pełne rozwinięcie tych gospodarstw, stworzono sztuczną barierę unowocześnienia struktury i produkcji rolnej”.

MARZENIA PRZY FAJCE

Rozważania na temat tego co by było gdyby... uważane są przez Anglików za szczególnie jałową formę marzeń przy fajce, *pipe dreams*. Wydaje się jednak, że — pomijając doraźną przyjemność, jaką przynoszą marzaczemu — mogą mieć one pewne znaczenie praktyczne. Mianowicie intensywne żonglowanie ewentualnymi choćby dawno już minionymi możliwościami uelastycznia umysł, ćwiczy go w trudnej sztuce zauważania alternatyw,

otwierających się współcześnie. A więc działa tu maksyma *historia magistra vitae est*.

W dn. 9 kwietnia w londyńskim klubie „Kultury” prof. Andrzej Kawczak z Montrealu zainicjował dyskusję na temat *Polityki Zagranicznej Niepodległej Polski*, koncentrując się przede wszystkim na ewentualnych alternatywach bardziej korzystnych dla Polski. Według prof. Kawczaka już u samego zarania niepodległości, w latach 1918-20, społeczeństwo polskie na skutek braku realizmu nie dostrzegło podstawowej konieczności ułożenia stosunków przynajmniej z jednym z dwu potężnych sąsiadów. Nowopowstała Polska wywołała wrogość Niemiec przez odebranie ziem byłego zaboru pruskiego, traktat ryski rozdarł — jak to powiedział w dyskusji Józef Poniatowski — Ukrainę i Białoruś, a więc zrobił Polsce wrogów z naturalnych sojuszników. Korzystniejszymi alternatywami w tamtym okresie była albo federacja z narodami będącymi w sytuacji podobnej do Polski, albo rezygnacja z terenów etnicznie niepolskich. Żadne z tych rozwiązań nie zostało przyjęte, gdyż naród polski skażony był grzechem nacjonalizmu spod znaku Dmowskiego. Narodowa Demokracja była wrogiem wszelkiej federacji, a w traktacie ryskim przeforsowała granicę taką, wewnątrz której Polacy zmajoryzowali inne narodowości. Tu można dorzucić, że i ewentualni partnerzy federacji z Polską byli do federacji równie mało, jeśli nie mniej, przygotowani, czyli że ta alternatywa w praktyce nie istniała. Również nie było w dyskusji obrońców tezy J. Mackiewicza, że w okresie wojny polsko-sowieckiej istniała korzystniejsza alternatywa popierania Denikina przeciwko bolszewikom. Ponieważ Denikin twardo obstawał przy „jedności i niepodzielności Rosji” popieranie go równało się samozniszczeniu. Samobójstwo jest oczywiście jedną z alternatyw w każdej sytuacji, jednak jest powszechnie przyjęte nierozważanie takiego wyboru.

Następny z kolei zły wybór zrobiła Polska — według prof. Kawczaka — podpisując w 1934 roku pakt nieagresji z Niemcami. Akt ten rozbił zaufanie istniejące między Polską a Francją i w prostej linii doprowadził do kardynalnego błędu dwudziestolecia — udziału Polski w rozbiórce Czechosłowacji. Gdyby Polska tego błędu nie zrobiła i zamiast atakować poszła na obronę Czechosłowacji, to: a) Hitler nie odważyłby się na wojnę, b) nawet gdyby się odważył, to byłby przeciw niemu przewrót, c) nawet gdyby nie było przewrotu to szansa Polski w starciu z Niemcami byłaby nieporównanie większa.

W 1939 roku Polska sama znalazła się w pozycji atakowanego i znów zareagowała niewłaściwie. W obliczu śmiertelnego zagrożenia niemieckiego lepiej było przyjąć ofertę pomocy sowieckiej i zgodzić się na przemarsz wojsk sowieckich określonymi korytarzami i pod gwarancją anglo-francuską.

Ta ocena ówczesnej sytuacji opiera się przypuszczalnie na pobożnym życzeniu, że samo imię Związku Sowieckiego powstrzymałoby Hitlera od ataku, no a jak by nie powstrzymało, to... itd. j.w.

Ale idźmy dalej szlakiem wywodu prof. Kawczaka. W czasie wojny Polska — tym razem już Polska emigracyjna — popełniła trzy błędy. Pierwszym z nich było wszczęcie sporu o Katyń. Dla wyższych celów politycznych należało wtedy pohamować słuszne oburzenie i „reagować w sposób uzgodniony z Anglikami”.

Drugi błąd to wyprowadzenie całej armii polskiej z Rosji, co pozbawiło rząd polski w Londynie instrumentu do wpływania na sytuację na terytorium pod władzą sowiecką.

Trzecim błędem było dopuszczenie do zerwania stosunków dyplomatycznych z Sowietami, a szczególnie w warunkach, w jakich się ono dokonało. Było już bowiem wtedy jasne, że Polska nie wróci do wschodnich granic z 1939 roku. Granice te zostały pogrzebane w Teheranie bez pytania Polski o zgodę. Natomiast była szansa wytargowania dla Polski okręgu Lwowa i uzyskania takiego statusu, jaki w pierwszym okresie powojennym miała Czechosłowacja. Ceną za te zdobycze były ustępstwa terytorialne. Szansę tę widział Mikołajczyk, ale pozostałe stronnictwa stanęły na stanowisku nienaruszalności granic i zmusiły Mikołajczyka do ustąpienia. W ten sposób ostatnia szansa została pogrzebana.

Ten ostatni przypadek pod względem metodologii przypomina giertychowską wykładnię najnowszej historii. Według Giertycha historia świata potoczyłaby się inaczej, gdyby na ostatnim przedwojennym zjeździe Stronnictwa Narodowego prezesem wybrany został nie Tadeusz Bielecki a Jędrzej Giertych. Albowiem Giertych jako prezes obaliłby sanację i stworzył rząd narodowy z Giertychem na czele, co z kolei radykalnie zmieniłoby sytuację w okresie kryzysu czechosłowackiego: Giertych stworzyłby sojusz z Czechosłowacją i razem z nią pobiłby Hitlera, dzięki czemu świat do dziś kwitłby w pokoju i dobrobycie. Tak więc Giertych z łatwością pobiłby sanację, Hitlera i wszystkich diabłów, niestety potknął się na drobnym kamyczku, jakim był Bielecki.

Tak samo u Kawczaka: jego bohater Mikołajczyk rozprawiłby się — gdyby mu pozwolono — z NKWD, Rokossowskim, Bierutem, Stalinem... Niestety, nie pozwolono mu. Kto nie pozwolił? — Arciszewski.

Teza o korzyściach, jakie Polska rzekomo osiągnęłaby przez niewyprowadzanie armii z Rosji jest ewidentnie pozbawiona uzasadnienia. W ogóle możliwości manewru na Wschodzie, zwłaszcza za życia Stalina, są chyba przez zwolenników Mikołajczyka mocno wyolbrzymiane. Możliwe, że istniała szansa przetargów granicznych, możliwe, że przetargi te miałyby dotyczyć Lwowa — są na to pewne dowody w dokumentach i wspomnieniach. Ale to było wszystko. Teorie o bardziej niepodległym statusie dla Polski są złudzeniem. Przyjmując, że błędem było zbyt dalekie przesunięcie granicy Polski w traktacie ryskim, należy stwierdzić, że granica nigdy nie była problemem w stosunkach polsko-sowieckich. Tak dawniej jak dziś problemem była niepodległość Polski. Pod tym względem sytuacja na Wschodzie nie różniła się zasadniczo od sytuacji na Zachodzie. Obaj sąsiedzi dążyli do zniszczenia niepodległej Polski i do stworzenia Polski satelickiej.

A więc właściwie istniała tylko jedna alternatywa do tego wszystkiego co się stało. Zamiast walczyć z Niemcami Polska mogłaby sprzymierzyć się z nimi. Co by się wtedy stało? Gdyby Niemcy — razem z podległą im Polską — przegrały, to i tak nie spotkałoby Polski nic gorszego od tego, co ją spotkało. W przeciwnym razie, tzn. w wypadku zwycięstwa Hitlera nad Rosją, nad Europą czy nawet nad światem, jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że imperium Hitlera rozpadłoby się samo w przeciągu bardzo krótkiego czasu. Możliwe, że Polska wyszłaby wtedy stosunkowo obronną ręką. Zauważmy, że jedyne co nam dziś zostało to czekanie na wewnętrzny rozkład czy rozpad imperium sowieckiego.

Bohdan BRODZIŃSKI

POLSKA KSIĘGARNIA ORBIS

Przedstawicielstwo **KULTURY** i INSTYTUTU LITERACKIEGO
na Wielką Brytanię.

Wykonujemy zamówienia pocztowe na wszystkie książki polskie,
angielskie i rosyjskie.

Zawsze na składzie duży wybór książek.

Prosimy o odwiedzenie naszego sklepu podczas pobytu w Londynie.

Katalogi książek i polskich płyt gramofonowych wysyłamy na żądanie.

W dziale antykwarycznym posiadamy szereg wyczerpanych tytułów
Instytutu Literackiego.

ORBIS BOOKS (LONDON) LIMITED,
66, KENWAY ROAD, LONDON, S.W.5. ORD. — ENGLAND.
Tel.: 370-2210.

Kronika kulturalna

Prof. Kot i Ludowcy, których znałem

Wiadomość o zgonie prof. St. Kota, w wieku lat 90, w szpitalu londyńskim w dniu 26 grudnia 1975, po okropnej dwunastoletniej agonii, przyjąłem z uczuciem ulgi. Nie byłem nigdy Ludowcem, ale znałem Kota od roku 1923, z redakcji *Czasu*, gdzie wówczas nieomal co dzień się pojawiał, z gabinetu Władysława Leopolda Jaworskiego, z jego wykładów z Uniwersytetu, z kawiarni „Esplanada” na Plantach, gdzie co rana przesiadywał długie godziny w towarzystwie prof. (także generała) Mariana Kukieła. Spotykałem go także w Paryżu i w Warszawie, byłem jego urzędnikiem w Strattonie, spotkałem go wreszcie kilka razy po wojnie w Paryżu, u p. Lama, w Księgarni Polskiej na Boulevard St. Germain. Chciałem go odwiedzić w szpitalu londyńskim, gdzie Anglicy z godnym podziwu altruizmem dwanaście lat doglądali tego żywego trupa, ale sam p. Franciszek Wilk, który dyrygował opieką nad Kotem, mi to odradził. Od niego wiem, że, Bogu dzięki, Kot nie zdawał sobie sprawy ze swej sytuacji, że był prawie cały czas nieprzytomny. Czasami się pytał, dlaczego „Władek” (Sikorski) już od dawna nie był u niego, innym razem pytał się, czy „Doktor” (Lam) do niego nie telefonował, czasami się dziwił, że żona go nie odwiedza, albo też jego obie córki. Nie pamiętał, że Sikorski, Lam, żona, obie córki już od dawna nie żyją. Trudno o gorszą karę Nieba, niż takie wieloletnie dogorywanie; o ileż szczęśliwszy był Sikorski, przyjaciel Kota, który zginął w ciągu sekundy, nie zdając sobie zapewne sprawy z katastrofy samolotu, którym miał wrócić z córką i najbliższym otoczeniem do Londynu.

Powiem od razu, że dla Kota, przy braku wszelkiego uznania politycznego, miałem całe życie dużo osobistej sympatii. Z temperamentu nie znoszę złego wychowania, nie znoszę nahałstwa, nie znoszę krzykliwości, demagogii, radykalizmu, nadętości, arogancji, doktrynerstwa i... rusofilstwa, jakkolwiek by się nazy-

wało, jakiegokolwiek nosiłoby piórka. Kot był człowiekiem dobrze wychowanym, był miły, przyjazny, prosty, nie był nadęty, nigdy nie strugał dygnitarza; był w gruncie rzeczy człowiekiem konserwatywnym, bardzo typowym przedstawicielem inteligencji galicyjskiej i krakowskiej z początków XX stulecia; a w okresie międzywojennym, specjalnie po maju, trochę już myszka trącił; w czasie wojny był mamutem, a po wojnie upiorem. O ile u tyłu dygnitarzy czuło się kompleksy pochodzeniowe i te kompleksy uniemożliwiały normalne stosunki z takim np. Mikołajczykiem, a także z wielu Sanatorami, o tyle Kot był całkowicie od nich wolny, i skutkiem tego nigdy nie był, dla mnie przynajmniej, męczący, ani żenujący. Nie ukrywał swego chłopskiego pochodzenia, ale nie robił z niego sztandaru: był bardzo typowym **inteligentem krakowskim**, profesorem uniwersyteckim z zawodu, politykiem kawiarnianym z zamiłowania, ministrem i politykiem z nieporozumienia. Miał szereg zalet: był doskonałym pedagogiem, był przywiązany do swych uczniów, zawsze się poczuwał do solidarności z nimi, i w ogóle z ogółem „Krakauerów”, już trochę mniej Lwowian, ale był to człowiek, profesor, polityk galicyjski, który już Królestwa zupełnie nie rozumiał, a Kresów i Kresowiaków z całej duszy nienawidził; zupełnie nie był w stanie dostrzec jakiegokolwiek u nich zalet. Mnie traktował zawsze, jako „Krakauera” z adopcji, i stąd był dla mnie wyrozumiały. Kot widział niewątpliwie Polskę, jako Wielką Galicję. Nienawidził Rosji, i dziwnie jej nie doceniał; nie miał złudzeń Strońskiego co do intencji Stalina i Rosji, ale był przekonany, że potrafi Rosjan i samego Stalina owinąć dookoła swego małego palca, wystrychnąć ich na dudków. Dziwne niedocenywanie groźnego i przebiegłego wroga! Miał w sobie jakąś wewnętrzną pasję do intrygi dla intrygi, do plotkarstwa, do rozgrywek personalnych; była to u niego wrodzona namiętność, taka jak ta, która karciarza ciągnie do zielonego stolika. Był człowiekiem w gruncie rzeczy niesłychanie naiwnym i łatwowiernym, a wmówił w siebie, i nawet w to uwierzył, że jest jakimś Fouché. Był oddany jednemu tylko Sikorskiemu, bo miał na niego wpływ, ale jego stosunki z Witosem były zawsze więcej niż chłodne, Mikołajczyka zdrowo nie lubił. Nie lubił Retingera, może dlatego, że pod koniec swego życia Sikorski bardziej ulegał wpływom Retingera, niż Kota: Retinger miał jednak jakieś stosunki w Anglii, mówił po angielsku źle, z silnym akcentem, ale mówił, a Kot po angielsku właściwie nie mówił wcale. Kot kochał się w plotkach i w ploteczkach. Kiedyś — musiało to być w zimie 1937/38, kiedy Rydz był już marszałkiem — Kot mnie spotkał na Krakowskim Przedmieściu, i, jak zawsze, bardzo przyjaźnie, zaprosił mnie do Loursa, tuż obok, na kawę, po czym, jak zawsze oglądając się na wszystkie strony, czy aby ktoś nas nie podsłuchuje, szepnął mi na ucho: „Czy Pan wie, kto rządzi Polską?”. Powiedziałem, że nie wiem. „Rydzowa, Beckowa, Mościcka” — szepnął triumfalnie Kot, jakby był depozytariuszem sekretu grobów Faraonów — „wiem to na pewno, z najlepszego źródła, spotykają się co rano o 11-tej,

po czym dyktują swoim mężom, trzem bałwanom, którzy się tych żon ślepo słuchają, co mają robić, i jak mają rządzić!”. Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu, i rzekłem: „Nie znam tych pań, ale ani chwili nie wierzę, by miały wpływ na kogokolwiek, chyba w jakichś drobnostkach sprawach personalnych; z tego co słyszałem, to są trzy panie, bez żadnych kwalifikacji do polityki”. — „Ależ Pan jest naiwny, panie Wacławie”, zawołał Kot, szczerze zdumiony, że te ważne rewelacje przyjmuję tak sceptycznie, „nic Pan w polityce nie rozumie!”. W czasie wojny, gdy tylko Kot został po Strońskim ministrem informacji zaprosił mnie do siebie, i zapytał się mnie, ile zarabiam, i co robię. Powiedziałem, że tłumaczę na język angielski mowy Sikorskiego etc., i że dostaję 40 £ miesięcznie. „Daję Panu 250 £ miesięcznie, zawołał Kot, ale Pan mi obieca, że będzie Pan ze mną współpracował!”. Odparłem, że współpracować z nikim nie chcę, i że niech się trzyma swoich łapsów sanacyjnych i innych, których ma pełno koło siebie. Kot mi dał spokój, i tylko raz mnie zaprosił, bym mu dał informacje o stosunkach erotycznych kilku osób w Strattonie. Zdziwiony zapytałem: „Ale dlaczego to Pana interesuje?”. Kot, niemniej zdumiony, na to odpowiedział: „Jako, panie Wacławie, pan nie widzi całej grozy tej straszliwej intrygi sanacyjno-endeckiej przeciw mnie, i przeciw rządowi?”. Na to odparłem: „Jaka tu intryga? Na bezrybiu, i rak ryba, dość przystojna, młoda dziewczyna, łatwa, darmo, więc jest wielu amatorów, o co tu chodzi?”. Kot nie mógł się nadziwić mojej naiwności. Jako profesor Kot wiedział co to znaczy heurystyka, zbadanie wartości źródła; gdy był ministrem i widział meldunek: na górce „donos”, na dole podpis „szpicel”, nie było siły ludzkiej, by go przekonać, że to są bzdury. Był stuprocentowo łatwowierny. Płk Protasewicz, który był do przyjazdu smutnej pamięci Tabora-Tatara szefem Szóstki w sztabie Naczelnego Wodza, mówił mi, że Kot z Librachem i ich „Akcją Kontynentalną” położyli zupełnie placówkę ewakuacji polskich wojskowych z Francji, oficerów, żołnierzy i poborowych, bez cienia korzyści dla wywiadu angielskiego, bez cienia korzyści dla „Résistance”, ot, przez totalną nieznajomość i ignorancję elementarnej techniki wywiadu. Ze wszystkich szefów polskiego wywiadu, których znałem, miałem uznanie tylko dla płk. Matuszewskiego, który był człowiekiem naprawdę rozumnym i poważnym; był on najgorszego zdania o prawie wszystkich swych następcach i ich współpracownikach. Zawsze mawiał: „Szef Oddziału Drugiego nie może mieć zaufania do nikogo, a już najmniej do własnych oficerów, nie mówiąc o agentach; ci muszą się go bać bardziej, niż wroga”. Na prowadzenie jakiegokolwiek wywiadu, ruchu oporu etc., Kot się w żadnym wypadku nie nadawał. Tak samo był dzieckiem, gdy chodzi o dyplomację. Bardzo zadowolony z siebie, opowiadał mi szereg razy, po powrocie z Moskwy, jak zręcznie i genialnie tłumaczył Stalinowi, Mołotowowi i Andriejowi Wyszyńskiemu, że i oni, i on jednakowo nienawidzą Becka, i że to musi ich łączyć etc. Jakby

Beck czy, z innej beczki, poglądy Romana Dmowskiego, mogły takich cyników, jak sowieciarze, przez sekundę interesować!

Kot-profesor; Kot-polityk; Kot-człowiek. Trzy postacie, które są różne, bardzo różne. Jako profesor Uniwersytetu, pedagog, wykładowca, kierownik seminarium, przyjaciel swych uczniów, dbały o ich karierę. Kot był znakomity, zasługuje na same pochwały. Jako uczony i historyk Reformacji jest kwestionowany. Jaworski i Tennenbaum byli jedynymi dobrze mi znanymi osobami świeckimi w Polsce, którzy interesowali się naprawdę i żywo nie tylko filozofią, ale także teologią, czytali pisma Ojców Kościoła etc. Obaj Kota doskonale znali, byli z nim w przyjaźni, i obaj za jego plecami z niego się podśmiewali, mówiąc to samo: „Dla Kota reformacja w Polsce, to tylko chciwość możnowładców, którzy chcieli zagrabić dobra kościelne. Oczywiście, to też grało, ale to nie wszystko; Kot o metafizyce nie ma zielonego pojęcia!”. Sam się teologią, filozofią, metafizyką nigdy nie interesowałem; *l'inquiétude métaphysique*, która miała być tak typowa dla Bernanosa była mi, i jest, zupełnie obca. Ale chętnie wierzę, że historia Arian i Socynianów w Polsce musi być napisana ponownie. Co nie przeszkadza, że Kot, jako historyk kultury górował nad wielu innymi współczesnymi mu historykami. Zabranie katedry Kotowi, było wielką krzywdą.

W sumie, Kot nie odegrał w Polsce większej roli. Był satelitą Sikorskiego, raczej niefortunnym, a potem managerem Mikołajczyka, który był malusieńkim partyjnym macherem. Był on nie Ludowcem — tam był raczej wtyczką — ale „Sikorszczykiem”. Oczywiście, Kot był człowiekiem większej klasy, niż Retinger, Adam Romer itd. Nie waham się powiedzieć, że osobiście Kota lubiłem jako człowieka, że lubiłem jego towarzystwo, że rozmowa z nim nigdy mnie nie nudziła. Jego braki, jego wady były niestety w Polsce częste i dość typowe dla polskiej inteligencji, dla polskich stosunków partyjnych i politycznych, i to po obu stronach barykady, zarówno pro-rządowej, jak i opozycyjnej.

Z Ludowców znałem najlepiej Kota, potem Tennebauma; Witos, Rataja i Mikołajczyka znałem dużo mniej. Witos był z nich oczywiście najwybitniejszym. Poznałem go w roku 1924, jako student w Krakowie, i już współpracownik *Czasu*, gdzie byłem otoczony specjalnymi faworami, jako jedyny współpracownik poniżej pięćdziesiątki. Stanisław Konopka z Mogilan, który był prezesem krakowskiego Towarzystwa Rolniczego, organu ziemiaństwa, wybrał się na wspólny wiec czy zjazd z Towarzystwem Kółek Rolniczych, którego wodzem był Witos, wówczas były dwukrotny premier. Zjazd ten odbył się w Tarnowie. Podkochałem się wówczas bez pamięci w córce Stanisława Konopki, i może z tego powodu Konopka zabrał mnie ze sobą na ten zjazd. Pamiętam salę nabitą chłopami do ostatniego miejsca i pełną dymu; siorpanie nosów rozlegało się ciągle. Przewodniczył Witos,

który to robił z dużą wprawą i dużym autorytetem. Sam pierwszy przemawiał, a potem oddał głos Konopce, który wygłosił długi referat o fatalnej sytuacji rolnictwa za rządów Władysława Grabskiego, i domagał się, jak to czynią rolnicy zawsze i wszędzie, tanich kredytów od rządu. Gdy siorpanie i chrząkanie stały się zbyt głośne, Witos podnosił się ze swego zydlu, i wołał: „Cicho! Jta chłopcy, kiedy Pan Baron mówi!”. Po tym zebraniu, St. Konopka zaprosił Witos z jakimś innym ludowcem, ale nie pamiętam z kim, z Dr. Hupką, który był ziemianinem spod Przemysła, posłem do Reichsratu wiedeńskiego, a potem do Sejmu, i uchodził za wielkiego znawcę spraw rolniczych, i ze mną, na obiad w jakimś klubie czy resursie, już nie pamiętam. To co mnie uderzyło najbardziej u Witos, to był jego temperament konserwatywny. Ani sekundy nie odniosłem wrażenia, by pałał nienawiścią klasową wobec wielkiej własności; przeciwnie wydawało mi się, że Witos nie tylko wierzy w solidarność wszystkich rolników, ale że ma dla ziemian galicyjskich szacunek i jakby zaufanie. W ciągu dwóch lat następnych spotykałem Witos jeszcze kilka razy, u Jaworskiego, do którego odnosił się z atencją, i zawsze go tytułował „Excellencją” przy paru innych okazjach; kiedyś jechałem z nim we dwójkę z Tarnowa do Krakowa koleją, gdy zaprosił mnie do swego przedziału. Witos nie wydał mi się „wielkim człowiekiem”, ale *a strong personality*; miał coś mocnego, poważnego w swojej osobie; mimo długich butów i braku krawata, co w owych czasach wydało mi się niepotrzebną afekcją, Witos był dystyngowany, milion razy bardziej od gburu Mikołajczyka i wielu innych. Był zdecydowanie przystojnym mężczyzną; jego twarz wydała mi się węgierska, może nawet albańska, o ciemnej ogorzałej cerze, przeciętej horyzontalnie wielkimi wąsami, tak sztywnymi, że zastanawiałem się, czy nie używa fiksaturu. Mówił mało, ostrożnie, powoli, zastanawiał się nad każdym słowem, sprawiał wrażenie wielkiego opanowania i wielkiego spokoju. Był to z całą pewnością konserwatysta, który we Francji znalazł się na prawicy półkola parlamentarnego; był bardzo anty-rosyjski i anty-bolszewicki, nie lubił bardzo zaboru rosyjskiego, nie znał go i nie rozumiał. Był wyraźnie anty-socjalistyczny; ruch ten wydawał mu się fundamentalnie i diametralnie sprzeczny z interesami chłopów. Miał instynktowne przekonanie, że handel oszukuje chłopów, co zresztą jest wszędzie prawdą; na całym świecie marże handlowe są największe w stosunku do produktów rolnych, i z natury rzeczy chłop broni się przeciw tym marżom kupców-pośredników jeszcze gorzej niż wielką własność, czy tym bardziej fabrykanci. Z tej niechęci do handlu, wypływała jego instynktowna nieufność do „narodu handlowego”, która była wyraźna. Dlaczego Witos się nie porozumiał nigdy z „Endecją”, której był z pewnością dużo bliższy, niż Centrolewu? Myślę, że chodziło o to, iż nie miał zaufania do talentów politycznych Endecji. Witos był w ogóle nieufny, był nieufny w stosunku do inteligencji, i dla niego „Endecja”, jak mi się wydawało, to był St. Grabski, a nie Dmowski, którego prawie nie

znał. Otóż miałem wrażenie, że dla Witosa galicyjski „Pan Hrabia”, czy galicyjska „Excellencja” byli czymś dużo bardziej zrozumiałym od inteligenckiego „Galicjoka z Kongresówy”, jakim z pewnością był St. Grabski. Witos był szalenie galicyjski. Wolał Sikorskiego od Piłsudskiego, bo Sikorski był z Galicji. Chciał koniecznie mieć w swym trzecim rządzie Al. Skrzyńskiego, jako ministra spraw zagranicznych, i zarezerwował dla niego tę tekę, bo sądził, że dobry dyplomata musi być z „Widnia”.

To są wszystko drobiazgi. Jako symbol, symbol chłopstwa, chłopskiej Polski, Witos był ideałem, tak jak Piłsudski był idealnym symbolem Polski romantycznej, szlacheckiej, inteligenckiej, w końcu także oficerskiej. Ale czy był w stanie rządzić? Czy mógł być czymś więcej, niż pięknym, szlachetnym, zasłużonym symbolem? Osobiście myślę, że gdyby miał odpowiednie wykształcenie, gimnazjum, uniwersytet, doktorat, doświadczenie w administracji, a nie tylko partyjne i parlamentarne, to miałby dane na premiera w wielkim stylu; czasem nawet wydaje mi się, że mógłby — oczywiście tylko na polską skalę — rywalizować z Georges Pompidou, który, przy całej wiedzy, przy całym kolosalnym doświadczeniu i talencie administracyjnym, miał w zasadzie tę samą wielką zaletę, co Witos: chłopski rozum, zdrowy rozsądek. Chętnie uwierzę, że Chrobry, a może także Jagiełło, byli tylko „Witosami” swojej epoki. Ale w XX wieku chłopski rozum już nie wystarcza. Sam Witos zdawał sobie doskonale sprawę ze swoich braków. Wszyscy ci, a znałem ich wielu, którzy z Witosem spotykali się urzędowo jako z premierem, podkreślali, że stale opuszczali jego gabinet, nie wiedząc, co premier myśli o ich radach czy petycjach, nie byli pewni, czy dobrze rozumiał, o co chodzi. W swoim artykule o Witosie z okazji stulecia jego urodzin, dr T. Bielecki podkreśla, że Witos nie miał zaufania do inteligencji ja myślę, że przede wszystkim nie miał zaufania do samego siebie. Nigdy nie był pewien, czy jego decyzja jest trafna, więc wolał z tą decyzją zwlekać.

Byłem przez wiele lat w przyjaźni z Anglikiem, który 9 lat mieszkał w Warszawie, w nieokreślonym charakterze; *de facto* momenty osobiste zadecydowały o tym pobycie, ale, jak każdy zamożny i dobrze urodzony i wychowany Anglik z pewnych sfer, pozostawał w kontakcie z ambasadą angielską, i oddawał jej usługi, utrzymując stosunki z opozycją, które dla urzędników ambasady mogłyby być żenujące. Kiedyś, już po wojnie, spacerując ze mną, ten Anglik, wyjął notes, i odczytał mi swe notatki z rozmowy, którą odbył z Witosem w Wierchosławicach po jego powrocie z Czechosłowacji, a więc na krótko przed feralnym 1 września 1939. Na pytanie Anglika, co myśli o Gdańsku, Witos miał odpowiedzieć: „trzeba go oddać Niemcom, ale niech to robi Beck, tak aby opozycja nie musiała brać za to odpowiedzialności”.

Witos jest wielkim symbolem, pięknym symbolem. Jest potężnym *a might have been*. Był na pewno silniejszą indywidualnością od Daszyńskiego, Korfanteo, Józefa Hallera, Sikorskiego,

cóż dopiero od innych ludowców. A teraz Polski chłopskiej już nigdy być nie może.

Macieja Rataja spotkałem kilkakrotnie na (znakomitych) obiadach w mieszkaniu prof. Henryka Tennenbauma, który był członkiem stronnictwa Ludowego, i z dumą podkreślał, że regularnie płacił składki. Było to w latach 1935-38. Rataj był bardzo miłym człowiekiem, przystojnym i dystygowanym; zawsze w Krakowie słyszałem gadkę, że jest on nieślubnym synem Adama Tarnowskiego, ambasadora Austro-Węgier w Waszyngtonie. Juliusz Tarnowski z Sucheja, którego niedawno indagałem o to w Paryżu, wydał się zdumiony, i powiedział mi, że nigdy o tej plotce nie słyszał. *On prête aux riches...* Ale Rataj, to był człowiek słaby, słaby... O ile Witos był chłopem, o tyle Rataj był bardzo typowym inteligenstem, który z chłopstwem nic wspólnego nie miał. Stronnictwo Ludowe nie miało dość własnego personelu na poziomie, który my nazywamy inteligenckim, Francuzi burżuazyjnym, zaś Anglicy *middle class*, i ta ostatnia definicja jest z pewnością najlepsza. Rataj na pewno doskonale się nadawał na marszałka Sejmu; dwa razy był doskonałym Inter-Rexem; byłby zapewne przy Sejmowładztwie dużo lepszym prezydentem R.P., niż Wojciechowski, ale efektywnej władzy sprawować nie mógł. Był na to o wiele za słaby, o wiele za miękki, o wiele za chwiejny. Był osobiście bardzo sympatyczny, miły, uprzejmy, kulturalny, daleki od roznamiętnienia, zawsze skłonny do kompromisu. Kilka razy Tennenbaum zaprosił mnie do siebie na kolację z Ratajem i z Niedziałkowskim, którzy byli duchowo do siebie podobni; obaj byli dżentelmenami, obaj byli głodcy, inteligentni, dalecy od zaperzenia, od skrajności, od podniecenia, obaj byli bardzo zachodni, Liberałowie raczej, niż Socjaliści i Ludowiec. Zawsze uważałem wojnę na noże z Witosem. Ratajem i Niedziałkowskim za totalny nonsens. Wszyscy trzej wydawali mi się ludźmi nie centrum, ale centro-prawu, totalnie obcy nie to komunizmowi, ale jakimkolwiek ruchom wywrotowym. Rataj był pesymistą, bywał smętny, ale nic nie miał z ponuraka, z człowieka, który uważa się za skrzywdzonego przez życie, i był w każdym calu szalenie zachodni, kompletnie obcy, tak samo jak i Niedziałkowski, wszystkim wiatrom ze wschodu. Rozstając się z Ratajem, zawsze wydawało mi się, że jestem w Wiedniu.

Z Henrykiem Tennenbaumem zbliżyła nas ekonomia. Obaj mieliśmy pasję do dyskusowania polityki ekonomicznej, nie teorii, broń Boże, która i jego i mnie nudziła do ostatnich granic, ale dyskusja o tym, co trzeba by zrobić, by nasz nieszczesny kraj wyciągnąć z otchłani kryzysu. Dzisiaj, *ex post*, przyznaję, że byłem w okresie międzywojennym zanadto „monetarystą”, zbyt wielkie przypisywałem znaczenie stałości waluty i automatyzmowi zjawisk gospodarczych; te koncepcje są bardzo zadawalające

pour l'esprit, ale w praktyce trzeba przyjmować dużo bardziej elastyczne stanowisko, dużo mniej doktrynerskie. Tennenbaum był słaby gdy chodziło o skarbowość, budżet, walutę, pieniądz i kredyt, ale miał ogromną znajomość realiów życia gospodarczego, w szczególności przemysłu, i spraw kartelowych; po długiej karierze w przemyśle w Królestwie i w Rosji, był po wojnie przez długie lata dyrektorem departamentu Handlu Zagranicznego w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, a w czasach gdy go widywałem był tylko konsultantem „Lewiatana”. Był to człowiek psychicznie dużo bardziej typowy dla epoki sprzed 1914 roku, niż dla „dwudziestolecia”. Dla tej generacji różnice zaborów były dużo wyraźniejsze, niż dla ludzi choćby o 10 lat młodszych. Gdy rozmawiałem z Janem Kantym Steczkowskim, pierwszym prezesem BGK w Warszawie, wydawało mi się, że jestem z powrotem w Krakowie, wydawało mi się, że rozmawiam ze Starzewskimi, Estreicherami czy Potockimi spod Baranów. Gdy rozmawiałem z Aleksandrem Lednickim, wydawało mi się, że trafiłem do Moskwy. Tennenbaum, Patek, Gliwic, etc. przypominali Warszawę sprzed Pierwszej Wojny Światowej. Tennenbaum, jak wielu jego rówieśników w Warszawy, nie widział dla siebie nigdzie miejsca w cyferblacie partyjnym międzywojnia; Sanacja i Endecja odrzucały go swoim anty-liberalizmem, Socjaliści swym anty-kapitalistycznym nastawieniem. Więc *nolens volens* zapisywali się ci panowie do Piasta, by znaleźć w nim przystań, choć z ruchem ludowym nie mieli nic wspólnego. Specjalnie mnie to zawsze uderzało u Tennenbauma. Jego credo — to była ochrona celna dla przemysłu. Nie tylko nie chciał nigdy słyszeć o najmniejszych ustępstwach celnych dla Niemiec, ale nawet podobne zniżki dla Czechosłowacji wydawały mu się wyrokiem śmierci dla całego przemysłu polskiego. Był skrajnym protekcyjnistą. Pod tym względem on, i Andrzej Wierzbicki, dyktator „Lewiatana” byli w stu procentach zgodni; na każdą uwagę, że w interesie chłopów i Polski leżała liberalizacja handlu zagranicznego Polski, obaj dostawali drgawek. Na ten temat przeprowadziłem Bóg wie ile dysput z Tennenbaumem, i nigdy o milimetr nie zmienił swej pozycji. Zawsze go pytałem, jak to godzi ze swym członkostwem w Stronnictwie Ludowym, bo przecie obniżki taryfy celnej na narzędzia rolnicze, na nawozy sztuczne etc. wydawały mi się w interesie chłopów. Tennenbaum i Wierzbicki nie chcieli o tym słyszeć pod żadnym warunkiem.

Zapoznałem Tennenbauma z Matuszewskim; obaj się nie znali i obaj byli wysokiego mniemania o sobie. Ich stosunki stały się przyjazne i dość regularne. Pamiętam, jak kiedyś w ciągu dwóch godzin Matuszewski wypytywał się Tennenbauma o kartel węglowy, bo lubił się informować i cenił wysoko fachowców. Na zakończenie Matuszewski zapytał się Tennenbauma prosto z mostu: „Panie Profesorze, z bankierów i wielkich przemysłowców żydowskich, z kim, zdaniem Pana, warto poważnie rozmawiać?”. Na to Tennenbaum dał jak najbardziej ujemny opis wszystkich matadorów żydowskich życia gospodarczego; konkluzja jego

brzmiała, że tylko Falter jest człowiekiem serio, a reszta, to idioci. Tennenbaum zresztą lubił szafować terminem „idiota”, albo „kretyn”. O ile się orientuję, z Witosem Tennenbaum żadnych stosunków nie miał, a w czasie wojny był z Kotem i Mikołajczykiem na noże. W gruncie rzeczy, jeżeli Witos, Rataj, Tennenbaum, Mikołajczyk, i może nawet Kot, nie połączyli się z sanacją, to należy to przypisać dziwnej nieumiejętności manewrowania hierarchii BBWR, jej niezdolności wyjścia z zakłętego kołka Legionistów, P.O.W., etc.



Wreszcie Mikołajczyk. Był to ponurak, pozbawiony wszelkiego wdzięku, wszelkiego *charme'u*, skompleksiały, dużo bardziej prowincjonalny od Kota. Kot byłby dla Witosy doskonałym wojewodą krakowskim, Mikołajczyk byłby może dobrym starostą w Szamotułach. Poznałem Mikołajczyka w BBC, gdy byłem tam speakerem; przypadło mi w udziale kilka razy zapowiadać przemówienia do kraju Mikołajczyka jako prezesa Rady Narodowej. Był on wówczas aż żenująco ugrzeczniejszy; co chwila wołał: „Panie Redaktorze”, kłaniał się w pas, nie wiedziałem, jak się odplacać. Gdy został premierem, odziedziczyłem przy nim moją funkcję przy Sikorskim — tłumacza jego mów na angielski. Były to tasiecmce bez końca, pisane przez jakichś urzędników; zawsze tam były frazesy o Krzyżakach, Grunwaldzie, o przedmurzu, o cierpieniach, o „Za waszą i naszą...”, słowem woda, i woda, i woda. Gdym kończył tłumaczenie Mikołajczyk pytał co sądzę o jego elukubracji. Za pierwszym razem, powiedziałem mu co myślę: powiedziałem mu, że zrobię z tego jedną stroniczkę, i że może wówczas parę linijek trafi do angielskiej prasy. A bez tego... Mikołajczyk oczywiście nie dał się przekonać. Nazajutrz nie było nigdzie w prasie angielskiej wzmianki o tej mowie Mikołajczyka: nie oparłem się pokusie zjawienia się u niego z plikiem gazet, mówiąc jemu: a kto miał rację? Mikołajczyk wpadł w furję. Dałem spokój więc uwagom, i nic już dalej nie mówiłem. Oczywiście nigdy te przenudne tasiecmce nie znajdowały przytułku. W czasie tych audiencji premierowskich, Mikołajczyk był dziwnie arogancki i nieprzyjemny, był szalenie powolny, niemrawy, uparty, a jednocześnie niezdecydowany, robił przy tym wrażenie człowieka myślącego bardzo powoli. Był nie tylko sto razy bardziej antypatyczny od Kota, ale także od Sikorskiego, który był irtujaco próżny i nawet kabotyński, gdy tylko było więcej niż dwie osoby, ale który miał pewien szarmik, gdy się z nim siedziało we dwójkę w studio, i który zawsze robił wrażenie człowieka bystrego, chwyтлиwego; nigdy Sikorski nie wydawał się „mendą”, której trzeba sto razy wszystko tłumaczyć. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak człowiek tak inteligentny i żywy, jak St. Mackiewicz mógł twierdzić, że Mikołajczyk jest lepszy, czy mniej zły od Sikorskiego. Moim zdaniem Mikołajczyk sam nic nie reprezentował — był narzędziem Anglików gdy ci doszli do wniosku, że Polski ani rządu londyńskiego nie uratują i uznali,

że Mikołajczyk lepiej, niż kto inny, nadaje się na likwidatora całej tej polonofilskiej imprezy. Rozumiem, że można chwalić Witosa, Rataja, nawet ewentualnie Kota, choć miał wielkie wady; ale nie pojmuję, co można upatrywać w Mikołajczyku. Był to mały człowiek, oszukany i porzucony przez Anglików i Amerykanów, potem już nie tylko przez Stalina, ale także przez Bieruta.

W. A. ZBYSZEWSKI

Rozważania o literaturze zwanej emigracyjną (4)

ZMIERZCH PARYŻA. — „FRANCJA VICHY”

Skromny bilans okresu paryskiego tłumacza daty, w których się zamyka: listopad 1939 - pierwsze dni czerwca 1940. Nim zdołano odnaleźć się w Paryżu *Père Noël* obdzielił grzeczne dzieci doroczną porcją zabawek a dorosłych butelkami szampana na *Réveillon*. O wojnie przypominały gazety, radio i skrupulatnie przestrzegane zaciemnienie. W czasie pełni księżyca, gdy liczyć można było dachówki na poetycznych *toits de Paris* po ulicach krążyli groźni wartownicy wrzeszcząc *Lumière! lumière!* na widok szpar w okienicach.

Finlandia i Norwegia nie przyniosły zasadniczej zmiany nastrojów; linia Maginot'a wydawała się zaporą skuteczniejszą od La Manche'u, a Wielka Brytania kąskiem smakowitszym od Francji. Maj 1940 przyniósł nie tyle otrzeźwienie, ile pierwsze oznaki paniki. Przeniesienie placówek Rządu R.P. do Angers zdeorganizowało polskie środowisko paryskie do tego stopnia, że koniec okresu paryskiego datować należy na maj. W ciągu mniej niż półrocza ujawniło się jednak, kto znalazł się poza granicami Kraju, jakie są najpilniejsze potrzeby i najdotkliwsze straty. Czynnikiem komplikującym poczynania organizacyjne były demonstracyjnie antysanacyjne praktyki otoczenia gen. Sikorskiego hojnie szafującego potępieniami „Piłsudczyków” i „Piłsudczycy”. Skamandryci byli *en bloc* podejrzani: Lechoniowi i Wierzyńskiemu wypominano złośliwie wiersze o Marszałku, Grydzewskiego odsunięto od oficjalnego redaktorstwa *Wiadomości Polskich*. Znosił ten despekt z filozoficznym spokojem — dla „dobra pisania”, bo takie były oficjalne motywy.

Od końca lutego 1940 do upadku Paryża pracowałam w Bibliotece Polskiej na Wyspie św. Ludwika, drugiej w mojej karierze

księżnicy emigracyjnej, bo w latach trzydziestych debiutowałam w warszawskim „Rapperswilu”, nieświadomie przygotowując się do pracy w tej osobliwej specjalności. Ulokowano mnie w zakładku Czytelni pod okiem ledwie mnie tolerującego Tadeusza Szymborskiego, autora młodopolskich dramatów „Atessa” i „Sądy”, reliktu Młodej Polski, sumiennie ale bez przekonania obsługującego stadko przygodnych czytelników, rzadko sięgających do rękopisów i cenionych przez niego dzieł. Co kilka dni, na kilka minut przed końcem *mojej* pracy wpadał zadyszany Lechoń, zgłaszający się na — jak to nazywał — „korepetycje” przed wykładami w Uniwersytecie Polskim za Granicą. Były to raczej próby generalne, mające działać zapobiegawczo na gnębiącą poetę-profesora treść.

Gdy komunikaty wojenne niedwuznacznie odstąpiły zagrożenie Paryża dyrektor Biblioteki, Franciszek Pułaski, stanął na wysokości zadania. Najcenniejsze obiekty (Mickiewicziana, autograf Goethego, część rękopisów i muzealiów) wywieziono na wieś pod Tuluzę, gdzie przetrwały wojnę, — znaczne ilości książek ulokowano w Musée Carnavalet w innych rządach książek, za wielotomowymi dziełami francuskimi. Pomagałam przy ich ewakuacji, odświeżając po niespełna roku doświadczenia z prób ratowania zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie i, szczególnie bolesne, prace przy likwidacji Wystawy Słowackiego w Krzemieńcu, przygotowywanej beztrząsowo w maju 1939.

La grande pagaille nosiła mnie po Francji od Orleanu i Tulle do Pirenejów i Alpes Maritimes. Oznaczało to rozliczne a nieudane próby wydostania się z Francji. Nie oznaczało rozstania z problemami literackimi, choć jedyną książką w moim posiadaniu był przez długie miesiące „Le petit Larousse”. W lipcu 1940 w wyludnionej Nicei zbiegły się na kilka tygodni losy moje i męża z wojennymi perypetiami garstki pisarzy i związanych ze sprawami literackimi znajomych. Byli tam Wierzyński, Wittlinowie, Samuel Tyszkiewicz, Marian Dąbrowski (z „I.K.C.”), Stefan Katelbach, Haiman-Jarecki, przygnani na granicę włoską w nadziei przedostania się do Szwajcarii czy przynajmniej Włoch. Był to okres zupełnej dezorientacji i fantastycznych planów wypraw morskich i lądowych. Najwięcej inicjatywy wykazywał Wierzyński, nad podziw spokojnie trwał w desperackim odrętwieniu Wittlin. „Jak widzicie przyszłość?” — pytali spotykani na każdym kroku Biali Rosjanie. „Przeczekamy, wrócimy...” — odpowiadaliśmy niepewnie. „*My tożę dumali!*” — odrzucali przesyleni gorczą doświadczeń.

Wierzyńskim i Wittlinom udało się uzyskać wizy umożliwiające wyjazd do Ameryki Południowej przez Hiszpanię i Lizbonę. Zostaliśmy sami, skazani na dalsze walki z prefekturą nicejską o przedłużenie prawa pobytu w oczekiwaniu na miejsce w schronisku Czerwonego Krzyża. Ale i w opustoszałej Nicei działo się coś godnego odnotowania. Na długim, stromo wznoszącym się w górę Boulevard de Cimiez urzędował pod nrem 47 zaprzyjaźniony rzeźnik, Mr. Victor, *ancien combattant*, przeżywający

gwałtownie nagłe załamanie się Francji, która tak niedawno *n'était jamais plus forte*. Pewnego dnia, gdy hurtownicy w rzeźni nie mieli mu nic do zaoferowania, załamał się i *fou de colère* wyjechał do swego *petite maison de campagne*, aby czekać na bliski koniec wojny. W opustoszałym pokoju nad sklepem obrał sobie miejsce postoju Samuel Tyszkiewicz, Coëtquidańczyk, kapitan, i z miejsca, jeszcze przed wyjazdem Wierzyńskich, uruchomił nicejską filię swej bibliofilskiej Oficyny z Florencji. Prasa drukarska, kaszty, czcionki dały się chować na noc pod łóżkiem, które w dzień pełniło funkcję stołu. Wczesną jesienią robiłam już korekty „Barbakanu warszawskiego” Wierzyńskiego, drukowanego na wykupywanych w Marsylii resztkach dobrych przedwojennych papierów. Pamiętam jak Tyszkiewicz wyładowywał z walizki zdobycze z demobilizacyjnego wypadu do Camp de Carpiagne (pod Marsylią). Były nimi owinięte w ceratę arkusze bezdrzewnego papieru żeberkowego, sąsiadujące z kawałem słoniny i woreczkiem łamanego ryżu, który z pośladu dla drobiu awansował na honorowe miejsce w menu głodujących refugiatów.

Dorobek Oficyny Nicejskiej nie urwał się na „Barbakanie” (przedrukowanym w 1941). Drukarnia Tyszkiewicza okazała się najtrwalszym przedsięwzięciem wydawniczym czasu wojny we Francji. Pięknej szacie graficznej rzadko odpowiadał jednak poziom obdarzanych nią utworów. Z kilkunastu tomików wierszy na przypomnienie zasługują poza „Barbakanem”: „Z dymem pożarów” Łobodowskiego, „Spotkanie z Muzą” — wiersze przedwojenne Jerzego Paczkowskiego, „Psalmy. 23 modlitwy jenieckie” i „Ściana milczenia” Aleksandra Janty oraz, z pełnym zastosowaniem taryfy ulgowej, „Grenadierskie strofy” Wojciecha Kościelskiego, z którego nazwiskiem i przedwczesnym zgonem wiążą się początki genewskiej Fundacji im. Kościelskich, do dziś czynnej i przyznającej co roku nagrody literackie. Tyszkiewicz wkładał wiele inwencji i pracy w szatę graficzną poszczególnych tomików; dwa z nich: Wład. Pelca „Jak Luluś miasto zbudował” i wiersze Sabiny Straszynskiej ilustrował Witold Conti (autorka „Plam na słońcu” i zdobiący książeczkę artysta zginęli w roku 1944 w Nicei od bomby lotniczej, zasypani w schronie). Poza tomikami wierszy i książeczkami dla dzieci Tyszkiewicz wydał modlitewnik dla uchodźców opracowany przez Wandę Ładzinę (1942) i, u kresu wojny, sprawozdanie Biblioteki Polskiej w Paryżu z działalności w pierwszym roku wojny w opracowaniu Franciszka Pułaskiego.

Ta pierwsza na emigracji oficyna bibliofilska była niejako prototypem kilku powstałych później. Choć brzmi to jak paradoks u kolebki ich stały trudne warunki okresu wojennego, zmuszające do szukania rozwiązań dostosowanych do braku czcionek, papieru, małych nakładów, braku formalnych podstaw prawnych itp.

Działalność Tyszkiewicza w Nicei miała charakter półtajny w okresie istnienia *zone libre*, ale nawet wtedy, w atmosferze specyficznej półwolności, druki wykonane na zlecenie Tow. Opie-

ki nad Polakami we Francji miały charakter tajny. Stale wisiła nad głową możliwość rewizji, której rezultatem byłoby nie tylko ujawnienie drukarni ale i otwarcie walizki, kryjącej przechowywany z pietyzmem mundur kapitański. Gdy w roku 1954 zmarł pod Bolonią w Castel d'Aiano pochowano go w tym właśnie mundurze.

Od listopada 1940 do maja 1942 trwałam w letargu schroniskowym w Aix-les-Bains, wsłuchując się na zmianę w audycje z Londynu i okupowanego Paryża i starając się wyśrodkować prawdę, gdzieś na pół drogi między „*On les aura les Boches*” Wolnych Francuzów a relacjami niemieckimi o Londynie zamienionym na wielkie pogorzelisko. Do egzystencji mieszkańców schronisk, w równającym się internowaniu ograniczeniu ruchów, wszedł nowy czynnik: radio, łącznik ze światem, przynoszące co wieczór wyławianą z trudem z terkotu „katarynki” mieszaninę różnych wersji tych samych wydarzeń i, od czasu do czasu, nowy polski wiersz.

Ale i na miejscu, w Sabaudii, coś się działo. W pobliskiej Grenoble skupiło się w zamienionym na schronisko „Grand Hotelu” grono intelektualistów: Bolesław Miciński, Jerzy Paczkowski, Władysław Pobóg-Malinowski, Feliks Chrzanowski, Wacław Grzybowski, Damian Wandycz, Józef Jaklicz i „święta Rodzina” z Biblioteki Polskiej w Paryżu: ks. Augustyn Jakubisiak, Irena Gałęzowska, Czesław Chowaniec. Na przedmieściu Grenoble La Tronche w siedzibie Towarzystwa Opieki nad Polakami we Francji działał prof. Zygmunt Lubicz-Zaleski, Józef Jakubowski (obecny dyr. Księgarni Polskiej w Paryżu), Czesław Korolko-Bobrowski. W pobliskim Villars-de-Lans uruchomiono Gimnazjum Polskie. W Aix-les-Bains, gdzie zasadniczo skupiono techników, oprócz mnie znalazł się wspomniany już wyżej kierownik Czytelni Biblioteki Polskiej w Paryżu, Tadeusz Szymborski z żoną malarką (oboje zmarli tamże 2 listopada 1943 roku) i śpiewaczka Opery Warszawskiej Halina Leska. W Grenoble mieszkał w „Grandzie” uczeń Paderewskiego Zygmunt Dygat; skomponowany przez niego „Marsz żołnierzy polskich z Serrières” jest symbolem tego etapu emigracji wojennej we Francji.

W sumie skupił się na terenie Sabaudii zespół zdolny do podjęcia zakrojonej na szeroką skalę pracy kulturalno-oświatowej, pionierski *sans le savoir*, a nadto prototyp „domu pracy twórczej”, bo Grenoble dawała oparcie w formie dostępnej dla Polaków biblioteki uniwersyteckiej a na miejscu, w „Grandzie” rozbudowywał się w szybkim tempie księgozbiór Schroniska uzupełniany zakupami i przesyłkami ze Szwajcarii. Wysyłani z Grenoble prelegenci i artyści odwiedzali skupiska polskie, podnosząc pośrednio poziom lokalnych inicjatyw i zachęcając do ich podejmowania. Do akcji włączono pisarzy mieszkających w *zone libre* poza Sabaudią np. Józefa Łobodowskiego. I tu nawiasem przypomnę, że horoskopy wojenne tego *poety* były o wiele trafniejsze od diagnozy zawodowych oficerów sztabowych, którzy np. liczyli się poważnie ze zwycięstwem Rommla w kampanii afry-

kańskiej i spodziewali się szybkiego końca wojny.

W Grenoble podjęto jawną i tajną akcję wydawniczą w formie powielaczowej. Głód książki polskiej, dający się tak wyraźnie wyczuć w czasie pierwszej zimy paryskiej, tu przybrał jeszcze drastyczniejsze formy, gdyż wśród mieszkańców schronisk przeważali uchodźcy nie znający języka francuskiego. Lektura większości ograniczała się do kilkakrotnego odczytywania wywieszanych w hallach schronisk gazetek ściennych z wiadomościami z nasłuchu radiowego. „La Tronche” wydawała więc w zawrotnym tempie powielane wersje najkonieczniejszych podręczników dla organizowanych *ad hoc* kursów zawodowych (np. stenografii, księgowości itp.) i materiałów do imprez świetlicowych (np. broszury o „Dawnych granicach ziem polskich”, o historii bibliotek w moim opracowaniu). Bazą tych poczynąń była owa gromadka intelektualistów w Grenoble, podejmująca nadto w formie wydawnictw tajnych opracowania np. „Na jedenastego listopada 1941” (str. 355) czy jednodniówkę na rocznicę zgonu Marszałka Piłsudskiego, 12. V. 1942. Pierwsza z tych książek zbiorowych utrwalała na gorąco fragmenty losów wojennych oddziałów polskich walczących w Norwegii i Francji spisane z inicjatywy i przy walnym udziale Jerzego Paczkowskiego i Czesława Chowańca. Osobliwością drugiej jest artykuł Henryka Jabłońskiego, obecnego przewodniczącego Rady Państwa PRL, słusznie określonego przez Ciołkosa mianem „neofity komunizmu”, który do racji wielkości Marszałka włączał umiejętność *voir grand*. W gronie współpracowników książki znalazł się także Czesław Bobrowski-Korolko (tznw. „Babrałko”), późniejszy wiceprezes Rady Ekonomicznej przy Radzie Ministrów PRL a w Grenoble jeden z najczynniejszych członków Zarządu Tow. Opieki nad Polakami we Francji. (Stąd powszechnie używane określenie mieszkańców schronisk jako „podopiecznych”). Redaktorami jednodniówki ku czci Piłsudskiego byli: Władysław Pobóg-Malinowski, Jerzy Paczkowski i Czesław Chowaniec.

Działalność „Grandu” urwała się w drugim półroczu 1942 po wkroczeniu Niemców do *zone libre*. Losy poszczególnych członków ledwo sformowanej ekipy ułożyły się według wzorów powtarzających się w różnych wariantach w historii wojennej (np. w Rumunii i na Węgrzech). Prof. Zaleski znalazł się w obozie koncentracyjnym, Jerzy Paczkowski, nakryty przez Gestapo, zginął w Neuengamme w lutym 1945, Bolesława Micińskiego pokonała leczona prymitywnie gruźlica (zmarł 30 maja 1945), ks. Jakubisiak i gromadka biblioteczna rozproszyła się po wioskach alpejskich, Łobodowski wylądował na dłuższy „odpoczynek” w hiszpańskiej Mirandzie. Nielicznym tylko, jak np. piszącej te słowa (jako żonie technika), udało się opuścić Francję na kilka miesięcy przed zajęciem *zone libre* przez Niemców.

Grenoble była najżywszym ale nie jedynym ośrodkiem działalności kulturalnej we Francji. Równie ambitnym przedsięwzięciem było pismo „Wróćmy” stworzone przez Łobodowskiego w Camp de Livron pod Tulużą, odbijane na powielaczu w klaszto-

rze, w którym mieszkała Maria Winowska. Pismo, koncentrujące uwagę na omawianiu bieżącej sytuacji politycznej, redagowane było żywo i na skutek zaczytania a także obawy przed przychwyleniem egzemplarzy przez Gestapo należy dziś do wojennych „białych kruków”. Ogółem ukazało się 15 numerów, z których końcowe redagował po wyjeździe Łobodowskiego Henryk Palmbach do chwili aresztowania w roku 1943. Szata graficzna tego podziemnego pisma była tak wyszukana, że nastrocza porównania z „Oficyną Poetów”. Ilustrowano je wkładkami graficznymi (m.in. Witolda Januszewskiego). Łobodowski i wtedy także był głównym dostawcą tekstów prozą i wierszem. Część jego twórczości poetyckiej z wczesnego okresu wojennego utrwalił tomik pt. „Z dymem pożarów”, wydany przez Samuela Tyszkiewicza w 1941 roku.

Poza ośrodkami jako tako zorganizowanymi przebywali w obu zonach Francji „latarnicy”, kontynuujący w pojedynkę działalność pisarską (np. Jan Brzękowski — w Vichy, Clermont-Ferrand i pod Tulużą), Szymon Konarski i Andrzej Bobkowski, zapisujący wrażenia chwili w ogłoszonych po wojnie, dziennikach i, prawdopodobnie, kilku innych pisarzy.

W roku 1942 Francja przeobraziła się ostatecznie w kraj obozowatny i oniemiały. Przed stosunkowo późnym ukształtowaniem się ruchu oporu dominowało wrażenie rozkładu i rezygnacji. Opuszczałam Francję w maju 1942 roku pod wrażeniem koszmarnych wizyt Pétain’a, obwożonego po kolejnych departamentach z zaleceniami „*Travail, famille, patrie*” i hasłem „*Retour à la terre*”, podjętym entuzjastycznie w jednej z miejscowości alpejskich przez lokalnego przedsiębiorcę pogrzebowego. Na tle martwoty otoczenia nabierają szczególnego znaczenia polskie próby podtrzymania działalności naukowej — literackiej i wydawniczej, podejmowane w oparciu o mikroskopijną pomoc finansową przerzucaną z Anglii. W praktyce opierała się ona o niezmiernie ofiarną odwagę i świadomą celów pracę jednostek.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Fejő, 22 lutego 1976

Wspomnienie o Lechoni

(W SZESĆDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ OTWARCIA POLSKIEGO
UNIwersytetu w Warszawie)

W październiku 1975 roku minęło 60 lat od chwili gdy w okupowanej przez Niemców Warszawie młodzież zaczęła wypełniać mury już polskich wyższych uczelni. Nie znaleźmy jeszcze wtedy planów politycznych nowego okupanta, ale wiedzieliśmy jedno, że jest to okupant czasu wojny. Pierwsze kroki Niemców: oddanie w ręce polskie całego szkolnictwa, sądownictwa, samorządów

miejskich i wiejskich, społeczeństwo witało ze zrozumiałą radością.

Odradzającym się do nowego życia wyższym uczelniom okupant wyznaczył kuratorów. Na uniwersytecie został nim hr. Bogdan Hutten-Czapski, uchodzący za renegata poznańskiego, dworaka, cieszącego się szczególnymi względami cesarzowej, żony Wilhelma II-go. Nie przeczuwaliśmy, że gdy uczelniom będzie groziło zamknięcie, użyje wszystkich wpływów, by ich bronić. Gdyśmy przekraczali mury uniwersytetu nikt się zresztą kuratorem nie przejmował. Uczelnie były polskie, a pierwszy rektor uniwersytetu dr Józef Brudziński cieszył się opinią patrioty i społecznika, który z entuzjazmem podejmuje się swego zadania.

Znalazłem się wśród studentów którzy zapisali się na wydział prawa. Nie było nas więcej jak kilkuset, w tym zaledwie cztery koleżanki! Dlatego zapamiętałem ich nazwiska: Teresa Gronowska, Irena Kaliska, Stefania Mierzyńska i Blanka Morgenstern.

Z zapałem zabraliśmy się do studiów organizując jednocześnie Bratnią Pomoc, koła naukowe, różne związki, wydając tajne i jawne czasopisma studenckie. Wspaniałe to były czasy! Wkrótce pod kierownictwem Mieczysława Grycendlera (chyba dopiero po zakończeniu wojny przybrał nazwisko Grydzewskiego) ukazało się czasopismo *Pro arte et studio*. Może ono uchodzić za prototyp późniejszych *Wiadomości Literackich*. W *Pro arte et studio* przyszli skamandryci zamieszczali swe utwory, wśród nich najpierwszy z pierwszych Leszek Serafinowicz — Jan Lechoń.

Było rzeczą pewną, że w przełomowych dla Polski czasach odrodzone uczelnie warszawskie staną się nie tylko ogniskami nauki, lecz ośrodkami życia politycznego. Nikt z nas nie wątpił, że tocząca się jeszcze wojna niesie zapowiedź wyzwolenia narodu. Nikt nie wątpił, że czeka nas dzień, w którym porzucimy uczelnie, by wziąć w rękę karabin i walczyć o umocnienie przyszłych, nieznanych granic państwa. Nikt nie łudził się, że niepodległość spadnie nam z nieba jak dojrzały owoc. Czyny I Brygady Legionów były żywą manifestacją odradzającej się, rycerskiej tradycji wojska polskiego. Popularność Józefa Piłsudskiego rosła z dnia na dzień. Podbijał sobie w Warszawie zwłaszcza dwa środowiska: robotnicze i bez mała całą młodzież studencką.

Micio Grycendler, choć bez reszty ulegał tym nastrojom, z natury politykiem nie był. Nie brał też czynnego udziału w organizacjach politycznych. Kiedyś, bodaj u schyłku wojny, zdobył się na elaborat, w którym krytykował przerosty polityczne wśród młodzieży studenckiej. Mocno go za to poczęstowałem na łamach tajnego *Miesięcznika Młodzieży Polskiej* — organu zetowców. Ale, jak powiedziałem, siedział z dominującym nurtem i otwierał łamy redagowanego przez siebie czasopisma wszystkim, którzy jak najgłębiej w tym nurcie tkwili. Otworzył je natychmiast Leszkowi, gdy przekroczył progi Pałacu Kazimierzowskiego.

Stało się to chyba w 1916 roku. Otaczała go już aureola utalentowanego poety. Szybko rozeszły się wieści, że w czasach gimnazjalnych wydano pierwszy tomik jego wierszy. Czekaliśmy

więc z zainteresowaniem co nam teraz powie ten nieco młodszy kolega-poeta. Był to młodzian chudy, wysokiego wzrostu, z nieodłącznymi binoklami na nieco przydługim nosie, mówiący szybko tak jakby miał z lekką — jak się mówiło — kluski w gębie. Zyskiwał szybko sympatię niezwykle żywotnością, entuzjazmem i humorem. Nie pomnę w jakich okolicznościach go poznałem. Prędko przeszliśmy na ty. Pamiętam natomiast jak poznałem Tuwima. Przyszedł kiedyś do „Koła Prawników” po skrypty. Nie wiedziałem, że także jest poetą. Uderzyły mnie dwie rzeczy: znajomość na policzku i niezwykle grzeczne formy towarzyskie.

Leszek nie kazał nam długo czekać. Wszystko co ogłaszał w *Pro arte et studio* świadczyło o wielkim talencie. Powtarzaliśmy w kółko: narodził się drugi Słowacki. Rozentuzjazmowani każdym wierszem Leszka, prowadziliśmy między sobą długie debaty. Utkwiło mi w pamięci wrażenie jakie zrobił jego wiersz „Sejm”. Leszek nie był dla nas *primus inter pares*, bo równych mu wśród poetów-studentów nie było. Pędziliśmy więc na Nowy Świat do cukierni „Pod Pikadorem” gdy zapowiedział, że czytać będzie swoje utwory. Wiedząc, że dykcją nie grzeszy, baliśmy się, by ich nie spaskudził. Pamiętam, że recytował „Piłsudskiego” i „Moch-nackiego”. Gdy zaczął mówić, obawy prysły. W nabitej po brzegi cukierni zapanowała cisza. Recytował bez patosu, za to z wielkim przejęciem. Porywał.

Słyszałem parę razy jak przemawiał. Raz w sali Filharmonii Warszawskiej, na akademii ku czci Henryka Sienkiewicza. Mówił w imieniu młodzieży akademickiej ostatni, po prezydencie miasta Zdzisławie Lubomirskim, Janie Lorentowicz (który wszedłszy na podium zaniemówił i bez słowa je opuścił), po obdarzonym tubalnym głosem historyku — Arturze Słowińskim. Sala łowiła każde jego słowo. Gdy zakończył zerwała się burza oklasków. Pamiętam jak przemawiał w Skotnikach, gdzie chowano rektora Józefa Brudzińskiego. Żegnałem go przedtem z balkonu Pałacu Kazimierzowskiego. Nie wiem, czy zachowały się roczniki *Pro arte*. Jeśli tak, znajdują się w nich studenckie przemówienia Leszka. Micio dbał bardzo, by je uwiecznić w swoim czasopiśmie.

W czasie częstych spotkań z Leszkiem chyba nie mówiliśmy o polityce. Urzeczony Piłsudskim, był całą duszą z nami. Rozpie-rała nas дума, że ten „drugi Słowacki” czuje i myśli tak samo jak my. Nie wiem czy należał do P.O.W. Przebywał często w towarzystwie legionisty i peowiaka, dziennikarza Tadeusza Święcickiego, zwanego „szpicbródką”. Święcicki obracał się w najwyższych sferach legionowo-peowiackich. Gdy w lipcu 1917 roku Niemcy zaaresztowali Komendanta i szefa Sosnkowskiego, z inicjatywy studenta politechniki Wojciecha Stępczyńskiego postanowiono zerwać przedstawienia w teatrach warszawskich. Leszek brał udział w tej akcji „aresztując” grupę wybitnych aktorów. Rozrzucił ulotki w Teatrze Wielkim, domagające się wypuszczenia Piłsudskiego i Sosnkowskiego. Nie brałem udziału w tej akcji, więc szczegółów nie pamiętam.

Leszek był nie tylko bardzo dowcipny, potrafił być także zło-

śliwym kpiarzem. W naszych czasach odbywały się czasem kabarety studenckie. Leszek był duszą tych imprez.

U schyłku okupacji, pewno w 1918 roku, zauważyłem, że zwykle roześmiany Leszek stracił na humorze. Był przedziwnie roztargniony i smutny. Zagabnąłem go kiedyś, dlaczego się zmienił. Nic nie odpowiedział tylko machnął ręką. Wkrótce zorientowałem się co mogło być przyczyną tej nagłej zmiany. Kochał się bez wzajemności.

Z salą wykładową prawników sąsiadowali matematycy. Była wśród nich Kazimiera Goldbaumówna, panna urodziwa i pełna wyjątkowego, dziewczęcego wdzięku. Ukończyła doskonale gimnazjum Wreckiej na ówczesnym Foksalu. Ponieważ znałem kilka jej koleżanek, więc szybko zawarliśmy znajomość. Bardzo ją adorowałem, ona mnie również, ku zazdrości wielu kolegów. Ubóstwiała Piłsudskiego i każdą chwilę wolną od studiów poświęcała Lidze Kobiet, organizacji pracującej na rzecz Legionów. Wyszła potem za mąż podobno za dalekiego kuzyna Marszałka, rtm. Piłsudskiego. Rotmistrz okazał się postacią arcydziecką, więc się z nim rozstała. Dzielną, mądrą, energiczną, pracowała na odpowiedzialnym stanowisku w warszawskim Banku Rolnym, a jednocześnie administrowała bodaj dwoma majątkami na Wileńszczyźnie. Jeden z nich należał do Janka Jundziłła-Balińskiego. Chyba w pierwszych miesiącach 1940 roku, po osobistym zawoździe, odebrała sobie w Rzymie życie.

U tej to uroczej Kazi, na Nowowiejskiej, poznałem jej przyjaciółkę Wandę Serkowską — o ile się nie mylę — skuzynowaną z Marią Skłodowską. Panna Wanda była przystojną brunetką, bardzo inteligentną i na swój wiek bardzo opanowaną. Od Kazi dowiedziałem się, że Leszek kocha się w niej na zabój. Kiedy zapytałem pannę Wandę, czy wyznał jej swą miłość, odpowiedziała że tak i wskazała różę, którą z sobą przyniosła. „Ta róża to prezent od niego. Jestem w bardzo kłopotliwej sytuacji. Uwielbiam go jako poetę, lubię z nim rozmawiać, ale nie mogę odwzajemnić mu się uczuciem jakim mnie darzy”. Zdaje mi się, że nieszczęśliwa miłość do Wandy Serkowskiej — była wielkim zawodem w życiu młodego poety. Przeżywał go długo*.

Przyszedł niezapomniany listopad 1918 roku. Poszedłem na wojenkę z innymi kolegami. I Leszek wdział mundur, w którym

* W zbiorze wierszy Lechonia znajduje się wiersz, który dobrze oddaje nastroje zawiedzionego poety. Tytuł: „Przypisane Wandzie” (Na niebo wypływają białych chmurę żagle):

*„Na niebo wypływają białych chmurę żagle
Od twojej płynie strony niebieska fregata
Nie do mnie, nie od ciebie. I poczułem nagle
Że już nigdy nie będzie, jak zeszłego lata*

*Nie przyjdzie księżycowa i w twoim ogrodzie
Na srebrnej trawie cienie ułoży ogromne.
A później będzie kota rysować na wodzie
Gdy będziesz szła ogrodem nie ze mną nie do mnie”.*

wyglądał bardzo po szwejkowsku. Zdaje się, że przydzielono go do Oddziału II-go, gdzie pewno robił w propagandzie. Straciłem go z oczu i spotykałem tylko przelotnie. Gdy mi ktoś powiedział, że w maju 1931 roku objął obowiązki attaché kulturalnego w ambasadzie w Paryżu, załamałem ręce. Nie ja jeden. Obawialiśmy się czy nie wsiąknie w zupełnie mu nieznane środowisko, czy nie zacznie snobizować się pod jego wpływem, krótko mówiąc, rozmieniać swój wielki talent na drobne. Miało się okazać, że w tych obawach było dużo racji.

Pewnego razu, po latach, spotkałem Leszka na ulicy w Warszawie, bodaj na mazowieckim szlaku. On się śpieszył i ja się śpieszyłem. Wpadliśmy do jakiejś cukierni na kawę, może do Ziemiańskiej. On pytał i ja pytałem. W pewnej chwili nie wytrzymałem i zapytałem Leszka, jak długo jeszcze zamierza bawić się w dyplomata. „Dobrze się stało, żeś poznał Francję, ale dosyć tego! Wracaj do kraju i pisz, tylko pisz”. Nie spodziewałem się reakcji Leszka. Dotknąłem niepotrzebnie czulej struny. Coś wybełkotał i zaczął się żegnać. Rozstaliśmy się jak ludzie, którzy nie mają sobie nic więcej do powiedzenia. Takie było moje ostatnie spotkanie z rówieśnikiem dobrych czasów uniwersyteckich, gdyśmy przed nim, jako wschodzącą wielką gwiazdą poezji polskiej, plackiem padali.

Podczas ostatniej wojny, w 1940 roku, znalazł się w Nowym Jorku gdzie zamieszkał — jakby powiedział Fryling — „w jednym z niezliczonych, ponurych wozów biegnących przez to bezduszne miasto”. Pisał o nim Lechoń, że wszyscy tu obcy i każdy się gdzieś śpieszy. Zmagał się też w tym obcym mieście nieustannie ze sobą o czym świadczy dziennik, który pozostawił. W książce Frylinga jest piękne wspomnienie o „Słowackiego bracie młodszym”, który wybrał los uchodźczy świadom, że chodzi o nieustanny protest — „aż po daleki wygnańczy grób”. Pozostał wierny ideałom młodości. W „Dzienniku” — cytuję Frylinga — „piętnuje łatwe przebaczenia i patrzenie przez palce na cudzołóstwo ze zdradą, na rozpylanie perfum o zaduchu antyszambry stupajów”.

Gdy w pasjonującym lecz zawsze i dla mnie obcym Nowym Jorku rozbiłem namioty, Leszka już nie było. W czerwcu 1956 roku odebrał sobie życie. Nie poszedłem na jego zaniedbany grób. Nie chciałem go oglądać. Myślałem i myślę wciąż, że zanim wolny naród upomni się o tego „arcypolskiego poetę” emigracja powinna wyjąć jego trumnę z nowojorskiego cmentarza i pochować zwłoki Leszka na Montmorency we Francji, by spoczął tam przejściowo wśród legionu emigrantów z różnych epok, którzy jak on wiernie służyli ojczyźnie.

Tym wezwaniem kończę wspomnienie o 60-tej rocznicy odrodzenia polskiej Alma Mater Varsoviensis z której murów wyszedł największy poeta mego pokolenia. Niech kiedyś spocznie, jak marzył, pod Warszawą gdzie leży jego ojciec.

Tadeusz KATELBACH

FUNDUSZ DLA UCZCZENIA PAMIĘCI JOSEPHA CONRADA

ZAINICJOWANY 5 LIPCA 1975 ROKU
POD PATRONATEM STOWARZYSZENIA JOSEPHA CONRADA
W ANGLII
(JOSEPH CONRAD SOCIETY — UNITED KINGDOM)

Protektorzy Funduszu: Melvyn Bragg, Borys Conrad, John Conrad, Adam Curle, William Golding, Graham Greene, Ludwik Krzyżanowski, Ugo Mursia, V. S. Naipaul, Zdzisław Najder, Norman Sherry.

Zwracamy się do społeczeństwa polskiego na emigracji z zaproszeniem, ażeby pomogło nam w zebraniu funduszu, który umożliwiłby stworzenie ośrodka, poświęconego pamięci Josepha Conrada-Korzeniowskiego w Anglii, gdzie Conrad żył, pisał i umarł. Potrzeba takiego ośrodka staje się coraz bardziej nagła wobec rosnącego zainteresowania Conradem na całym świecie i konieczności zgromadzenia w jednym miejscu rozproszonych pamiątek po tym pisarzu. Kierujemy ten apel do społeczeństwa polskiego w nadziei, że Polacy, przebywający wśród nas, zechcą przyczynić się do uczczenia pamięci wielkiego pisarza i człowieka, którego ich Ojczyzna wydała. Będziemy wdzięczni za ofiary, choćby najskromniejsze; każda z nich będzie znakiem, że rodakom Conrada pamięć jego nie jest obojętna.

Ostatecznym celem naszego stowarzyszenia jest nabycie jednego z domów, gdzie Conrad żył i pracował, ale zależy to zarówno od kwoty, jaką zdołamy zebrać, jak i od możliwości uzyskania odpowiedniego domu. Mamy szereg rozwiązań na oku. Ostatnio toczą się pertraktacje z Biblioteką Publiczną w Canterbury w sprawie uzyskania lokalu w nowym budynku biblioteki, gdzie znalazłby pomieszczenie wszystkie cenniejsze pamiątki po Conradzie.

Jako pierwszy cel stawiamy sobie zebranie £ 4.000 w najbliższych dwu latach. Na razie mamy na ten cel £.800. Będziemy informować wszystkich ofiarodawców o postępach w zbiórce funduszu. Spis imienny ofiarodawców będzie przechowywany w Ośrodku. Nazwiska tych ofiarodawców, którzy złożą £.50 (\$100), zostaną umieszczone na tablicy pamiątkowej członków założycieli Ośrodka.

Czeki, wystawione na *Joseph Conrad Commemorative Fund* oraz przekazy pieniężne należy przysyłać pod adresem Miss Margaret Rishworth, Treasurer, Olinda, Heathside Lane, Beacon Hill Rod., Hindhead, Surrey, England.

Prosimy o podawanie nazwisk osób, które mogłyby interesować się funduszem, celem wysłania im naszych ulotek.

Juliet McLAUCHLAN — prezes

Komitet Zbiórki Funduszu: Philip Conrad — prezes
Juliet McLauchlan — wiceprezes
Evanthia Turner — sekretarz
Margaret Rishworth — skarbnik
John Mowat — kierownik reklamy
C. T. Watts
Wit Tarnawski

STYPENDIA FUNDACJI GUGGENHEIMA

Stypendia Fundacji Guggenheima (*Guggenheim Fellowships*) przyznawane co roku wybitnym amerykańskim naukowcom, pisarzom i artystom uchodzą za zaszczytne wyróżnienie. Lista *fellows* na rok 1976 zawiera następujące nazwiska imigrantów z Polski: Wiktor Erlich, profesor literatury rosyjskiej, Uniwersytet Yale; badania nad rosyjską kulturą literacką lat 1920-tych; Henryk Hiż, profesor lingwistyki, Uniwersytet Pensylwanii; studium porównawcze semantyki oraz syntaksy angielskiej i polskiej; Czesław Miłosz, poeta i tłumacz, profesor języków i literatur słowiańskich, Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley; poezja, przekłady poetyckie; Edward Stankiewicz, profesor lingwistyki słowiańskiej, Uniwersytet Yale; systemy akcentowania w językach słowiańskich.

STYPENDIA „POLONIA TECHNICA”

Stowarzyszenie Polsko-Amerykańskich Inżynierów w Stanach Zjednoczonych — Polonia Technica, uchwaliło przyznać na rok akademicki 1976/1977 stypendia studentom Polakom, matrykulowanym na wyższych uczelniach i studiującym nauki techniczne lub im pokrewne, jak matematyka, fizyka, chemia, ekonomia przemysłowa.

Wysokość stypendiów zostanie uchwalona przez Komisję Stypendialną Stowarzyszenia.

Zainteresowani studenci winni nadesłać w terminie do końca maja 1976 roku podania pod adresem: POLONIA TECHNICA, Inc., KOMISJA STYPENDIALNA, 36 WEST 56 ST., APT. 1 C., NEW YORK, N.Y., 10019 U.S.A.

Do podania należy załączyć życiorys, zaświadczenie uczelni o przyjęciu na rok akademicki 1976/1977 (wydział i rok studiów) oraz referencje dwóch osób, znających osobiście kandydata.

Zaświadczenie uczelni dla kandydatów ubiegających się o stypendia nie po raz pierwszy winny zawierać wykaz egzaminów, złożonych w 1975/1976 roku. Podania winny być indywidualne; podania grupowe nie będą rozpatrywane.

Zawiadomienia o wynikach podań wysłane zostaną z końcem czerwca bieżącego roku.

Przewodniczący Komisji Stypendialnej
W. J. KLIMKIEWICZ

NAGRODA IM. JANINY ZE STARZYCKICH ŁAWRUKOWEJ

Dr Bohdan Ławruk, profesor matematyki na McGill University w Montrealu dla uczczenia pamięci swej matki, w trzecią rocznicę jej śmierci, ustanowił nagrodę dla osób zasłużonych na polu zbliżenia polsko-ukraińskiego, która to idea była bliska zmarłej.

Nagroda wynosi 1.000 dol. kan. — w razie przyznania jej tylko jednej osobie albo po 500 dolarów w razie przyznania dwum osobom. Protektorat nad nagrodą objęła Fundacja im. A. Mickiewicza w Toronto.

W skład jury weszli Bohdan Ławruk, prof. dr Bohdan Budorowycz (Toronto), red. B. Heydenkorn (Toronto), red. Iwan Koszeliweć (Monachium), J. Giedroyc (Paryż).

Nagroda będzie przyznawana co trzy lata.

Korespondencję w sprawie Nagrody należy kierować na adres:

B. ŁAWRUK,
3425 STANLEY ST., APT. 405, MONTREAL, QUE, H3A 1S2, CANADA.

BIBLIOTEKA POLSKA W LONDYNIE — DO SPOŁECZNOŚCI POLSKIEJ NA OBCYZIŃNIE

Utworzona w 1942 roku przez Rząd Rzeczypospolitej w Londynie, Biblioteka Polska przetrwała bez uszczerbku niewdzięczne koleje i przeciwności trzydziestolecia naszego pielgrzymstwa na wygnaniu.

Gdy w 1966 roku Rząd Brytyjski, pragnąc stłumić głos prawdy obciążający przed światem jego sumienie wobec narodu najwierniejszych swoich sprzymierzeńców i towarzyszy broni, usiłował nas pozbawić źródła z którego my — a przede wszystkim następcy nasi czerpać mogą własny język, poczucie narodowe i kulturę nierozłącznie związaną z tysiącleciem naszej wiary i dziejów — cofnął uchwaloną — po rozwiązaniu Polskich Sił Zbrojnych pod Dowództwem Brytyjskim ustawą parlamentarną tzw. *Resettlement Act* — dotację na Bibliotekę Polską. Jednocześnie zgłosił pretensje do jej księgozbioru z zamiarem rozproszenia go po składach księżnic brytyjskich i oddania najcenniejszych działów naukowych w podarunku bibliotece studiów rosyjskich im. Bajkowa w Birmingham. Ówczesny Premier Harold Wilson oświadczył ponadto wyraźnie w swym piśmie z 5 października 1965 do Lorda Barnby, Prezesa Instytutu Gen. Sikorskiego, że wszelką pomoc polskim instytucjom kulturalnym od Rządu Brytyjskiego ustanie z końcem 1967 roku, dodając dosłownie: „*The Polish Community should as the war recedes in time, cease to be treated as a separate entity and should be increasingly integrated into the wider British Community*”.

Społeczność niepodległościowa wówczas nie zawiodła. Stała się jednym głosem w obronie skarbnicy wolnej polskiej myśli, słowa i kultury, bodaj najcenniejszego i najtrwalszego naszego dorobku na obczyźnie. Poparli nas również życzliwie liczni przyjaciele brytyjczy w Parlamencie, w prasie i w kołach naukowych.

Wyłoniona z inicjatywy Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii Rada Biblioteczna wraz z utworzonym w tym celu przede wszystkim, Polskim Ośrodkiem Społeczno-Kulturalnym, odparła roszczenia Brytyjskiego Ministerstwa Oświaty do naszych księgozbiorów, wskutek czego Rząd Brytyjski przyznał ich formalny tytuł własności Polskiemu Ośrodkowi Społeczno-Kulturalnemu, jako powiernikowi Polskiej Społeczności Niepodległościowej w Wolnym Świecie. Od tej chwili w ciągu ostatnich 8 lat Biblioteka wzbogacała się darami i legatami napływającymi z całego świata nie wyłączając Kraju w stosunku rocznym 3.500 - 6.500 tomów.

Dzięki udostępnieniu swoich zbiorów instytucjom i uczonym całego świata zdobyła rozgłos międzynarodowego ośrodka naukowego, choć może wśród najpierwszych jej zadań pozostaje obsługa przybyszów, w szczególności młodzieży z Kraju, pozbawionego dostępu do wolnej myśli i wolnej wypowiedzi, jak też gromadzenia materiałów dokumentujących działalność i dzieje emigracji polskiej.

Dzisiaj ponownie losy Biblioteki leżą na sumieniu każdego Polaka w wolnym świecie, któremu miara jego środków i możliwości powinna nakazać przyczynienie się do jej ratunku.

Dzierżawa lokalu zajmowanego przez Bibliotekę wygasa z dniem 1 września br. Lokal ten musi zatem być opróżniony przed 1 lipca.

Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny wybudował na własnym gruncie obszerne pomieszczenie przeznaczone dla Bibliotek Polskich w Londynie. Natomiast pokrycie kosztów wewnętrznego urządzenia, które jest w trakcie wykonania zależy całkowicie od ofiarności społeczeństwa.

Ponieważ Radzie Bibliotecznej, wybranej przez przedstawicieli społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii, powierzono połączenie bibliotek polskich w Londynie i zapewnienie im podstaw trwałego bytu i rozwoju w oparciu o zbiorową pomoc społeczności polskiej na obczyźnie — poczuwam się do obowiązku przedstawienia wyniku tej ofiarności na rzecz Biblioteki Polskiej od społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii za rok 1975.

Od wszystkich organizacji na terenie W. Brytanii otrzymano f. 285.55.
Datki indywidualne wyniosły f. 2.711.66.

Koszta urządzenia pomieszczeń i przeprowadzki bibliotek wyniosą około f. 130.000.

W cytowanym wyżej piśmie Premier Wilson dodał „*The Poles themselves should provide a real measure of financial support for their cultural organizations if they wish to preserve them*”. Liczyć więc musimy przede wszystkim na własne siły i zasoby.

W imieniu Rady Bibliotecznej — w imieniu Biblioteki Polskiej i Centrali Bibliotek Ruchomych — zwracam się z apelem do całego społeczeństwa, przede wszystkim do kierownictw i przedstawicieli poszczególnych organizacji społecznych i opiekuńczych a ze szczególnie gorącą prośbą do naszego polskiego duszpasterstwa, o nagłą wydatną pomoc od której zależeć będzie byt bibliotek i pozostanie ich w naszym ręku.

Stefan ZAMOYSKI

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1636 Bloor St. W. - Toronto, Ont. M6P 1A7, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń między narodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

Książki

Wyprawa po "szczęście o którym piszą w gazetach"

Książka nieznanego autora zawsze budzi w czytelniku nieufność. Tym bardziej — książka autora, o którym nic nie wie się, prócz tego, co on sam w książce o sobie powie. Wiadomo o całej sprawie jeszcze tyle, że książka — a tytuł jej brzmi „Moskwa-Pietuszki” — opublikowana została w „Samizdacie”.

W latach 20-tych jeden z twórców tzw. „szkoły formalnej”, Wiktor Szklowski, nie chcąc pogodzić się z tym, że „ruch artystyczny zaczyna być regulowany, jak ruch pociągów, podczas gdy sztuka winna być posłuszna jedynie bodźcom organicznym tak jak serce”, zaproponował by w literaturze wprowadzić tzw. „rachunek hamburski”. Przypomniawszy, że w końcu XIX wieku zdobyły sobie w całej Europie nadzwyczajną popularność walki francuskie i że zapaśnicy, występujący w cyrkach, teatrach, kabaletach — zwykle zawczasu ustalali między sobą, jaki będzie wynik turnieju. Skończyło się na tym, że sami zapaśnicy przestali w końcu orientować się, kto z nich naprawdę jest silniejszy. Zapadło wówczas postanowienie, by raz do roku spotykać się w jakiejś ustronnej knajpie w Hamburgu, aby tam — już bez udziału publiczności — staczać walki na serio i ustalać w ten sposób prawdziwą hierarchię. Wiktor Szklowski zaproponował by podobny „rachunek hamburski” wprowadzić do krytyki literackiej: oceniać książki wedle ich autentycznych wartości artystycznych, bez rabatu, bez względu na ich treści propagandowe, społeczne, partyjne, itd. Nie trudno się domyśleć, że propozycja ta została odrzucona z oburzeniem.

W drugiej połowie lat 50-tych, w literaturze sowieckiej „rachunek” taki znalazł zastosowanie: pojawił się „Samizdat”. Jedynie książka, będąca w stanie naprawdę czytelnika zainteresować, podlegała przepisaniu od ręki lub na maszynie, wypożyczana była przyjaciółom, albo przekazywana ukradkiem, pod groźbą surowej kary.

„Wszelkie w ogóle utwory literackie — pisał Osip Mandelstam — dzielę na dozwolone, oraz napisane bez pozwolenia. Te pierwsze — to śmiecie, te drugie — to kradzione powietrze”.

Powieść „Moskwa-Pietuszki” napisana jest bez zezwolenia. Już sam ten fakt powinien zwrócić na nią uwagę publiczności. Ale nie tylko on.

Powieść Benedykta, czyli Wienera Jerofiejewa jest mianowicie jednym z najoryginalniejszych dzieł literatury rosyjskiej lat ostatnich. Książka — autor nazwał ją poematem — jest utworem *par excellence* satyrycznym i zarazem — głęboko tragicznym. Realistycznym i jednocześnie — fantastycznym. Jest to opis podróży z Moskwy do miejscowości Pietuszki — i z powrotem, ale zarazem — opis wyprawy w głąb Rosji i w głąb siebie samego, w nieznanne.

Zdawałoby się, że już sam tytuł daje ścisłe pojęcie o punkcie odjazdu i stacji docelowej: Moskwa-Pietuszki, trasa długości 125 kilometrów, odjazd z dworca Kurskiego. Bohater — prowadzący narrację w imieniu samego autora, Wiener Jerofiejewa — wsiada do pociągu. Rozdziały noszą nazwy odcinków drogi: Moskwa - „Sierp i Młot”, „Sierp i Młot” - Karaczarowo, Karaczarowo - Czuchlinka...

Ale po drodze na dworzec Kurski, a całe dwa dni trwa ta droga — Benedykt Jerofiejew nie przestaje pić: jeden sztaگان wódki, drugi sztaگان, piwo, likier. Pije bez ustanku, tracąc pojęcie czasu i przestrzeni. Nasz bohater nie trzeźwieje ani na chwilę w ciągu całej podróży, w ciągu całego życia. Czasownik „pić” — we wszystkich formach, wraz ze wszystkimi jego synonimami — jest czasownikiem najczęściej w tej książce używanym. Nazwy niezliczonych wódek i wszelkich innych napojów wyskokowych, recepty zupełnie niezwykłych koktajli — powtarzane są w miłośnym niemal uniesieniu. Benedykt Jerofiejew jest alkoholikiem.

Przy lekturze pierwszych stron powieści „Moskwa-Pietuszki” naprasza się z początku asocjacja z książką Malcolma Lowry „Pod wulkanem” — wielkim dziełem, napisanym przez alkoholika, o demonie pijaństwa. Stopniowo jednak uświadamiamy sobie zasadniczą różnicę. Lowry napisał rzecz o alkoholiku, żyjącym wśród trzeźwych. Jerofiejew pisze o alkoholiku, obracającym się wśród alkoholików.

Nazwawszy swoją książkę „poematem” — Jerofiejew każe czytelnikowi przypomnieć sobie natychmiast inny „poemat” — „Martwe dusze” Gogola, w którym pojawia się symbol Rosji — rozhukana trojka, cwałująca gdzie oczy poniosą, wciąż naprzód, zmuszając inne narody i państwa do schodzenia jej z drogi.

W „poemacie” Jerofiejewa znajdujemy inny symbol Rosji: zamiast „skrzydlatej trojki” — pijany pociąg, wlokący się z szybkością 60 km. na godzinę, jeśli w ogóle trzyma się on rozkładu jazdy.

Pijany jest sam bohater jadący na spotkanie ukochanej, którą poznał był w trakcie jakiejś popijawy, pijani są wszyscy pasażerowie, pijany jest kontroler, który nie chce ani spojrzeć na bilety, żądając w zamian od każdego z pasażerów podatku w postaci grama wódki za kilometr; zalani w dym pasażerowie mają flaszki wódki po kieszeniach, albo w walizkach, aby tylko nie wytrzeźwieć po drodze. Piją wszyscy bez wyjątku. Nawet dzieci — nie znające jeszcze okoliczności i przyczyny śmierci Puszkina (dzieci sowieckie dowiadują się o tym w przedszkolu), wiedzą już, że butelka „Zwieroboja” kosztuje 2 ruble 62 kopiejki.

Pijani pasażerowie pijanego pociągu nie tylko chleją: próbują również znaleźć przyczyny powszechnego pijaństwa. W trakcie filozoficznego dyskursu dochodzi do sformułowania nader logicznej teorii: „Wszyscy wybitni ludzie Rosji, wszyscy, którzy jej byli potrzebni — pili, jak wieprze. Natomiast ludzie zbyteczni, nicponie — wcale nie pili... Wszyscy najuczciwsi Rosjanie! A dlaczego właściwie pili? — a z desperacji! Pili właśnie dlatego, że uczciwi! Dlatego, że nie mieli żadnego wpływu na polepszenie sytuacji ludu... Ciemnota staje się coraz bardziej niepokonana, a pauperyzacja wzrasta w stopniu absolutnym. Czytaliście Marksa? W stopniu absolutnym! Inaczej mówiąc — człowiek pije coraz więcej i więcej. I tak działo się zawsze i dzieje się do ostatniej chwili, do ostatniej chwili!...”

Tworzy się w ten sposób metafizyczne błędne koło. I nie sposób się już zorientować, kto z jakiego powodu pije: czy warstwy niższe, biorące przykład z góry, czy też warstwa rządząca — świadoma obyczajów swoich poddanych. Sławetne rosyjskie pytania zasadnicze — owe kwestie, które przez setki lat drażyły Rosjan i dały początek wielkiej literaturze — jak: „Kto winien?” i „Co robić?”, w poemacie Jerofiejewa przekształcają się w pytania — „Co pić?” i „Ile można wypić?”, oraz — „Ile można wypić naraz?”. Jeśli przy tym wielka literatura rosyjska nie zawsze pewna była słuszności odpowiedzi, jakie dawała na owe odwieczne pytania — Jerofiejew przekonany jest, że odpowiedzi, których udziela, są bezwzględnie słuszne. Pić można wszystko — poczynając od najrozmaitszych wódek, poprzez wino, denaturat i polityrę — aż do wody kolońskiej marki „Świeżość”. Pić trzeba jak najwięcej, aż do całkowitej utraty przytomności.

Jerofiejew zdaje sobie sprawę, że ten i ów mógłby tu zaprotestować. Udziela nawet głosu oponentom: „Za pozwoleniem! — słyszę już ze wszystkich stron. — Czy naprawdę nie ma już na całym świecie nic takiego, co mogłoby ludziom...!”. I zupełnie przekonany o własnej słuszności, odrzuca z miejsca te protesty: „Otóż właśnie, że nie! — oznajmiam wszem wobec. — Nie ma nic po za tym! Nie ma niczego, co mogłoby!...”

Alkoholizm ma tyleż przyczyn ilu jest na świecie alkoholików. Najłatwiej byłoby rzec, że dążenie Wieniczki Jerofiejewa, aby dać nura w odmęty zapomnienia, aby zagubić się w fantastycznym świecie, wyrosłym na spirytusowej pożywce — jest owocem

samotności. Sam to zresztą stwierdza: „Byłem beznadziejnie samotny”. Ale to jeszcze wcale nie wszystko. Główną przyczyną Jerofiejew nie potrafi określić — ale cała treść książki sugeruje o co chodzi. Najważniejsza przyczyna szewskiego pijaństwa bohatera tego poematu na tym polega, że jest on człowiekiem w nic nie wierzącym. Jest człowiekiem pełnym wątpliwości — a mieszka w kraju gdzie wszyscy wierzyć muszą koniecznie, jest sceptykiem w państwie, gdzie sceptycyzm jest ścigany przez prawo, jest ironistą w literaturze, która uznaje wyłącznie aprobatę. „Toć wy wszystko gotowicie obalić, jak — nie przymierzając — Goethe...” — karci Jerofiejewa jeden z jego zalanych w dym rozmówców, którzy nawet pod gazem dobrze pamiętają, że tylko aprobatą jest cnotą i że podawanie w wątpliwość rzeczywistości świata równa się w istocie budzeniu wątpliwości co do samej władzy sowieckiej.

Tragedia bohatera na tym polega, że — nie wyróżniać się, być takim jak inni — może on tylko wtedy, gdy się upije — tak samo, jak wszyscy, albo jeszcze bardziej. Tragiczny sens konfliktu i komizm tej sytuacji stanowią o oryginalności poematu Jerofiejewa. Można nazwać go bez żadnej przesady najudatniejszym utworem satyrycznym literatury sowieckiej ostatnich dziesięcioleci. Nie sposób pohamować śmiechu, czytając tę książkę. Mamy tu klasyczny przypadek rosyjskiego śmiechu przez żyz. „Moskwa-Pietuszki” jest przykładem satyry, o której Dostojewski mawiał, że podszyta jest zawsze tragedią. Albowiem: „tragedia i satyra to siostry i krocza one zawsze razem, i jedno noszą imię, a brzmi ono — prawda”.

Satyra Jerofiejewa jest bezlitosna. Z tą samą ironią mówi on o Bogu, prowadzącym bohatera „od mąk ku światłości”, to znaczy — od tragicznego stanu przymusowej trzeźwości do błęgiego zalanania w dechę, i o „najwznioślejszej rzeczy w świecie”, a jest nią wszak walka o szczęście ludzkości, nad którą narrator przekłada jednak przeraźliwy koktajl „Sucze bebechy”. Jerofiejew wyśmiewa niezliczone „świętości”, czczone przez społeczeństwo — uchodzące we własnym mniemaniu za ateistyczne: a więc pojęcie „ludu”, który najcięższe męki znosi między brzaskiem, a godziną otwarcia sklepów (kiedy można wreszcie kupić wódkę); i „naszą promienną przyszłość”; i Ojczyznę „tak wielką i tak gotową do wielkich czynów”; i Hymn Młodzieży Demokratycznej — koktajl, noszący tę nazwę budzi w człowieku „wulgarność i ciemne instynkty”: a nawet ośmiela się bez należytego szacunku napomynać o „przesławnym jubileuszu” — o uroczystości w trakcie kilku lat z rzędu świętowanej setnej rocznicy urodzin twórcy partii i państwa: komponuje na jego cześć kolejny koktajl „Pocafunek bez miłości” czyli „Inessa Armand”. Bez żadnego szacunku wyraża się również o księciu Pożarskim i kupcu Mini-nie, rosyjskich bohaterach narodowych, którzy w roku 1612 byli organizatorami ruchu oporu przeciw polskim agresorom, za co też wystawiono im pomnik na Placu Czerwonym, stojący tam

po dziś dzień. Tym samym tonem mówi Jerofiejew o sowieckich bohaterach narodowych — zdobywcach Arktyki i Bieguna Północnego — lotniku Wodopianowie i administratorze Papaninie.

Obrazoburstwo pisarza nie oszczędza również potocznych sądów sowieckich obywateli o społeczeństwie zachodnim, o tym „świecie propagandowej fikcji i reklamy”, który zamieszkują „ludzie, będący igraszką w ręku ideologów monopolistycznego kapitału, oraz marionetki królów armat”, o USA — „kontynencie, gdzie wolność stała się widmem”, o zaprzyjaźnionych krajach: „cały ryż musimy eksportować do Chin, cały cukier — na Kubę... a co sami żreć będziemy?”. Ale jest też to i owo o modnych słowianofilskich stereotypach: prócz wódki — „wszystko tu nie nasze, wszystko to narzucił nam Piotr Wielki i Mikołaj Kibalczyk...” tzn. car, który przerąbał okno na Europę i chemik, który skonstruował bombę, która zabiła Aleksandra II-go.

„Przyszłość Rosji była wspaniała, jej teraźniejszość jest olśniewająca nad wszelki podziw, co zaś dotyczy jej przyszłości, to przewyższy ona wszystko, co człowiek zdolny jest sobie wyobrazić” — słowa te, napisane przed prawie 150 laty przez szefa żandarmów Mikołaja I, stały się dziś kamieniem węgielnym sowieckiej ideologii. Autor powieści „Moskwa - Pietuszki” zgłasza sprzeciw wobec tej tezy. Wzywa na świadków swego bohatera-alkoholika, pijany pociąg, brygadę pijanych robotników, cały lud, stumaniony wódką, wszystkie swoje obrazoburcze myśli.

Bunt przeciw wszechogarniającej ideologii zaczyna się od buntu przeciw językowi, który jest najważniejszym z narzędzi, służących ujarzmieniu myśli. Już w 1925 roku Michał Zoszczenko nazwał go „małym językiem”, a dotąd jeszcze nie napisana została historia oficjalnego, sowieckiego żargonu, składającego się z gotowych szablonów: z haseł, cytatów, formułek aprobaty, utartych powiedzonek, z ograniczonego zapasu zwrotów, którego skład bezustannie ulega kontroli i przesianiu. Sołżenicyn walczy z tym językiem, tworząc neologizmy, przywracając do życia stare, rosyjskie słowa, zapomniane albo zarzucone. Jerofiejew obrał inną drogę, przetartą przez bliskich mu duchem pisarzy: Andrzeja Siniawskiego, Włodzimierza Maksymowa. Rozsadza język oficjalny od wewnątrz, rwie ustalone już od dawna związki między słowami, demaskuje fałsz narzuconych publiczności obowiązkowych skojarzeń. Cytaty z Lenina płaczą się natrętnie po głowie Wieni Jerofiejewa i przypominają mu się we wszelkich okolicznościach: „dekabryści zbudzili Herzena”, albo „jeszcze za wcześnie chwycić za oręż”. A gdy — rzecz jasna, pod muchą — Wienia czuje chęć podzielenia się z ludźmi rozpierającą go radością życia, to stosuje cytaty z wierszy Majakowskiego. Reklamując swoje zadziwiające koktajle: „Balsam Kanański” — albo „Łza komsomołki” — Jerofiejew cytuje znaną każdemu człowiekowi sowieckiemu formułę: „Nie możemy oczekiwać łask od przyrody...”. Ta właśnie maksyma była podstawą i treścią sławetnej teorii nie mniej sławetnego Łysenki. „Ma się tylko jedno życie”

— przytacza Jerofiejew początek znanej dewizy sowieckiego świętego, Mikołaja Ostrowskiego, ale kończy cytat po swojemu: „i przeżyć je trzeba tak, by nie pomylić się nigdy w recepturze”. Oczywiście chodzi o przepisy na koktajle. Wszystkie braki, niepowodzenia, klęski, plagi, trapiące Związek Sowiecki, tłumaczy się tam przywarami obywateli, w których świadomości bytują „pozostałości i odpadki minionej epoki”. Opierając się na tej koncepcji, narrator wyjaśnia w sposób naukowo bardzo ścisły i prawdopodobny, skąd się bierze oficjalny sowiecki antysemityzm, czyli — antysyjonizm: „...choćby homoseksualizm w naszym kraju zlikwidowany został ostatecznie, ale przecież nie zupełnie. A raczej — zupełnie, lecz nie całkowicie. A właściwie: — zupełnie i całkowicie, ale nie ostatecznie. Bo też co mają teraz w głowie nasi ludzie? Wyłącznie homoseksualizm. No, może tam jeszcze Arabów, Izrael, Golan, Dayana. Ale gdyby tak przepędzić Dayana z Golanu, a Żydów pogodzić z Arabczykami? — co wtedy zostanie w tych ludzkich głowach? Już tylko goły homoseksualizm”. Zastąpmy teraz słowo „homoseksualizm” jakimś innym, do wyboru — i od razu wiedzieć już będziemy, co telepie się we łbach sowieckich ludzi, we łbach zamulonych przez „pozostałości i odpadki minionej epoki”, której na dobrą sprawę nikt z nich nie znał.

Czy można się dziwić, że — nie uznający żadnych pewników i szydzący ze wszystkiego — bohater poematu Jerofiejewa w ogóle nie dojeżdża do przystanku Pietuszki, gdzie, jak ufa (i jest to jedyna rzecz, w którą wierzy) czeka na niego to „szczęście, o którym pisze się w gazetach”? W sposób nieuchronny i fatalny wraca tam, skąd wyruszył, do Stolicy, aby zginąć pod murami Kremla. Ktoś całkiem nieznajomy zabija go ciosem szydła w krtań. Cios w krtań za bluźniercze słowa, kara za ironię i sceptycyzm.

Kreml pojawia się na pierwszej stronie książki, w pierwszym od razu wierszu: „Wszyscy powtarzają Kreml, Kreml. Każdy mi o nim gadał, ale sam go jakoś dotąd nie widziałem”. Ale Kreml nie spuszcza narratora z oka i niczego mu nie wybacza.

Pisarz francuski, markiz de Custine, który odwiedził Rosję w roku 1839 i przejrzał ją na wskroś z nadprzyrodzoną wręcz przenikliwością, uczynił takie spostrzeżenie: „W Rosji... nawyk myślenia jest nie tylko przestępstwem, lecz również nieszczęściem”. Po upływie niemal 150 lat, moskiewski poeta Mikołaj Głazkow, pijaczek z talentem, napisał wiersz, znany tylko czytelnikom „Samizdatu”. Jest w nim taka strofka:

*Obserwuję spod mego stolika
Istne cuda wieku dwudziestego:
Im ciekawszy wiek dla historyka
Tym smutniejszy jest dla współczesnego.*

Smutny i straszny los Rosjanina żyjącego w XX wieku, opowiedziany jest w książce Benedykta Jerofiejewa; przepisywana

od ręki przez wdzięcznych czytelników, doczekała się w Rosji ogromnej popularności. Opublikowana została drukiem w 1973 roku w jednym z numerów efemerycznego, nie istniejącego już, czasopisma, wydawanego po rosyjsku w Izraelu. Na Zachodzie książka ukazała się niedawno we francuskim przekładzie. Nie przypuszczając nawet, że utwór jego doczeka się tłumaczeń, Jerofiejew pisał: „Oni tam naszego smutku nie rozumieją”.

Miejmy nadzieję, że w tym punkcie autor się pomylił.

Michał HELLER

(Tłumaczył Michał Kaniowski)

Nieunikniona małość wydarzeń

Większość debiutów powieściowych to zakamuflowane autobiografie i powieść Zagajewskiego „*Ciepło, zimno*”^{*} nie odbiega na pozór od tej tradycji: to opowiadanie o losach chłopca urodzonego po wojnie we Lwowie, dorastającego w Gliwicach i studiującego w początku lat 60-tych w Krakowie odpowiada z grubsza — sądząc po notce na obwolucie — życiorysowi autora. Rysem nietradycyjnym jest tu jednak przewyciężenie fascynacji tzw. „niepowtarzalnością ludzkiego losu” czyli sobą samym i takie pokierowanie fikcyjnym *alter ego*, że powieść stanowi wiarygodny obraz czasu. Wiarygodność jest prawdą literatury, toteż prozatorski debiut Zagajewskiego należy uznać za sukces i to o tyle poważniejszy, że odniesiony na z góry wyznaczonym terenie. Na rok przed omawianą powieścią Zagajewski wydał wraz z J. Kornhauserem zbiór szkiców krytycznych pt. „*Świat nie przedstawiony*”, których teza główna — otrzepana z niedomówień — głosiła, że proza krajowa ucieka od rzeczywistości i że o współczesności polskiej można by (mimo cenzury, itp.) pisać pełniej i prawdziwiej. Twierdzenie to nie jest bynajmniej oczywiste, a udowodnić je można tylko w praktyce — toteż przeczytałem „*Ciepło, zimno*” z zainteresowaniem, jakie budzi wynik niepewnego zakładu.

Sukces „przedstawieniowy” tej książki należy przypisać rzetelności technicznej i kompozycyjnej. Pierwsze pojęcie oznacza dokładność obserwacji realiów i umiejętność oddania ich językiem niewyświechtanym i niepretensjonalnym, drugie — wrażenie, że to co zostało opowiedziane wykracza poza to co zostało

opowiedziane, czyli że treść książki stanowi *pars pro toto* szerszego tematu. Tym szerszym tematem jest tutaj destrukcyjna siła marazmu społecznego. Wrażenie globalne: że książka jest interesująca w szczególe i nudna w ogóle, że życie jej bohatera jest bogate w skali mikrokosmicznej i ubogie w makrokosmicznej, bo jego pozorna intensywność wynika stąd, iż jest ono ograniczone próżnią i naprawdę nie dzieje się nic, że rzeczywistość *tout court* jest „domknięta” jak zbiór matematyczny o zdefiniowanych własnościach — to wszystko wydaje się efektem zamierzonym i skrótowo nazwanym w tytule. Rzeczywistość polska, przedstawiona w „*Ciepło, zimno*” jest letnia jak wystygła zupa i akcja książki jest w istocie opowieścią o bezbolesnym wrastaniu zdolnego i wrażliwego chłopca w ogólną nijakość. Degrengolada bohatera pokazana jest tak subtelnie, że można ją wziąć nieomal za rozwój; nie ma upadku, jest tylko wytrącanie wysokości. Świetnie podchwycony szczegół: bohater jeszcze jako uczeń gimnazjalny zauważa, że z jego językiem dzieje się coś dziwnego — zdrabnia, zamiast „chleb” mówi odruchowo „chlebek”, zamiast „bilet” — „bilecik”. Ale tak mówią wszyscy, ze spostrzeżenia tego nie wyrasta nic, proces rozpuszczania nie zostaje zatrzymany. Studenckie olśnienie Nietzsche’em przechodzi w upodobanie do uczestniczenia w „życiu kulturalnym”, reprezentowanym przez publiczne odczyty jakby żywcem wyjęte z *Bouvard i Pécuchet* i — rzecz znamienna — w upodobanie do łagodzenia, wygaszania następujących po nich dyskusji. Spokój rodzi małość, małość rodzi spokój.

Książce Zagajewskiego patronują dyskretnie *Ferdydurke* i *Czarodziejska góra* — dwa archetypy demoniczności drobnych wydarzeń. Po skończeniu gombrowiczowskiej szkoły bohater przeobraża się w mini-Hansa Castorpa, bez oporu dostraja się do atmosfery krakowskiego *Zauberhügel*, bez wstrząsów przechodzi próby intelektualne, na jakie wystawia go starszy kolega, studenckie wcielenie Naphty i Settembriniego, lekkim tylko tryprem okupuje epizod z odpowiednikiem Kławdii Chauchat i już staje u progu prawdziwego życia — którym jest posada etatowego zamykacza dyskusji w państwowym Domu Kultury. W przeciwieństwie do mannowskiego Castorpa bohater Zagajewskiego nie zostaje wyrwany przez żadną wicherę spod czarodziejskiego klosha: wydaje się, że zostanie w nim już na zawsze, „dojrzały”, zdrobniony, bezwolnie przekształcony w *vanitas vanitatum* — piorunochron dla burz w szklance wody.

Jako świadectwo i obraz marazmu „cenzuralna i niekontestatorska” książka Zagajewskiego jest może bardziej przygnębiająca, niż np. *Cudowna melina* Orłosa, ponieważ ukazana w niej rzeczywistość wyklucza możliwość jakiegokolwiek *happy-endingu*. Żaden „towarzysz ze stolicy” nie może przyjechać i zaprowadzić porządku — ponieważ już jest porządek. Porządek małej stabilizacji.

M. BRŃSKI

* Adam Zagajewski, „*Ciepło, zimno*”, 233 str., PIW, Warszawa, 1975.

"Krzyżacy" po francusku

Powieść Sienkiewicza ukazała się nakładem wydawnictwa Marabout, w jednym sporym tomiku serii „Powieści popularnej”.*

Niewiele jest do powiedzenia o samym przekładzie. Słusznie zaniechano stylizacji języka, poza drobnymi akcentami, jakie wnoszą terminy materialne, nazwy ubioru czy broni, i które francuski czytelnik zna z historycznych felietonów telewizyjnych. Ale całość brzmi dość sztucznie, zwłaszcza w partiach dialogów, i jest raczej bezbarwna.

Natomiast należy chyba zwrócić uwagę na figurującą na okładce wzmiankę *Tekst integralny*. Po przejrzaniu kilku rozdziałów staje się oczywiste, że ze skróty są spore, przede wszystkim w partiach narracyjnych. Wydawcy chodzą o to, żeby całą powieść zamknąć w jednym tomiku, ale też o to, by dzieło Sienkiewicza „odświeżyć” i przybliżyć do przeciętnego czytelnika zachodniego. Zamyśl nie nowy i nie zbrodniczy, każdy klasyk, nie chroniony prawem autorskim, jest narażony na takie adaptacje.

Rzecz jednak w tym, jakich środków użyto do tego celu. Cięcia w tekście nie ograniczają się do usunięcia stron czy paragrafów (co byłoby zabiegiem normalnym w wydaniu skróconym), ale dotyczą niejednokrotnie poszczególnych kwestii wyrzuconych z dialogu, a nawet zdań — już to przeniesionych z miejsca na miejsce, już to przeciętych w połowie i dowolnie wiązanych z członem innego zdania z następnej strony.

Tłumaczenie dosłowne nie może być dobre, każdy literacki przekład jest do pewnego stopnia „adaptacją”, ale jednak... *le style fait l'homme*, a styl to także rytm dialogów i narracji. Poza tym, w typografii istnieje konwencjonalny znak wielokropka w nawiasach, którego używa się zazwyczaj dla oznaczenia skrótów. Tutaj nie zastosowano tego znaku, czytelnik nie jest więc o niczym uprzedzony: tekst spreparowany jest mu podany jako tłumaczenie integralne.

Tu wracamy do owej wzmianki wydrukowanej na okładce, która nie ma prawa bytu w odniesieniu do tego wydania „Krzyżaków” po francusku. Zgodnie z ogólnie przyjętymi zasadami, winno ono być opatrzone wskazówką: *Edition abrégée*.

t. d.

*

Nadesłane nowości wydawnicze

CZYŻEWSKYJ (Dmytro). *A History of Ukrainian Literature*. (From the XI to the End of the XIX Century). Tłumaczenie Dolly Ferguson, Doreen Gorsline i Ułana Petyk. Redakcja i przedmowa George S. N. Luckyj. Str. 681 i 5 nlb. (Wyd. Ukrainian Academic Press, Littleton, Colo., 1975.

Cena egz. oprawnego Dol. 25,00, nieoprawnego — Dol. 15,00).

Discordant Voices — The Non-Russian Soviet Literatures 1953-1973. Redakcja George S. N. Luckyj. Str. 149 i 3 nlb. (Wyd. Mosaic Press, Oakville, Ontario, 1975, cena Dol. 4,95, w opr. Dol. 9,95).

HOLOWACZ (Jarosław). *Forests of Ukraine, their History and Present Status*. Str. 33-67. (Nadbitka z *Ukraine in the Seventies*, wyd. Mosaic Press, Oakville, Ontario).

PODGÓRECKI (Adam). *Fairy Tales of Si-Thien*. Str. 39 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1975).

SHMERUK (Khone). *Contacts between Polish and Yiddish Literature: The Story of Esterka and King Casimir of Poland*. Str. 60-100 (w języku hebrajskim) i 2 nlb. w języku angielskim. (Nadbitka z *Ha-Sifrut (Literature, No 21)* October 1975 (published by Tel-Aviv University).

SKORUPSKI (Wendy Maryla). *Early Spring. Selected Poems 1968-1975*. Str. 24. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1975).

NUTTER (Warren G.). *Kissinger's Grand Design*. Przedmowa Melvin R. Laird. Str. 111 i 1 nlb. (Wyd. American Enterprise Institute for Public Policy Research, Washington, D.C., 1975).

Women's Voices from Soviet Labour Camps. Przekład Lesya Jones, redakcja Bohdan Yasen. Seria: Documents of Ukrainian Samvydav. Str. 12. (Wyd. Smoloskyp Samvydav Series, No 1, 1975, Baltimore, Mb.).

BERGER (L.). *Aspects of the Sociology of Vocations in Israel*. Str. 47 i 1 nlb. (Wyd. The Office for Economic and Social Research, The World Zionist Organization, Tel-Aviv, 1976).

PINDER (John and Pauline). *The European Community's Policy towards Eastern Europe*. Str. 45 i 3 nlb. (Wyd. Chatham House PEP, European Series No. 25, May 1975, Londyn; cena £.1.30).

An Interview with Political Prisoners in a Soviet Perm Camp. Przekład Taras Drozd, redakcja Orest Olhovych. Seria Documents of Ukrainian Samvydav, No. 2. Str. 30 i 3 nlb. (Wyd. Smoloskyp Samvydav Series, Baltimore, Md., 1975).

Dissenso All'Est. Raccolta di testimonianze a cura di Dominik Morawski. Str. 147 i 1 nlb. (Wyd. Edizioni Cinque Lune, Rzym, 1975).

GÓRSKI (Bohdan J.). *Beiträge zur aktuellen Problematik der Entwicklungsländer*. Wirtschaftliche und soziale Probleme in Zaïre. Str. 129 i 5 nlb. (Wyd. Herbert Lang Bern, Peter Lang, Frankfurt a/Main, Seria: Europäische Hochschulschriften, Bd. (Vol. 106, 1975).

KORZEC (Paweł). *Danuta Rederowa „Polski emigracyjny ośrodek naukowy we Francji w latach 1831-1872* (wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, PAN, Wrocław, 1972, cena: zł 50,00). Recenzja. Str. 277-279. (Nadbitka z *Jahrbücher für Geschichte Osteuropas* 23, H. 2, Franz Steiner Verlag, GmbH, Wiesbaden, 1975).

KORZEC (Paweł). *Der Block der Nationalen Minderheiten im Parlamentarismus Polens des Jahres 1922*. (Tłumaczenie z polskiego Ruth Scholz). Str. 193-220. (Nadbitka z *Zeitschrift für Ostforschung — Länder und Völker in östlichen Mitteleuropa*, 24. Jahrgang 1975, Heft 2).

MIĄZEK (Bonifacy). *Über die einzelnen Gruppen von lyrischen Leitmotiven im Nachkriegsschaffen Kazimierz Wierzyńskis*. Str. 167-191. (Nadbitka z *Bereiche der Slavistik*, wyd. Verlag der Österreichischen Akademie der Wissenschaften, Wien, 1975).

NOWAKOWSKI (Tadeusz). *Als Emigranten leben — Mit Emigranten leben. Wie besiegt sind die Unbesiegtten, wie unbesiegt sind die Besiegtten?* Str. 507-517. (Nadbitka z *Akzente — Zeitschrift für Literatur*, Heft 6, Dezember 1975, wyd. Carl Hanser Verlag, Monachium).

KOCSIS (Gábor). *In einem Handschuh blasen. Ungarische Literatur in der Emigration*. Str. 518-522. (Nadbitka z *Akzente — Zeitschrift für Literatur*, Heft 6, Dezember 1975, wyd. Carl Hanser Verlag, Monachium).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

7-3-76

Prof. Władysław Tatarkiewicz otrzymał doktorat *honoris causa* Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

15-3-76

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich obchodziło 25-lecie swej działalności. SDP liczy obecnie blisko 6,6 tys. dziennikarzy prasy, agencji prasowych, radia i telewizji. Jedną trzecią ogółu członków tej organizacji stanowią kobiety.

20-3-76

Wydawnictwo Szkolne i Pedagogiczne w Warszawie przygotowuje pierwsze podręczniki dla dzieci Polonii zagranicznej. Będą to: „Mowa polska” — elementarz i książka do nauki języka polskiego, „Czytanka polska” oraz „Obrazy z dziejów Polski”. Niedługo ma się ukazać książka o geografii polskiej. Prasa krajowa nie podaje, czy z tych podręczników będą korzystać dzieci polskie w Związku Sowieckim. ■ Krzysztof Lisicki, wybitny krytyk muzyczny, zginął w katastrofie samochodowej w Warszawie w wieku 41 lat.

31-3-76

Prof. Tadeusz Kotarbiński, filozof i publicysta, obchodził 90-tą rocznicę urodzin. ■ Przedstawienie sztuki Jarosława Abramowa „Klik-klak” granej od czterech lat na scenie Teatru Polskiego w Warszawie, osiągnęło liczbę 300-tu spektakli. Klub Dramaturgów ZLP przyznał Teatrowi dyplomy honorowe za popularyzowanie polskiego dramatu współczesnego. ■ Organy kontroli granicznej i celnej dokonały w ub. roku 4 milionów odpraw paszportowych i celno-dewizowych. M.in. władze sowieckie poinformowały, że tylko w październiku ub. roku zatrzymano na terenie ZSSR 723-ch obywateli polskich, przy których znaleziono różnego rodzaju towary, głównie przedmioty złote o wartości około 2-ch milionów rubli. ■ W Warszawie mówi się, że tygodnik *Literatura* ma zostać zamknięty, a na jego miejsce ma powstać nowe pismo pod redakcją Tadeusza Hołuj.

1-4-76

Oddział Związku Literatów Polskich w Gdańsku obchodził 30-lecie swojej działalności. Skupia on 36-ciu poetów i prozaików. Prezesem Oddziału jest Stanisław Hebanowski.

4-4-76

Zebrał się Sejm PRL na pierwszych dwu, w nowej kadencji, posiedzeniach. Marszałkiem Sejmu został Stanisław Guca (ZSL). Przewodniczącym Rady Państwa został Henryk Jabłoński (członek Biura Politycznego KC PZPR). Prezesem Rady Ministrów został Piotr Jaroszewicz (członek Biura Politycznego KC PZPR). W składzie osobowym Rady Ministrów nie zaszły większe zmiany, dokonano jednak pewnej reorganizacji. I tak w skład Rady Ministrów wszedł (zgodnie z ostatnimi poprawkami do Konstytucji) prezes Najwyższej Izby Kontroli (dotychczas podległej wyłącznie Sejmowi i Radzie Państwa). Utworzono nowe ministerstwa: w miejsce dotychczasowego Ministerstwa Górnictwa i Energetyki utworzono Ministerstwo Górnictwa oraz Ministerstwo Energetyki i Energii Atomowej; w miejsce dotychczasowego Ministerstwa Przemysłu Ciężkiego utworzono Ministerstwo Hutnictwa oraz

Ministerstwo Maszyn Ciężkich i Rolniczych; w miejsce Państwowej Rady Gospodarki Materiałowej utworzono Ministerstwo Gospodarki Materiałowej.

7-4-76

14-tu byłych przywódców „Wiosny praskiej” w 1968 roku wystosowało list otwarty do Parlamentu czeskosłowackiego domagając się zwolnienia więźniów politycznych, skazanych w procesach w 1972 roku.

8-4-76

Jerzy Pawłowski, znany polski szablista, oskarżony o szpiegostwo na rzecz jednego z państw OTANU, skazany został na 25 lat więzienia przez Sąd Wojskowy na posiedzeniu niejawnym.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-3-76

W końcu ub. roku w Tel-Awivie został wykonany utwór izraelskiego kompozytora Eddy Halperna pt. „Katyn” — kantata na głosy i instrumenty w wykonaniu solistów izraelskiej orkiestry symfonicznej, i chóru „Rinat”. W bież. roku utwór ten będzie reprezentował Izrael w Holandii na dorocznym festiwalu muzyki nowoczesnej komponowanej dla radia. E. Halpern urodził się i wychował w Polsce, w czasie wojny przebywał w Związku Sowieckim, po wojnie wrócił do Polski, a w 1951 roku wyjechał do Izraela. Kantatę o Katyniu napisał dla uczczenia pamięci swego wuja kpt. Szymona Sztorcha i wszystkich oficerów pochodzenia żydowskiego, którzy zginęli w Katyniu. ■ W Anglii zmarł, w wieku 65 lat, por. Stanisław Sep-Szarzyński, znany lotnik.

16-3-76

Ks. bp Władysław Rubin został odznaczony Krzyżem Legion d'Honneur przez ambasadora francuskiego przy Watykanie.

18-3-76

O. Feliks Bednarski, O.P., profesor Angelicum, wygłosił w Katolickim Uniwersytecie Ukraińskim w Rzymie odczyt na temat „Teocentryzm pedagogiki tomistycznej”.

23-3-76

Zmarł w Londynie, w wieku 81 lat, gen. Stanisław Kopański. W chwili wybuchu drugiej wojny światowej był szefem oddziału operacyjnego Sztabu Głównego, w 1941 roku dowodził Brygadą Karpacką, po śmierci gen. Sikorskiego objął stanowisko szefa Sztabu Naczelnego Wodza, po wojnie był generalnym inspektorem PKPR, po śmierci gen. Andersa wszedł do Rady Trzech, w 1972 roku prezydent Stanisław Ostrowski mianował go Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych.

24-3-76

W Towarzystwie Przyjaciół Kultury w Sztokholmie red. Leopold Unger (Brukselczyk) wygłosił odczyt pt. „Widmo komunizmu krąży po Europie”. Na zebraniu było sto kilkanaście osób, głównie młodzi z nowej emigracji.

26-3-76

Staraniem Koła Oficerów Dyplomowanych na Obczyźnie p. M. Koral wygłosił w Instytucie gen. Sikorskiego w Londynie odczyt na temat „Wojna partyzancka w ramach nowoczesnych doktryn wojennych”.

28-3-76

W Monachium zmarła, w wieku 84 lat, wybitna działaczka ukraińska Milena Rudnicka — przewodnicząca Związku Ukrainek, posłanka na Sejm w R.P. z ramienia UNDO, ponadto znana publicystka i pisarka.

6-4-76

W Centre d'Etudes Slaves w Paryżu prof. Zygmunt Markiewicz wygłosił odczyt pt. „La littérature polonaise d'avant les partages — à la lumière de la littérature comparée”.

21-4-76

W sali mutualité w Paryżu miała miejsce dyskusja pod przewodnictwem Raymond Arona i Pierre Emmanuela na temat „Prawa człowieka 20 lat po tajnym raporcie Chruszczowa”. W zebraniu wzięli udział: Leonid Pliuszcz, Natalia Gorbaniewskaja, Nikita Kriwoszejn, Lew Kwateczewskij. Zebranie zostało zorganizowane przez pisma: *Avenir, Cahiers de l'Est, Esprit, Irodalmi ujsag, Kontinent, Kultura, Limite i Svedectvi*.

SPROSTOWANIE

DO „WYDARZEŃ MIESIĄCA” W NR. 3/342

Pod 1-1-76, Zachód - emigracja: Szwecja wprowadziła czynne i bierne prawo wyborcze dla cudzoziemców mieszkających w Szwecji i płacących podatki od trzech lat (nie od dwóch lat).

Pod 19-2-76. Wieczór solidarności zagał inż. Jerzy JANCZAK, prezes Oddz. PPS (a nie SPK) w Szwecji.

Według ostatniej szwedzkiej statystyki w Szwecji przebywa około 400.000 cudzoziemców. W tej liczbie 7.000 Polaków. Liczba ta nie obejmuje Polaków, którzy już zostali obywatelami szwedzkimi. W celu uzyskania szwedzkiego obywatelstwa należy tu przebywać przynajmniej 7 lat.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

27. 2. br. ukazał się ostatni numer *Pittsburchanina*. Pismo zostało zamknięte z powodu trudności finansowych oraz zgonu Dory Alskiej, redaktora i wydawcy tego pisma. ■ W dniach 23-24-25. 2. br. została odegrana w sali Lincoln Center Library w New Yorku, sztuka Janiny Katelbach pt. „Lily and the rose” („Kwiaty średniowiecza”), w której autorka grała jedną z czołowych ról. Sztuka ta była wystawiona przed paru laty na scenie teatru w Seattle. ■ 19. 3. br. odbyło się 33-cie doroczne walne zebranie członków Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce, które zmieniło statut Instytutu, przekształcając go ze stowarzyszenia na fundację. Prezesem został wybrany dr Jan Fryling, dyrektorem Instytutu Michał Budny. ■ 5. 4. br. Wacław Jędrzejewicz uzyskał w Nowym Jorku nagrodę i medal im. Mieczysława Haimana za rok 1975, przyznane przez jury Polsko-Amerykańskiego Stowarzyszenia Historycznego. ■ 13. 3. br. W Gargoyle Gallery w Aspen, Colorado, nastąpiło otwarcie wystawy malarskiej Witolda K. (Kaczanowskiego).

KRONIKA AUSTRALIJSKA

W Australii mieszka obecnie około 40 tysięcy nielegalnych imigrantów, tj. osób które przyjechały tu na podstawie wiz turystycznych i pozostały na

stałe bez zezwolenia władz. Z początkiem bież. roku władze ogłosiły amnestię, w ramach której nielegalni imigranci — jeśli tylko nie mają przeszłości kryminalnej — będą mogli otrzymać prawo stałego pobytu w Australii. W końcu lutego br. około 4.500 osób zgłosiło się do biur imigracyjnych. Amnestia wygasa z dniem 30. 4. br. ■ Ruch imigracyjny do Australii spadł o 50 % w stosunku do liczby imigrantów, którzy przyjechali w latach 1973/74 (113.000 osób). Największy spadek zanotowano wśród imigracji z Wielkiej Brytanii i Irlandii, skąd obecnie przybywa tylko 31 % ogółu imigrantów, na 41 % sprzed trzech lat. Natomiast notuje się wzrost liczby imigrantów z Azji i wysp Pacyfiku. ■ W Brisbane (stolica stanu Queensland) w dniach 24-26 stycznia br. odbył się zjazd prezesów organizacji, które wchodziły w skład Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii. Na Zjeździe zdano sprawozdanie z waszyngtońskiego kongresu „Polonia 75”. Do ciekawostek należy zaliczyć sumę, jaką Rada Naczelna wydatkowała na Komisję Oświatową Polonii Australijskiej w okresie sprawozdawczym — aż Dol. A. 87,00. Jak słusznie zauważył *Tygodnik Polski* w Melbourne — tego rodzaju liczba obrazuje stan letargu na tak bardzo ważnym odcinku jak kultura polska i nauczanie języka polskiego. ■ W ub. roku budżetowym Polska Kasa Kredytowa w Hobart (Tasmania) wypłaciła udziałowcom tytułem odsetek przeszło 30 tysięcy dolarów. Na początku br. depozyty przekroczyły sumę 600 tysięcy dolarów australijskich. ■ W Australii mieszka około tysiąca polskich adwentystów. Mają oni swoje pismo *Wia-domości Polonii Adwentystycznej*, które ukazuje się w Melbourne pod redakcją pastora Jana Borody. ■ 21. 2. br. odbyła się wystawa polskiego artysty malarza Marka Przybylskiego, stale mieszkającego w Melbourne. Wystawa była w „Studio Art Gallery” p. Elżbiety Montrée-Zaleskiej w Montrose koło Melbourne. Wyświetlono również dwa filmy produkcji artysty i przedstawiono jego program kukielkowy. ■ W ramach tegorocznego festiwalu artystycznego w Adelaide „Adelaide Festival of Arts” miały miejsce liczne imprezy, w których brali udział Polacy: w spółdzielni „Dom Polski” miał miejsce finał konkursu fortepianowego p.n. „The Dom Polski Piano Competition”, w którym wzięło udział 40-tu młodych pianistów z terenu Australii; wysokość nagród — ponad 6.000 Dol. A. Inicjatorem konkursu był Stanisław Gotowicz, prezes Spółdzielni. Pierwszą nagrodę otrzymała 20-letnia studentka konserwatorium z Sydney, Margaret Power. Tym razem pianiści polskiego pochodzenia nie uzyskali nagród. W czasie festiwalu ulice śródmieścia udekorowane były według projektu Władysława Dutkiewicza, artysty-malarza rodem ze Lwowa, który ponadto wykonał serię obrazów i rysunków z życia Australii w ciągu ubiegłych dwóch lat. Dużą popularnością cieszyła się wystawa 38-miu współczesnych malarzy polskich p.n. „Art of Poland” oraz wystawa artysty-malarza Stanisława Ostoi-Kotkowskiego, której otwarcia dokonał Premier stanu Południowa Australia, Don Dunstan. ■ Nagrody dorocznego konkursu sympialnego im. Pawła S. Strzeleckiego dla maturzystów polskiego pochodzenia, którzy wykazali się dobrymi wynikami na egzaminach dojrzałości, otrzymali: 1-szą Dol. A. 250,00 — Alicja Przastek; 2-gą Dol. A. 150,00 — Bożena Skarbek; 3-cią Dol. A. 100,00 — Ryszard Bliszczyk, który otrzymał również nagrodę specjalną Dol. A. 75,00. Nagrody te zostały ufundowane przez Melbourneńskie Koło Techników Polskich. ■ Inż. Krzysztof Łańcucki został prezesem Komisji Planowania Melbourneńskiej Rozgłośni 3ZZ, nadającej dla emigrantów audycje w wielu językach. ■ Federacja Polskich Organizacji w Victorii zorganizowała w sali ratusza w Melbourne wiec protestacyjny w związku ze zmianami w Konstytucji PRL. W wiecu obok Polaków wzięli udział australijscy parlamentarzyści, działacze polityczni i przedstawiciele narodów zza żelaznej kurtyny. Przemawiali m.in. przedstawiciele emigrantów bułgarskich, litewskich, łotewskich, rosyjskich i węgierskich. Zebrani przy-

jeli tekst petycji do Parlamentu Federalnego Australii domagającej się wstawienia rządu australijskiego w ONZ w sprawie wprowadzenia w życie w Polsce wszystkich podstawowych Praw Człowieka, proklamowanych przez Kartę Narodów Zjednoczonych. Wicewiceprzewodniczył prezes Federacji inż. Krzysztof Łańcucki. ■ W Sydney odbył się wielki wiec protestacyjny i manifestacja solidarności z narodem polskim; w Adelaidzie powstał Komitet Obrony Praw i Wolności Narodu Polskiego (przewodniczący M. Dobek, wiceprzewodniczący S. Duluk), który 22. 2. br. zwołał wiec protestacyjny w związku ze zmianami w Konstytucji PRL. ■ Komitet Polish Youth Association in Australia Inc., South Australia Branch, podjął decyzję wzniesienia pomnika z tablicami upamiętniającymi Orleńskie Pomordowane w Katyniu. Pomnik ma stanąć na terenie polskiego ośrodka młodzieżowego na Hindmarsh Island w Południowej Australii. Obecnie przeprowadzana jest zbiórka funduszy na ten cel. ■ Dr. dr. Juliet Harper i Sara Williams z New South Wales stwierdziły, że spośród emigrantów nie brytyjskich największą ilość wypadków schizofrenii notuje się wśród osób pochodzących z Południowej i Wschodniej Europy.

Jerzy DOBROSTAŃSKI

KRONIKA KANADYJSKA

10. 3. br. zmarł w Montrealu Wacław Knoll, b. radca Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP, filister Weleccji. ■ 27. i 28. 3. br. odbyły się w Toronto dwie sesje Rady Kongresu Polonii Kanadyjskiej. M.in. postanowiono dopomóc do zwiększenia funduszu wieczystego Millenium, dopomóc zarządzowi w pracach przygotowawczych do światowej konferencji „Polonia 78”, która odbędzie się w Toronto, oraz do stworzenia funduszu pomocy więziom politycznym i osobom prześladowanym w Polskiej Republice Ludowej. ■ Poseł dr S. Haidasz przeprowadził w Izbie Gmin wniosek głoszący, iż stanowisko Kanady w odniesieniu do stanu terytorialnego państw bałtyckich to jest Estonii, Łotwy i Litwy nie uległo żadnej zmianie. Minister spraw zagranicznych Allan MacEachen referując w Izbie 2 grudnia 1975 r. konferencję w Helsinkach powiedział m.in., że Akt Końcowy konferencji w Helsinkach nie zatwierdza obecnego stanu terytorialnego w Europie a w szczególności obecnego statusu Estonii, Łotwy i Litwy. I to zostało potwierdzone wnioskiem posła Haidasza. Dzięki akcji interwencyjnej Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz posła Haidasza władze PRL udzieliły zezwolenia na wyjazd kilku osobom, w tym pani Pisarskiej która wyjechała do Polski, uzyskawszy paszport konsularny, aby zobaczyć ciężko chorego ojca. Nie wypuszczano jej do Kanady, gdzie ma męża, przez 18 miesięcy. Oboje opuścili przed kilku laty Polskę jako turyści do Wielkiej Brytanii. ■ Władze kanadyjskie deportują cudzoziemców, którzy przybyli jako turyści i nie opuszczają Kanady po upływie terminu ważności wizy. Szereg osób broni się przed deportacją głosząc, iż są uchodźcami politycznymi. Taka deklaracja wstrzymuje deportację do orzeczenia Imigracyjnego Trybunału Apelacyjnego, który oczywiście uwzględni jedynie wnioski prawdziwych uchodźców. Niestety, sporo Polaków pozostaje nielegalnie i zabiega o status uchodźczy bez dostatecznego uzasadnienia i wobec tego są deportowani. ■ Rokowania kanadyjsko-polskie na temat umowy o rybołówstwie zostały zakończone. Obejmuje ona wszystkie zagadnienia włącznie ze sprawą zaopatrywania i reperacji statków polskich w portach kanadyjskich, ustala kwoty połowów, przewiduje utworzenie wspólnego przedsiębiorstwa przetwórczego itp. ■ Na mocy osiągniętego porozumienia między Ottawą a Warszawą z dniem

4 czerwca uruchomiona zostanie komunikacja lotnicza między Warszawą a Montrealem. Kursować będą chwilowo tylko samoloty PLL „LOT” i to raz tygodniowo w każdy piątek. Z Warszawy odlatywać będą przedpołudniem a z Montrealu wieczorem. ■ Katedra literatury i kultury polskiej na Uniwersytecie Toronto została uratowana. Dotacja trzech Fundacji: Funduszu Wieczystego, Fundacji im. W. Reymonta i Fundacji im. A. Mickiewicza oraz zapowiedź iż również w ciągu następnych 4 lat akademickich będą finansowo popierać katedrę, przyczyniła się walcnie do zaangażowania na stałe, a nie na gościnne wykłady, dr. Louisa Iribarne. Prof. Iribarne zaprezentował się jako znakomity polonista, entuzjasta i znawca teatru polskiego, tłumacz Witkacego, Gombrowicza i Miłosza. W krótkim okresie czasu wygłosił dla Polonii Torontońskiej kilka referatów a po jednym — o teatrze — studenci jego odczytali fragmenty „Wesela”, „Szewców”, „Operetki” i kilka „Zielonych gęsi” K. I. Gałczyńskiego.

B. H.

KRONIKA GOSPODARCZA

Genewa, 18. 3. br. Ekonomiczna Komisja Europejska NZ wydała Raport na temat Europy Wschodniej. Raport stwierdza, że w roku 1975 wzrost w krajach RWPG wykazał tendencję malejącą, wyniósł mianowicie 5,1 %, podczas gdy w 1974 wynosił 6,1 %. Zaznaczyło się to szczególnie w produkcji rolnej. Przeciętny roczny wzrost produkcji rolnej był w pięcioleciu 1971-75 mniejszy, niż w pięcioleciu 1966-70. ■ Bonn, 24. 3. br. W pierwszym kwartale br. wystąpił silny wzrost w handlu między Związkiem Sowieckim a NRF. W porównaniu ze styczniem ub. roku eksport niemiecki do ZSSR wzrósł w styczniu bież. roku o 48 %, a import o 40 %. W ub. roku wartość obrotów handlowych między obu krajami przekroczyła 4 miliardy dolarów z czego na eksport z Niemiec przypadło 70 %. ■ Londyn, 25. 3. br. Bawił tu sowiecki minister spraw zagr. A. Gromyko. Strona brytyjska wyraziła rozczarowanie nikłymi wynikami handlu sowiecko-brytyjskiego. W ub. roku Wielka Brytania udzieliła ZSSR kredytu na 2 mld. dol., z czego Sowiety wykorzystały zaledwie 50 mln. dol. ■ Warszawa, 23. 3. br. W czasie wizyty austriackiego ministra finansów H. Androscha omawiano szereg wielkoskalowych projektów kooperacyjnych, na które Austria ma udzielić kredytów w wysokości 660 mln. dol. Niektóre z tych projektów to polsko-austriackie inwestycje w krajach trzeciego świata. Austria zażądała pomocy polskiej przeciwko Czechosłowacji, która stwarza trudności w projektowanym eksporcie polskiej elektryczności do Austrii. Polska jest głównym partnerem handlowym Austrii w Europie Wschodniej. ■ Beograd, 27. 3. br. Po dwuletnich przetargach firma amerykańska Dow Chemical podpisała umowę z jugosłowiańską INA w sprawie budowy kombinatu petrochemicznego na wyspie Krk. Jest to największa inwestycja w Jugosławii, mająca wartość 700 mln. dol., a więc prawie tyle samo, co wszystkie dotychczasowe umowy koprodukcyjne razem. Do tej pory wszystkie amerykańskie inwestycje w Jugosławii razem nie przekraczają 100 mln. dol. Dow Chemical będzie miał 49 %-owy udział w kombinacie, którego budowa zajmie sześć lat. Będzie on produkował plastyki, monomery, etylen i paliwa pochodne z ropy naftowej. W pierwszym okresie kombinat będzie otrzymywał surowiec z Europy Zachodniej. Produkcja przeznaczona jest głównie dla Jugosławii. Kombinatu nazywać się będzie DINA. ■ Moskwa, 31. 3. br. Podpisano umowę uzupełniającą między ZSSR a Węgrami, na podstawie której Węgry otrzymają dodatkowe dostawy sowieckiej ropy i surowców w zamian za pszenicę, kukurydzę i wołowinę. Wartość tej dodatkowej wymiany wyniesie 2,5 mld. dol. za okres pięciu lat. Podając do wiadomości treść umowy,

węgierski minister handlu zagr. Biro powiedział, że jest ona pierwszym ogniwem w długoterminowym programie kooperacji między ZSSR a Europą Wschodnią w dziedzinie paliw i surowców żywnościowych. W 1974 roku kraje Wspólnoty Europejskiej wstrzymały import żywności z Europy Wschodniej. Do tego czasu 80 % węgierskiego eksportu wołowiny i 100 % eksportu była szło do Europy Zachodniej. ■ *Tirana, 3. 4. br.* Według nowowydanego zarządzenia płace urzędników, kierowników i in. pracowników umysłowych zostały obcięte o 4-25 %. Tantiemy autorów i artystów obcięto o 30-50 %. W związku z tym najwyższa możliwa płaca w Albanii nie może wynosić więcej, niż dwie płace przeciętne. Prasa albańska określiła nowe zarządzenie jako „wielkie zwycięstwo w walce z biurokracją, technokracją i liberalizmem”. Możliwe, że redukcje te związane są z obcięciem o 50 % kredytów udzielanych Albanii przez Chiny. ■ *Bruksela, 9. 4. br.* Grupa badawcza „Wschód-Zachód” wydała raport w sprawie sytuacji żywnościowej w Związku Sowieckim. Według raportu ZSSR potrzebuje 250 milionów ton zbóż rocznie (1 tonę na głowę ludności). Z tego na zboża chlebne przypada 40-50 milionów ton, reszta na paszę. Sowiety z powodu braku technologii przetwórczej zużywają o 40 % więcej paszy niż Zachód. Plan sowiecki przewiduje produkcję własną w granicach 220 milionów ton rocznie, ale w praktyce produkcja ta nie przekroczy 200 milionów ton. Tak więc w ciągu całego pięcioletnia 1976-80 ZSSR będzie musiał importować ok. 250 mln. ton. Umowy z Zachodem przewidują zaledwie 50 mln. ton. Pojemność przeładunkowa portów sowieckich nie pozwala na przywiezienie więcej niż 25 mln. ton zboża rocznie. ■ *Londyn, 9. 4. br.* Przybył tu z wizytą sowiecki minister przemysłu chemicznego L. Kostanow. W wywiadzie prasowym przyrzekł on ogromne zamówienia dla angielskiego przemysłu chemicznego: „Chcemy wydać 5 miliardów dolarów i to szybko”. Zaznaczył jednak, że ZSSR zainteresowany jest wyłącznie umowami kooperacyjnymi, w ramach których spłata kredytu dokonana jest w formie dostaw towarów wyprodukowanych przez obiekty zbudowane przez zagraniczny kapitał. ■ *Warszawa, 21. 3. br.* GUS ogłosił „Porównanie poziomu cen i spożycia Polska-Francja”. Odnosi się ono do roku 1972. Oto kilka danych z tego opracowania: 1 frank francuski ma wartość 4,27 zł. (tzn. 1 dolar amerykański = 22 zł.). Spożycie na mieszkańca jest przeszło dwa razy wyższe we Francji niż w Polsce, ale polskie spożycie żywności oraz artykułów nieżywnościowych jest tylko o 30 % niższe niż francuskie, Polacy natomiast używają więcej transportu publicznego i częściej chodzą do kin i teatrów. ■ Według danych Banku Świata roczny dochód na mieszkańca przekroczył we Francji 5.000 dol., a w Polsce 2.500 dol. ■ *Warszawa, 25. 3. br.* Ukazał się w nakładzie 30.000 egz. „Mały Rocznik Statystyczny 1976”. Garść informacji z tego źródła: ludność Polski przekroczyła 34 miliony, zatrudnionych w gospodarce społecznej (co w praktyce oznacza poza rolnictwem) jest 11,6 milionów osób, przeciętna płaca miesięczna wynosi 3.546 zł. ■ Szereg danych statystycznych o sytuacji gospodarczej w PRL zawiera *Sprawozdanie KC PZPR za okres od VI do VII Zjazdu*. Tak więc w porównaniu z 1970 dochód narodowy wzrósł w 1975 roku o 62 %, spożycie o 55 %, płace realne o 40 %, produkcja przemysłowa o 73 %, rolnicza o 22 %. Niski wzrost produkcji rolnej łączy się z niedoinwestowaniem tego sektora. Podczas gdy w latach 1971-75 inwestycje w przemyśle wzrosły (w porównaniu z ub. pięcioletniem) o 34 %, to w rolnictwie tylko o 26 %. W 1975 roku konsumpcja na mieszkańca osiągnęła taki poziom: mięso 70,3 kg., mleko 265 litrów, ryby 7,4 kg., warzywa 96 kg., owoce 44 kg. ■ W 1975 roku urlopy za granicą spędziło ponad 8 milionów Polaków. ■ W 1975 roku kina polskie odwiedziło 166 milionów widzów, tzn. o 6 milionów więcej, niż w roku poprzednim. Najwięcej widzów miały „Noce i dnie” (7 milionów), „Dzieje grzechu” (6 milionów) i „Ziemia obiecana” (5 milionów). ■ Z początkiem 1976

roku oszczędności w PKO i bankach spółdzielczych przekroczyły 300 miliardów zł. ■ Zatrudnienie w sferze konsumpcji społecznej (oświata, ochrona zdrowia, opieka społeczna, kultura i sztuka) wzrasta w Polsce regularnie. W 1970 wynosiło ono 1,1 miliona osób, a w 1975 roku — 1,4 mil. W roku bieżącym ma ono wzrosnąć o dalsze 30.000 osób. W odczuciu społeczeństwa efektywność tego wzrostu jest wątpliwa. ■ Eksport polski wzrósł z 14,2 mld. zł. dew. w 1970 do 34,1 mld. zł. dew. w 1975 roku, a więc dwa i pół raza. W dużym stopniu wzrost ten wynika ze wzrostu cen światowych, zwłaszcza na węgiel i paliwa (wartość polskiego eksportu paliw i energii wzrosła w omawianym okresie o 290 %).

B. B.

BIULETYN POLSKIEJ PARTII SOCJALITYCZNEJ W NIEMCZECH

PRZEMIANY

Wydaje Komitet Główny PPS w Niemczech.
Redaktor — Tadeusz Podgórski.

Adres Redakcji:

T. Podgórski, 8 München 40, Ungererstrasse 47.
Tel.: 3 61 39 78.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Listy do Redakcji

Do Redakcji *Kultury*

Rzym, 3 kwietnia 1976.

REPLIKA NA LIST JÓZEFA JENNEGO,
ZAMIESZCZONY W Nr. 3/342

„Wyjątki” z encyklik Jana XXIII, zacytowane w liście polemizującym z moją notą na temat książki J. Mackiewicza „Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy”, są sfalszowane. Nigdzie w tekście oryginalnym tych encyklik Papież nie mówi o sobie „Ojciec Święty”, nigdzie nie przypisuje sobie „oświeconej myśli”, nigdzie nie nazywa komunizmu „sprawiedliwym systemem”, z jakim „należy współpracować”. Jan XXIII nie zaleca też — co mu imputuje Jenne — konieczności „ideowego zaangażowania się po stronie komunizmu”. Odpowiednie fragmenty tych encyklik brzmią według autoryzowanego (*imprimatur*) przekładu polskiego, następująco:

„...Tezy tzw. komunistów pozostają w sprzeczności z nauką chrześcijańską... Katolicy, którzy pełnią różne funkcje gospodarcze i społeczne, stykają się nieraz z ludźmi wyznającymi odmienny światopogląd. Gdy się to zdarza, ci, którzy chlubią się mianem katolików, muszą jak najbardziej dbać o to, by postępować zawsze zgodnie z własnym sumieniem i nie uciekać się do takich kompromisów, z powodu których bądź religia, bądź też nieskazitelność obyczajów mogłyby ponieść szkodę. Równocześnie jednak winni przyjąć postawę pełną obiektywnej życzliwości dla poglądów innych, nie starać się obracać wszystkiego na własną korzyść i okazywać gotowość do lojalnej współpracy w dążeniu do osiągnięcia wspólnymi siłami tego, co albo jest dobre z samej swej natury, albo też do dobrego prowadzić” (*Mater et Magistra*, Société d'Éditions Internationales, 1963).

„... W tej współpracy (... z chrześcijanami odłączonymi od Stolicy Apostolskiej, lecz także z wszystkimi rozumnymi i uczciwymi ludźmi, choć nie chrześcijanami...) katolicy winni bardzo czuwać nad tym, by byli wierni sobie i nie szli na kompromisy szkodliwe dla ich religii i moralności... Trzeba zawsze odróżniać błąd od błędzącego człowieka, nawet gdy chodzi o ludzi wyznających błędne idee, lub pozbawionych dostatecznej znajomości prawd wiary i moralności. Człowiek bowiem błędzący pozostaje człowiekiem wraz z przynależną mu godnością i to zawsze należy uznawać. A oprócz tego człowiek błędzący nie traci możliwości pozbycia się błędu i szukania drogi do prawdy...” (*Pacem in terris*, Kat. Ośrodek Wyd. „Veritas”, Londyn, 1963).

Czytelnik z Caracas nie podważa żadnego mego argumentu, powołuje się natomiast na „prawdę zawartą w drobnych ogłoszeniach pism codziennych i gazet, które z tak benedyktyńską cierpliwością zebrał Mackiewicz”. Okazuje się, że te „ogłoszenia pism codziennych” (źródła, jak zaznaczyłem w mojej

korespondencji, wątpliwej wartości i dowolnie manipulowane dla podbudowania z góry przyjętej tezy) nie wystarczyły autorowi listu; posłużył się ponadto cytatami kompletnie przeinaczonymi czy też skorzystał z apokryfów (rezultat jest ten sam). Pozostała zaś argumentacja polemiczna stanowi, niestety, przykład zły, polskiej tradycji pieczeniarnstwa.

Dominik MORAWSKI

Bruksela, 15 marca 1976.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Ponieważ w numerze 3/342 *Kultury*, w rubryce „Wydarzenia Miesiąca” czytam: „W paryskiej Bibliothèque Marabout ukazał się przekład 'Krzyżaków' Henryka Sienkiewicza pt. 'Les chevaliers teutoniques', w tłumaczeniu Jean Vittman'a” — pozwalam sobie poinformować Pana, że tłumaczenie to robiłem przed kilku laty dla Marabout pod moim jedynym, prawdziwym, autentycznym nazwiskiem, które brzmi: Janusz (Jean) NITTMAN.

Zechce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy szacunku i poważania.

Janusz NITTMAN

Londyn, 20 kwietnia 1976.

Drogi Panie Redaktorze!

Nawiązuję do ogłoszonego w kwietniowym (4/343) numerze *Kultury* „Apelu SPK we Włoszech”, który w wyjątkowy sposób zbiegł się z moimi dość luźnymi na razie planami i zamierami.

Wyjeżdżając ostatnio do Europy, zaopatrzyłem się w trzymiesięczny bilet kolejowy wolnej jazdy po 13 krajach zachodnich, zamierzając ewentualnie podzielić się z osobami, które by były tego ciekawe, zarówno swymi myślami o wiadomościach z przeżyć w czasie i po II-ej Wojnie (m.in. deportacji do syberyjskiego łagru; pracy w Ambasadzie w Kujbyszewie oraz w Teheranie i Jeruzolimie; podróży w czasie wojny przez podzwrotnikową Afrykę do Londynu; pracy w Londynie, Oxfordzie i Monachium; jak również kilku-nastoletniego pobytu w Ameryce, głównie w Kalifornii, gdzie warunki życia mają być ponoć wzorem dla innych krajów zachodnich), jak i rezultatami moich prac badawczych m.in. nad powstaniem i rozwojem ustroju sowieckiego w Rosji; historią ziem pomiędzy Niemcami i Rosją w czasie I-szej Wojny; oraz odbiciem w oczach współczesnych Anglików okresu końcowego Rzplitej w XVIII wieku i powstań w latach 1831 i 1863.

Z popularnymi gawędami lub odczytami na te tematy miałbym chęć i możliwość dotarcia nie tylko do większych, lecz także mniejszych („zapadłych”) ośrodków polskich, gdzie znaleźliby się chętni słuchacze, mogący mi zapewnić skromne utrzymanie i ewentualnie nocleg w dniu odczytu czy gawędy.

Zainteresowanych proszę o pisemne zgłoszenia na adres:

W. Sukiennicki, 11, Hartwood Rd., London, W.12. 9NQ, England, dla umożliwienia mi ustalenia bardziej konkretnego planu podróży projektowanej na sierpień-październik.

Nadmieniam, że mój bilet kolejowy jest ważny tylko na kontynencie i nie obejmuje wysp brytyjskich.

Pozdrowienia,

Wiktor SUKIENNICKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Monmouth, 25 marca 1976.

W swym doskonałym wyborze cytatów z dzieła de Custine'a o Rosji w 1839 roku M. Broński wymienił także, bardzo nieliczne zresztą, polskie omówienia tego dzieła.

Pragnę zwrócić uwagę na jeszcze jedno omówienie wraz z dość obszernym wyborem cytatów, o którym Broński nie wspomina. Ukazało się ono w „Na Antenie”, w owym czasie dodatku londyńskich *Wiadomości* w Nrze 1052 z 29 maja 1966. Autorem omówienia był Tadeusz Mielezko.

Wit TARNAWSKI

SPROSTOWANIA

W korespondencji z Rzymu w numerze kwietniowym piszę m.in. (na str. 53): „mówi się, że w przyszłym roku, kiedy skończy 80 lat, Papież poda się do dymisji”. Jest to sformułowanie nieściśle: Papież może jedynie abdykować, zrezygnować z piastowania najwyższego Urzędu w Kościele Pow-szechnym. Był już taki precedens: w XIII wieku abdykował papież Celestyn V.

Dominik MORAWSKI

W związku z *Post Scriptum* p. 1 do „Raptularza londyńskiego” w nr. 3/342 *Kultury* należy sprostować, że dom pod 96, Earls Court Road w Londynie nie był domem PPS, stanowił on bowiem własność Towarzystwa Polskiego.

S. WĄSIK

W związku ze wzmianką w „Raptularzu londyńskim” (*Kultura* nr 3/342) wyjaśniam, że Dom Związku Rzemieślników i Robotników Polskich przy 33, Bolton Gardens w Londynie, który posiadał krótką dzierżawę, został przejęty przez właściciela gruntu wobec niewywiązywania się powiernika Związku z płacenia dzierżawy. ZRRP oddał powyższą sprawę do sądu i otrzymał wyznaczone przez sąd odszkodowanie od właściciela gruntu i od powiernika.

T. PROKOPOWICZ
Prezes ZRRP

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Londyński korespondent „Kultury”: Bohdan BRODZIŃSKI,
87, Park Hill, London, S.W.4. 9NX. — Telefon: 622 17 14.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal: 2^e Trimestre 1976.

Commission Paritaire N° 21 267.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffite : Telefon: 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
ARGENTYNA: Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$A 2,25	\$A 12,00	\$A 22,50
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien 1, Schönlatern-gasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tél. 52-40-762	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23	F.B. 110,00 \$ US 3,00	F.B. 650,00 \$ US 15,00	F.B. 1200,00 \$ US 28,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury”			
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księ-garniach polskich w Paryżu	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wellingenlaan 6, Vlissingen, Tel.: (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1 Tel 486-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St.N., Hamil-ton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 3,00 DM. 7,00 F. 11,00	\$ Can. 15,00 DM. 40,00 F. 65,00	\$ Can. 28,00 DM. 75,00 F. 120,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 —			
NORWEGIA: Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss —			
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kallskärgsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonta Nr 48 82 34-6.	K.S. 11,00	K.S. 65,00	K.S. 120,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172. T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 886-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave. Philadelphia, Pa, 19111; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwall Street, Bellflower Cal. 90706 Tél. 867-1857; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211.	\$ US 3,00	\$ US 15,00	\$ US 28,00
W. BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210.	£ 1,20	£ 7,00	£ 13,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 120, półroczna — F. 65.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 1,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le-Mesnil-le Roi,
par 78600 - MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

lub równowartość

Nowości wydawnicze

TOM 262 — LESZEK KOŁAKOWSKI

GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powstanie — Rozwój — Rozkład

Tom I

Książka jest krytycznym przeglądem dziejów doktryny marksistowskiej z uwzględnieniem jej filozoficznych i politycznych źródeł. Tom I obejmuje powstanie i ewolucję doktryny za życia jej twórców oraz zawiera krytyczne komentarze autora, odnoszące się do jej kluczowych składników.

Tom II ukaże się niebawem i poświęcony jest odmianom marksizmu, powstałym w Europie w epoce II Międzynarodówki.

Tom III, który autor spodziewa się rychło ukończyć obejmuje rozwój i rozpad marksistowskiego dziedzictwa w ciągu dziesięcioleci jakie upłynęły od Rewolucji Rosyjskiej i końca I-ej Wojny Światowej.

Str. 432.

Cena F. 75,00.



TOM 263 — TOMASZ STALIŃSKI

LUDZIE W AKWARIUM

Nowa powieść autora wydanych już przez Instytut Literacki powieści „Widziane z góry”, „Cienie w pieczarze”, „Romans zimowy” i „Śledztwo”.

Powieść, rozgrywająca się we współczesnej Warszawie, daje przekrój rozmaitych środowisk społeczno-politycznych poruszając również problemy emigracyjne w sposób kontrowersyjny lecz nowy i interesujący.

Str. 148.

Cena F. 25,00.



TOM 264 — WITOLD SUŁKOWSKI

SZKOŁA ZDOBYWCÓW

Tomik prozy poetyckiej młodego pisarza krajowego. Trzy próby wydania go w kraju skończyły się niepowodzeniem. Jedna z najciekawszych pozycji poetów „nowej fali” w Polsce. Sułkowski, urodzony w roku 1943, z wykształcenia filolog, debiutował w *Więzi* i publikował swoje utwory w *Literaturze*, *Poezji* i *Nowym Wyrazie*. Był więziony pół roku w związku ze sprawą tzw. grupy „Ruch”. Pracuje obecnie jako urzędnik w Łódzkim Domu Kultury. Przedmowę do *Szkoły zdobywców* napisał krytyk krajowy, ukrywający się pod pseudonimem Marek Gruda.

Str. 64.

Cena F. 15,00.

Cena 11 F